

Berlińska ucieczka czyli Hitler i Bormann w Argentynie — Maciej Bienias

Od autora: Witam serdecznie! Chciałbym przedstawić propozycję zamieszczenia pierwszej części powieści „Berlińska ucieczka czyli Hitler i Bormann w Argentynie” i zachęcić w streszczeniu do bliższego zapoznania się z nią.

STRESZCZENIE

Idee fixe powieści tej stanowią wariacje na temat domniemanej ucieczki Adolfa Hitlera z berlińskiego bunkra w ostatnich dniach II – ej wojny światowej. (Dowody potwierdzające samobójstwo Adolfa Hitlera nie są jednoznaczne, ani też nie istnieją ostateczne dowody medyczne jego śmierci). Z berlińskiego bunkra pod Kancelarią Rzeszy ucieka także Martin Bormann – sekretarz fuhrera. (Okoliczności jego śmierci są równie wieloznaczne). Domniemane szlaki ucieczki dwójki głównych bohaterów zawierają dwa z następujących po sobie rozdziałów. Kolejny z nich stanowi próbę analizy ich postaw i zachowań powstałych na skutek przegranej wojny, a widzianych z perspektywy jej końca, podczas niespodziewanego spotkania w argentyńskich Andach, w jedenaście lat po wojnie. W rozdziale tym przybliżone zostają ich wzajemne relacje, ewoluujące podczas wojny, a przeradzających się teraz, na skutek ujawniającej się współpracy Bormanna z Sowietami we wzajemną wrogość. Z biegiem zdarzeń Bormann ujawnia prawdziwy cel swojej wizyty – misję zleconą przez dyktatora ZSRR – Nikitę Chruszczowa, mającą na celu nakłonienie Adolfa Hitlera do popełnienia samobójstwa, ażeby historii stało się zadość, a ZSRR uzyskał ostateczny dowód na śmierć dyktatora III – ej Rzeszy, największego wroga przeciw któremu toczył najkrwawszą z wojen. Hitler nie dostrzegając możliwości kolejnej ucieczki popełnia samobójstwo. Powieść ta mieści się w szeroko rozumianym nurcie political fiction

„Oficerowie amerykańskiej armii w Niemczech nie znaleźli zwłok Hitlera, brak też wiarygodnego źródła, które by przesądzało że Hitler nie żyje”

Szef FBI J. Edward Hoover

„Nikt nie może powiedzieć na pewno, że on nie żyje”

Thomas J. Dood szef amerykańskich śledczych na rozprawie w Norymberdze

„Nie mamy zidentyfikowanego trupa Hitlera”

Gieorgij Żukow na konferencji prasowej z udziałem dziennikarzy zachodnich.

„Mam własne informacje, że Hitler ukrywa się w Ameryce Południowej, albo Hiszpanii”

Stalin, na konferencji pokojowej w Poczdamie.

„Ekshumacja została przeprowadzona chaotycznie. (.....) Podczas identyfikacji zaniechano podstawowych badań. Nie zostały przebadane kości, zmiany aorty na obecność cyjanku (.....) Wobec bardzo poważnych zaniechań, wnioski komisji z 1945 roku można traktować jedynie w kategoriach hipotezy”

Z raportu P. Siemianowskiego

„.....Istnieje niepodważalny dowód, że mały samolot wyleciał z Tiergarten 2.05.1945 roku i skierował się do Hamburga. Trzej mężczyźni i kobieta byli na pokładzie. Ustalono również że duży okręt podwodny wyruszył z Hamburga, zanim weszły tam wojska brytyjskie. Na pokładzie były tajemnicze osoby, a wśród nich kobieta.”

Oświadczenie wydane przez sowietów we wrześniu 1945 roku

„Prawdę zna tylko Bormann i ja. Bormanna nie ma, a ja nic im nie powiedziałem”

Kamerdyner Hitlera Heinz Linge o śmierci Hitlera w rozmowie z agentem KGB siedzącym z nim w celi.

„ Właściwy miejscu zameldowania, sąd cywilny miasta Berchtesgaden w dniu 25.10. 1956 roku, na skutek nieodnalezienia włosów uznał obywatela Adolfa Hitlera w wymiarze prawnym, w celu przeprowadzenia sprawy spadkowej, za zmarłego. Nie dysponując zwłokami, w uzasadnieniu przyjęto, stosowaną zwykle w takich przypadkach formułę „ Wyszedł z domu i nie wrócił”.

W 1993 roku Rosjanie poinformowali że w moskiewskich archiwach przechowują materialny dowód śmierci Adolfa Hitlera – fragment czaszki z otworem po pocisku. Przeprowadzone w 2009 roku badania DNA stwierdziły, że czaszka należy do kobiety w wieku 20 – 40 lat.

Protokół z sekcji zwłok Ewy Braun stwierdził:

„ W klatce piersiowej znaleziono 6 odłamków w wymiarach do pół cm. kw. Wokół odłamków wystąpił wyraźnie widoczny krwotok, podobne obrażenia stwierdzono w okolicach lewej jamy opłucnej.” „Zwłoki Ewy Braun leżały przez wiele godzin w ogrodzie Kancelarii Rzeszy ostrzeliwane przez radziecką artylerię. Odłamki mogły trafić zwłoki. No tak – ale gdyby trafiły trupa, nie spowodowałyby krwotoku. W płucach stwierdzono pół litra krwi. Ponadto sekcja wykazała że szczeka zwłok kobiety znalezionych w ogrodzie Kancelarii Rzeszy została poddana zabiegom chirurgicznym (usunięcie kilku zębów, założenie mostka) które miały upodobnić ją do szczeki żony Adolfa Hitlera. W czasie przesłuchań dentystka Kathe Heusemann wyjawiała, że wykonano dwa mostki dla Ewy Braun, lecz żadnego z nich jej nie założono, a przecież w jamie ustnej zwęglonych zwłok znaleziono mostek protetyczny.”

2 V 1945 roku Martin Bormann, sekretarz i zastępca Adolfa Hitlera opuścił bunkier pod Kancelarią Rzeszy, w mankencie płaszcza miał zaszyty testament Adolfa Hitlera. Jego wydostaniu się z bunkra towarzyszą sprzeczne relacje świadków, od-

tać wszelki ślad po nim zaginął. W 1972 podczas prac budowlanych w zachodniobерlińskiej dzielnicy Moabit odnaleziono szkielet mężczyzny. Niemiecki sąd formalnie zidentyfikował szkielet jako szczątki Martina Bormanna, potwierdziło to wykonane w 1998 roku badanie DNA. Fakty ujawnione podczas identyfikacji wskazały na mistyfikację, plomby w uzębieniu pochodziły z czasów po II-ej wojnie światowej, nie były one również ujęte w karcie dentystycznej. Brakowało kilku kręgów szyjnych, czaszka nosiła ślady czerwonej gliki nie spotykanej w Berlinie, występującej zaś w okolicach paragwajskiego miasta Ita. Tam też, Martin Bormann był widywany w latach po II – ej wojnie światowej, jego pobyt wzmiankowany jest w archiwach tamtejszej policji. Współcześnie przeprowadzone badania georadarem w miejscu pochówku Martina Bormanna na cmentarzu w Ita, (zmarłego najprawdopodobniej w 1959 roku), wykazały że grób został rozkopany, szczątki natomiast usunięto.

Berlin 27 IV 1945 roku, bunkier pod Kancelarią Rzeszy, godziny wieczorne.

Z wnętrza gabinetu fuhrera, oddzielonego od korytarza bunkra szarymi, pancernymi drzwiami ozwał się głuchy pogłos głośno wypowiadanych słów. Wąską szczeliną tuż nad powierzchnią podłogi przenikał na zewnątrz i upodabniał się do skowytu wyjącego wilka, zadzierającego łeb ku okrągłej tarczy księżycy. Zgromadzone wokół drzwi osoby, z niepokojem wsłuchiwały się w kolejno miotane groźby. Bezsilnie spoglądały po sobie, przesuając spojrzenia na ściany korytarza w kolorze surowego betonu. Obok drzwi przystanęła młoda kobieta, drżącą dłonią sięgając po masywną klamkę.

- Ewo, odczekajmy chociażby kilka minut, zaproponowała jedna z sekretarek fuhrera.

- W najbliższym czasie planujemy wziąć ślub, kto jak nie ja powinien wejść jako pierwszy, odpowiedziała rozdygotana Ewa Braun.

Do drzwi zbliżył się rosły, młody mężczyzna w mundurze SS, długo wahał się czy otworzyć drzwi i zaryzykować znalezienie się bez zapowiedzi, sam na sam z rozwścieczonym fuhrerem.

- Znowu migrena, apatia i ogólne osłabienie. Wezwać doktora Morela, gdzie jest Theo Morel, on tylko może mi pomóc. Czy ktoś z moich podwładnych mnie słyszy? Gdy nie jesteście potrzebni wszędzie was pełno, zakłóacie tok mojej pracy i nie pozwalacie opracować ostatniej decydującej kontrofensywy, przynoszącej nam ostateczne zwycięstwo, oznajmiał zniekształcony głos fuhrera.

Adolf Hitler pograżał się w ataku furii. Nieopamiętane gestykulując potrząsał głową, przysłaniając oczy kosmykami potarganych włosów. Raz po raz, nieporadnymi ruchami, trzęsącej się, lewej ręki usiłował odgarnąć je na czoło, to znowu w nerwowych gestach zarzucał głowę na lewo. Głośno dysząc siedział w fotelu uderzając dłońmi w podłokietniki. Rozwarte szeroko oczy napływały krwią.

- Günsche! Potrzebuję natychmiast twojej pomocy, Otto Günsche jesteś gdzieś w pobliżu?

Uszu fuhrera dobiegł głuchy łomot do drzwi.

- Wejść, krzyknął.

W drzwiach stanął potężnie zbudowany adiutant fuhrera.

- Günsche, mam do ciebie szczególną prośbę, wyrzekł w bardziej opanowany sposób.

- Tak jest, mein fuhrer.

- Sprowadzisz do mojego gabinetu doktora Morela, powinien być gdzieś w bunkrze.

- Tak jest mein fuhrer, adiutant zaszutrowawszy opuścił szybkim krokiem gabinet.

Nim jeszcze z ciała fuhrera zdążyła opaść pierwsza fala emocji, na tle szarych, pancernych drzwi ukazała się korpulentna sylwetka prywatnego lekarza fuhrera. Theo Morel za okrągłych okularów rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku naczelnego wodza, starając się określić stan swojego pacjenta.

- Nareszcie jesteś Morel, myślałem że już się ciebie nie doczekam, widzisz w jakim jestem stanie. Wciąż nawracają te przekłete skoki nastrojów, na domiar złego daję znać o sobie apatia i ogólne osłabienie.

Morel zbliżył się do fuhera niepewnym krokiem.

- Wykonamy standardowe zabiegi i wszystko wkrótce wróci do normy.

Z pakownej, skórzanej torby wydobyl strzykawkę i dużą szklaną ampulkę, uciskową gumę i cienką plastikową rurkę.

- Tak jest mein furher jak zwykle zrobimy zastrzyk z metaanfetaminy, upuścimy czarnej krwi i stan zdrowia wkrótce się unormuje. Prosiłbym tylko o zwyczajowe odpięcie guzików w mankiecie koszuli na prawej dłoni. Hitler wykonał polecenie. Morel podwinął mankiet munduru a wraz z nim rękaw koszuli, na odsłoniętym przedramieniu ukazały się liczne nakłucia, niektóre z nich, bardziej świeże wyróżniały się czerwonymi punktami na tle starszych, posiniąłych. Doktor na przedramieniu zawiązał gumę uciskową, zacisnął ją na tyle bardzo, że na białej skórze przedramienia ukazały się nie-

widoczne dotąd, ciągi nabrzmiąłych, niebieskich arterii. Zawartością ampułki napełnił strzykawkę, usunął zbędne powietrze, cienka stróżka metaanfetaminy pomknęła w powietrze. Wyszukał najgrubszą z żył, upatrzone miejsce nakłuł igłą strzykawki, po czym jednolitym ruchem zaaplikował jej zawartość. Zanim jeszcze zdążył usunąć ostrze igły z pulsującej żyły, oczy fuhrera otwarły się szerzej, zaszklily się, źrenice rozszerzyły. Doktor gwałtownym ruchem usunął z żyły strzykawkę. Wraz z dokonaniem tej czynności spadek aktywności życiowej, sennaś, apatia, skoki nastrojów obserwowane u fuhrera, ustąpiły niespodziewanie miejsca wyostreniu zmysłów, przyptywowi nieprzeczuwanej energii, jego nozdrza uwrażliwiły się na zapachy.

- Proszę teraz zażyć dwie tabletki vitamultin, jeszcze krótki zabieg puszczenia krwi a będzie mógł fuhrer odeprzeć każdy atak Rosjan, żartobliwym tonem powiedział Morel.

- Jest już na to za późno Morel.

- Wkrótce zmieni fuhrer zdanie.

- Dwie tabletki vitmultin wzmogły szybki przyptyw życiowej energii, wywołały stan nadpobudliwości i euforii, psychoruchowy niepokój. Hitler nie mógł znaleźć wygodnej pozycji w obszernym fotelu, podnosił się i opadał na jego siedzisko.

- Długo to jeszcze potrwa Morel? Nie wyobrażasz sobie nawet ile rozkazów, o być albo nie być dla Niemiec, muszę jeszcze dzisiaj wydać. Nie mogę spędzić w tym fotelu reszty życia - wykrzykiwał wymachując prawą dłonią.

Rozpięty mankiet munduru i zwisająca guma uciskowa, ograniczały jego ruchy.

- Proszę o odrobinę cierpliwości, puszczenie krwi zajmie najwyżej kilka minut.

- Najwyżej pięć i kończymy dzisiejszą kwarantannę.

Theo Morel oparł przedramię pacjenta o podłokietnik fotela, wyszukał dogodne miejsce na wprowadzenie igły połączonej z długą, plastikową rurką. Czerwona smuga pomknęła przeźroczystymi ściankami przyrządu. Rozemocjonowany Hitler zamarł w bezruchu, patrzył jak ciemna krew, kropla po kropli ścieka do szklanki. Obserwował jak wypełnia ją w jednej czwartej, jak wartkim strumieniem zbliża się do połowy zawartości, aż do momentu gdy wzburzona ciecz nieprzerwanym strumieniem wypełniła ją w zupełności. Wyteżył wzrok i skoncentrował go na połyskliwej powierzchni naczynia. Mętne dotąd spojrzenie wyostrzyło się, a w oczach załśnił błysk, zdradzający pojawienie się nagłego olśnienia. Rozbudzone myśli Hitlera przybierały tempa wraz z wzrastającą szybkością ciekącej krwi, ażeby niebawem znacząco ją wyprzedzić i pomknąć na spotkanie z powstającym w jego umyśle konspiektem zdarzeń. Zarysował się on niespodziewanie i wyraziście. Musiał tylko nieco go uszczegółowić i uporządkować wizję, jakie układały się w chronologiczny ciąg wypadków, objawiających się rozwiązaniem, jak wydawać by się mogło, do niedawna jeszcze, nierozwiązywalnego problemu swojej najbliższej przyszłości.

- Krew będzie przechowana w chłodnym miejscu, najlepiej lodówce, zarządził Adolf Hitler stanowczym głosem.

- Nie lepiej jak zwykle wylać ją do zlewu, odparł Morel.

- Należy mieć szacunek do niemieckiej krwi, a tym bardziej mojej. Dla wielu mogłaby być relikwią. Wypełnić wnętrze świętego Grala, od tylu lat bezskutecznie przez nas poszukiwanego.

- Dziwi mnie tylko że dotąd fuhrer nie traktował swojej krwi w ten sposób, jak zresztą fuhrer uważa, dopowiedział doktor Morel zakraplając oczy fuhrera atropiną.

-To rozkaz.

-Tak jest, zasalutował doktor Morel.

30. IV. 1945, bunkier pod Kancelarią Rzeszy, godziny poranne.

Pogrążony w myślach fuhrer, przemierzając wzdłuż i w szerz gabinet, na moment przystanął i sięgnął prawą dłonią po słuchawkę telefonu. Wykręcił zapamiętany numer.

- Proszę powiadomić oblatywaczkę Hannę Raitsh. Tak, tak, powinna być zorientowana, tak i mały, łącznikowy samolot.

Rozległ się odgłos pukania i dźwięk uchylanych drzwi.

- Proszę mi teraz nie przeszkadzać i nie wchodzić bez pukania – Hitler skierował wzrok w stronę wejścia - to ty Linge.

- Ależ ja pukałem mein fuhrer, być może fuhrer nie dosłyszał, oznajmił wchodzący kamerdyner.

- Proszę mi teraz nie przeszkadzać.

- Tak jest, mein fuhrer, oznajmił kamerdyner cichym głosem, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Adolf Hitler pochłonięty rozważaniami, nie bacząc na upływ czasu, pokonywał długość i szerokość gabinetu niezliczoną ilość razy, co nie zdarzało się często. Od dawna też nie rozważał tak przełomowych decyzji. Przemieszczając się chaotycz-

nym krokiem, uznał że wszystkie postanowienia jakie zmuszony był dotąd powziąć, nie nosiły ciężaru podejmowanych w chwili obecnej. Osobisty gabinet wydał się za mały, zapragnął wydostać się na szerszą przestrzeń, gdzie jak uważał jego myśli zatoczyć mogą, nieporównywalnie większe kręgi. Wyszedł na korytarz. Minął pomieszczenie przeznaczone dla personelu kuchennego, po prawej dłoni miał dyżurkę telefonistów, minął salę konferencyjną, spojrzął kątem oka w tamtym kierunku. Nadal siedziała tam grupka oficerów Wehrmachtu z którymi rano wymieniał ostatnie opinie o możliwości stawiania dalszego oporu, razem też osiągnęli wnioski o bezsensowności dalszych walk. Na rozległym, sztabowym stole przeznaczonym do przeglądu map, poniewierały się puste butelki po szampanie, w kilku stojących mniejszych i smuklejszych butelkach znajdowała się niewielki ilości wódki. Skierował się ku niewielkiemu pomieszczeniu przeznaczonemu dla owczarka Blondi, dyskretnie uchylił drzwi, pies się nie poruszył, śpi w najlepsze – uznał. Zawrócił i znalazł się na ostatniej prostej do osobistego gabinetu. Na korytarzu napotkał Martina Bormanna.

- Dobrze że cię widzę Bormann, zapraszam do mojego gabinetu, nie zatrzymują cię chyba inne obowiązki.

- Ależ skąd mein fuhrer.

Drzwi do gabinetu uchylił przechodzący oficer Wehrmachtu, nie pozwalał poznać po sobie stanu nietrzeźwości, wyprostował się, zaszutował i zamknął za dwójką mężczyzn ciężkie drzwi.

- Wchodź dalej Bormann, powiedział do osobistego sekretarza, niepewnie stawiającego kroki.

- Wobec wezwań fuhrera, wszystkie inne obowiązki tracą znaczenie.

- Gdybyś był zawsze tak sumiennym wykonawcą moich zaleceń i rozkazów, być może dzisiaj nie musielibyśmy się tutaj ukrywać, w zamian byłibyśmy stroną ostrzeliwującą bunkier sowieckiego dowództwa pod placem czerwonym na moskiewskim Kremlu.

- Co fuhrer ma na myśli - podejrzliwym tonem zapytał zastępcę fuhrera, zdradzając oznaki zawahania i zaniepokojenia. Adolf Hitler spojrzął na najbliższego współpracownika lecz w rozrzedzonych promieniach światła, jakie padały na tę część gabinetu, nie dostrzegł niczego, co mógłby odczytać w jednoznaczny dla siebie sposób.

- Podejdź bliżej, musimy porozmawiać jak najbliżsi współpracownicy, nadarza się jedna z nielicznych okazji, gdy można wymienić kilka mniej oficjalnych zdań. Domyślasz się chyba do czego zmierzam? Martin Bormann zbliżył się do siedzącego w fotelu fuhrera na odległość kilku kroków.

- Fuhrer wybacz, ale nie jestem w stanie odczytać ukrytych podtekstów.

- Przecież zawsze byłeś nadzwyczaj domyślny, w lot pojmwaleś moje myśli, wystarczyło ci pół słowa ażeby dokończyć całe moje zdanie.

- Tym razem choć bardzo bym chciał to.....

W tym momencie stropy wraz z ze ścianami bunkra zadrżały od pobliskiej eksplozji najcięższych pocisków. Ponad bunkrem przetoczyła się moździerzowa salwa wraz ze zmasowany ostrzałem wyrzutni raketowych, obiegowo nazwanych przez niemieckich żołnierzy „organami Stalina”. Z sufitu osypała się chmura pyłu wraz z niewielkimi odłamkami betonu. Martin Bormann odruchowo przykucnął, bezwiednie przymknął oczy. Po ich otwarciu zobaczył politurowany blat stołu pokryty grubą warstwą jasnego nalotu. Przygasające światło ukazywało siedzącą sylwetkę fuhrera, skrywającego głowę w dłoniach, obejmujących rondo czapki. Oddalające się echo wystrzałów, powracające oświetlenie, oczyszczające się z pyłów powietrze, zwiastowały oddalanie się bezpośredniego zagrożenia.

- Nic się Fuhrerowi nie stało? Zapytał otrzępując mundur, pochylający się nad Adolfem Hitlerem, Bormann.

- Nic mi nie jest, przeżywałem znacznie poważniejsze wybuchy. Zorientuj się w jakim stanie jest Ewa i wezwij do mnie Gunschego i Lingego. Nie, zaczekaj poproś moją żonę, tutaj do gabinetu.

-Tak jest, mein fuhrer, w służbowym tonie odpowiedział Martin Bormann, po czym szybkim krokiem zniknął za domykającymi się drzwiami.

W drzwiach stanęła skonsternowana nietypowym zaproszeniem Ewa Hitler.

-Wybacz że musiałem fatygować cię osobiści, to ja jako twój świeżo poślubiony mąż powinienem udać się do ciebie, jednak waga sprawy nakazuje mi oznajmić ci coś w cztery oczy, proszę podejdź bliżej i zamknij drzwi. Zaintrygowana Ewa Hitler postąpiła kilka kroków naprzód zbliżając się do siedzącego za biurkiem męża.

- Po długich przemyśleniach odnalazłem wyjście z naszego krytycznego położenia. Postanowiłem że opuścimy bunkier żywi, zachowując w trwaniu nasze małżeństwo i jak mam nadzieję moją kontrolę nad kolejnym etapem rozwoju Niemiec. Aktualne klęski, co do tymczasowości których nie mam najmniejszych złudzeń, zastąpione zostaną wkrótce niekończącym się pasmem sukcesów, a wówczas moja postać ponownie wkroczy na arenę dziejów. W tym też celu upozorujemy naszą śmierć, oddalimy się w bezpieczne miejsce i rozpoczniemy nowe, szczęśliwe życie, jak się zapatrujesz na moją decyzję Ewo?

Konsternacja i zniecierpliwienie Ewy Hitler, wraz z ostatnimi słowami męża zamieniło się w grymas zdziwienia, objawiający się przybraniem kamiennego wyrazu twarzy. Po chwili jej błędzący wzrok utknął w wpatrzonym w nią obliczu fuhrera. Próbowwała wypowiedzieć kilka słów, lecz kąciki jej ust zamarły w niemym bezruchu nim. Uwięzły w gardle głos, po

kilku odkrztuszeniach, zdołał oznajmić;

- To lepsze rozwiązanie niż samobójstwo, z myślami o którym nosiłeś się od kilku dni. Mnie wówczas nie pozostawałoby nic innego jak pójść w ślad za tobą. Zdołałam się nawet pogodziłam z tą nieuchronną decyzją, stąd moje zdziwienie. Nie może być chyba większego zdziwienia niż zwrócone życie.

- Tak więc wyrażasz zgodę na wspólną ucieczkę?

- Wyrażam Adi.

- W związku z tym wszystko co sobie powiedzieliśmy musi pozostać między nami. Oczywiście o naszej ucieczce nie dowie się nikt poza kilkoma wtajemniczonymi osobami. Dla odwrócenia uwagi, będę zmuszony oficjalnie oznajmić decyzję o konieczności popełnienia samobójstwa i pożegnać się ze współpracownikami. Wówczas ty oznajmisz chęć popełnienia go wraz ze mną, może nie być to dla ciebie łatwe, niemniej jest to konieczne.

- Oczywiście Adi.

- A teraz powróć do salonu i zachowuj się jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Oczywiście Adi, mówiąc to Ewa Hitler niepostrzeżenie odwróciła się i zniknęła za zamkniętymi z trudem drzwiami.

Fuhrer dwukrotnie przeszedł w poprzek swój gabinet i zbliżył się do politurowanego sekretarzyka. Ze środkowej szuflady wydobył niewielki oprawiony w czarną skórę notatnik, na okładce widniała podobizna wytłoczonego orła z szeroko rozpostartymi skrzydłami, unoszącego w szponach krzyż o przełamanych ramionach, wpisany w okrąg. Oparł notatnik o blat biurka i przytrzymując go nieporadnie, lewą ręką przewertował kartki, zmrużył oczy. Słabnący wzrok uniemożliwiał odczytanie drobnych, pochyłych cyfr, zapisanych mało wyrazistym charakterem pisma. Z kieszeni płaszcza wydobył owalne etui, a z niego okulary. Mógł już bez nadmiernego wyężdżania wzroku zapoznać się z zawartością notatnika, przerzucił kilka kartek i odnalazł poszukiwany numer. Wykręcił kilka następujących po sobie cyfr, po chwili rozległ się długi sygnał łączonej rozmowy.

- Fuhrer na linii, chciałbym rozmawiać z dowódcą specjalnej jednostki operacyjnej sturmbannfuhrerem SS Ditrichem Runge.

- Tak jest mein fuhrer, oczekuje on w gotowości na pański telefon, właśnie podchodzi do aparatu.

- Hail Hitler, odpowiedział fuhrer na zasłyszane w słuchawce pozdrowienie. Słyszysz pan wszystko co do pana mówię?

- Doskonale, mein fuhrer.

- Możemy przystępować do realizacji planu o kryptonimie „Dubler”, wszystkie szczegóły pozostają bez zmian. Zwłoki Gustava Welera, a także drugiego mojego sobowtóra i sobowtóra żony dostarczycie do ogrodu kancelarii Rzeszy najpóźniej jutro we wczesnych godzinach porannych. Co niezwykle istotne, nie możecie zapomnieć o wstawieniu sobowtórów mostków protetycznych. Muszę mieć absolutną pewność że akcja będzie możliwa do przeprowadzenia, czy któreś z niespodziewanych rosyjskich natarć w waszym rejonie nie odcięło wam połączeń komunikacyjnych?

- O powodzenie całego planu fuhrer nie musi się obawiać, jeżeli nawet nastąpiłyby nieprzewidziane zdarzenia i front przesunąłby się w rejon naszej operacji, przerzutu sobowtórów dokonamy podziemiami metra. Odpowiedzialność za powodzenie akcji jak zwykle biorę na siebie. Wciąż trwam na posterunku, a mój oddział wraz ze mną.

- Wysłuchuję pańskich słów ze szczególną satysfakcją, szczególnie teraz gdy tyłu tchórzy poddaje się bez walki.

- My nie poddamy się nigdy mein fuhrer, będziemy walczyć zgodnie z rozkazem fuhrera, do ostatniego żołnierza i ostatniego naboju.

- Jeżeli akcja się powiedzie, a nie zdążę wynagrodzić pana na tym świecie, proszę upomnieć się o nagrodę w krainie Thora i Odyna, z pewnością się tam spotkamy, a wówczas wynagrodzę pana czym tylko będę rozporządzał w tamtym wymiarze.

- Tak jest mein fuhrer, gdy tylko się tam spotkamy upomnę się o nagrodę, sieg heil. Sturmbannfuhrer nerwowym ruchem odłożył słuchawkę. Pewnym krokiem wyszedł z telefonicznej dyżurki, dwukondygnacyjnego posterunku SS. Odczuł silny powiew wiosennego wiatru przedostający się przez pozbawione szyb okiennice. Nim zdążył zaczerpnąć kilka głębszych wdechów ożywczego powietrza, niespodziewanie podłogą i ścianami wstrząsnęła fala uderzeniowa wybuchającego w pobliżu artyleryjskiego pocisku, na ścianach pojawiły się kolejne spękania. Bez uprzedzenia wszedł do służbowego pomieszczenia zajmowanego przez hauptsturmführera Ludwiga Sholla.

-Heil Hitler .

-Heil Hitler, odpowiedział powstający z krzesła SS – mann.

- Dzwonił fuhrer, rozkazał rozpoczęcie akcji pod kryptonimem „Dubler” najpóźniej na jutro rano musimy dostarczyć do ogrodu Kancelarii Rzeszy trójkę sobowtórów. Zważywszy na możliwość nieprzewidzianej zmiany linii frontu, akcję zamierzam przeprowadzić w trybie natychmiastowym. Proszę wydać odpowiednie rozkazy i przystąpić do wykonania planu.

-Tak jest sturmbannfuhrer - hauptsturmführer Sholl sięgnął po stojący na biurku telefon. Jednocyfrowy wewnętrzny numer skontaktował go z podwładnymi – łączyć mnie natychmiast z untersturmführerem SS Ecksteinem, zakomenderował stanowczym tonem. Na dźwięk pojawiającego się w słuchawce głosu dodał - Ogłaszam rozpoczęcie akcji o kryptonimie „Dubler”. Pamiętajcie, sobowtórów macie zgładzić dopiero na miejscu, bez względu na trudności jakie mieliby sprawić w

trakcie ich przerzutu, ma to niezwykle istotne znaczenie, późniejsze ekspertyzy mogłyby wykazać zaszle nieprawidłowości, nie zapomnijcie też o sztucznych zębach.

- Potwierdzam gotowość do wykonania, heil Hitler.

- Heil Hitler odpowiedział untersturmfuhrer, nie mniej zdecydowanym tonem.

Untersturmfuhrer SS Erik Eckstein wraz z trzema sturmmannami SS, zbiegł po schodach do podziemi niewielkiego posterunku, mieszczącego cztery pomieszczenia oddzielone od siebie i korytarza, masywnymi prętami krat. Z kilku kluczy nanizanych na metalowy okrąg wyznaczył trzy oznaczone numerami od jednego do trzech. Zbliżył się do celi o numerze 1, ciężki klucz zazgrzytał w od dawna nie oliwionym zamku, stojący za nim jeden ze sturmmannów SS wszedł do otwartej celi.

- Wychodzimy, wyrzekł sturmmann SS donośnym głosem, spotęgowanym akustyką pomieszczenia pozbawionego okien. Chwycił młodą kobietę za lewą dłoń i pociągając ku wyjściu.

- Czy na pewno ubrana jest w rzeczy przewidziane w rozkazie, a wszystkie zabiegi dentystyczne zostały wykonane? Zapytał untersturmfuhrer Eckstein podwładnego.

- Sam sturmbannfuhrer dopilnowywał aby przebrała się w przygotowany ubiór, był także obecny przy zabiegach wykonywanych przez dentystę z SS.

Kobieta w wieku trzydziestu kilku lat, o średniej długości blond włosach, nieco pofalowanych, zaczesanych na dwie równe połowy, ubrana w długą sukienkę w kwiatowy deseń, jasne pończochy i zwiewną beżową bluzkę, była na tyle przerażona że nie próbowała w żaden sposób przeciwstawić się wydawanym komendom. Zdawała sobie zapewne sprawę z daremności stawiania wszelkiego oporu, wypisane na twarzy oznaki zmęczenia i wycieńczenia, spowodowane przedłużającym się aresztem, sprawiły że zachodzące wokół zdarzenia stały się dla niej najzupełniej obojętne. Stała na korytarzu aresztu wpatrując się stępiałym wzrokiem w dwójkę mężczyzn pozostających za kratami. Untersturmfuhrer otworzył drzwi kolejnego aresztu. Leżący dotąd na pryczy mężczyzna podniósł się, jego brak wyrazistego podobieństwa do Adolf Hitlera przestało już dziwić SS – manna. Podczas kilkudniowego dozoru starszego mężczyzny, doskonale poznał wszystkie anatomiczne różnice jakie nie zezwalały, szczególnie w przypadku bliższej i wnikliwszej obserwacji, uznać Gustava Welara za wierny duplikat przywódcy III - ej Rzeszy. Miał wystarczająco dużo czasu by dostrzec rozbieżności w kształcie nosa, uszu, wyrazie oczu. Jedynie u fryzowanie włosów, wąski wąsik, postura wydawały się być uderzająco podobne. Mógł on w niebudzący podejrzeń sposób dublować fuhrera jedynie podczas publicznych wystąpień, parad, wieców, z większej odległości aparycja obojga mężczyzn mogła być uznana za identyczną.

- Pospiesz się za moment ma nas wszystkich tutaj nie być. Gustav Weler poruszył się ospale.

- Nie rozumiesz co się do ciebie mówi, chcesz poczuć na własnej skórze siłę metalowego pejcza, untersturmfuhrer wskazał lewą dłoń na przytroczony do pasa czarny przedmiot.

- Ażeby was wszystkich roznieśli na strzepy rosyjscy żołdaci. Oto podziękowanie za wszystkie wystąpienia w imieniu fuhrera, pozostawanie w ciągłej gotowości, lata poświęceń.

- Twoją powinnością wobec narodu i partii jest służyć swoim wyglądem fuhrerowi, bez względu na porę i miejsce, dlatego teraz zabieraj się do wyjścia, fuhrer oczekuje twojej pomocy.

- Teraz, podczas oblężenia planuje kolejne wystąpienie? Z niedowierzaniem dopytywał się sobowtór Hitlera.

- Nawet podczas oblężenia musi zachować kontakt z narodem, podczas wystąpienia mógłby zostać trafiony odłamkiem, więc musisz go zastąpić, wystarczy że się pokażesz, nie będziesz musiał nic mówić, z resztą twoją rolą nie jest zadawanie pytań - ponaglił aresztanta kilkoma szarpnięciami, wygrażając pejcem popędzał do szybszego opuszczenia celi.

Sturmmann otworzył trzecią celę. Jakkolwiek podobieństwo do fuhrera uwięzionego w niej mężczyzny wydawało się być jeszcze mniej przekonujące, to nie oczekiwano od niego, by stał się jego wierną multiplikacją. Najistotniejsze w tym przypadku było podobieństwo wieku, wzrostu i budowy ciała, a warunki te więzień spełniał w sposób bardziej niż zadowalający. Nie musiano też stosować szykan ażeby opuścił on zajmowaną celę. Najwyraźniej nie domyślając się celu przedsięwzięcia, przypuszczał że na skutek postępujących oddziałów wroga uwalniani zostają wszyscy przetrzymywani więźniowie, w celu wzmocnienia słabnących linii obrony.

Troje osadzonych i czwórka konwojujących ich SS- Mannów w pośpiechu opuszczała więzienne podziemia posterunku. Ze znajdującego się na parterze magazynu broni konwojenci pobrali osobistą broń, karabinki szturmowe typu STG - 43, jako dodatkowe wyposażenie przydzielono im pistolety P 08 Luger 09. Każdy z nich otrzymał po pięć granatów, machinalnie zatkniętych drewnianymi trzonkami za pasek, uzupełnili zapas amunicji, po czym przeszli do głównego holu, gdzie oczekiwali na rozkaz do wymarszu. Na korytarzu ukazała się wysoka sylwetka sturmbannfuhrera Ditricha Runge, sprężystym krokiem zbliżając się do wydelegowanych do akcji SS - mannów.

- Chciałbym się raz jeszcze upewnić czy wszystkie szczegóły są wam znane? Podczas tej akcji nie może być mowy o najmniejszej pomyłce, zostaliście obdarzeni najwyższym zaufaniem przez samego fuhrera, a wytypowani zostaliście jako

oddział najbardziej doświadczony w ulicznych walkach Stalingradu, Warszawy, Rzymu, Budapesztu, spośród innych pozostałych w oblężonym Berlinie.

- Wszystko odbędzie jak podczas przeprowadzanych symulacji, odpowiedział untersturmfuhrer Erick Eckstein
- Fuhrer będzie wam wdzięczny, a więc powodzenia, heil Hitler.
- Heil Hitler, odwzajemniła pozdrowienie czwórka SS – Mannów.

Jeden z sturmmannów SS stanął na początku szeregu, pozostali zajęli pozycje na jego końcu. Untersturmfuhrer wysunął się przed szereg i oznajmił stojącym obok siebie cywilom.

- Będziemy się posuwać na przód w szyku zwartym, w pozycji pochylonej do przodu. Przed nadlatującymi pociskami będziemy się kryć w zagłębieniach terenu, każde nieuzasadnione oddalenie się od oddziału uznane będzie za próbę ucieczki i karane będzie śmiercią, wszystko jasne?

Trójka cywilów potwierdziła przyjęcie do wiadomości słów dowódcy oddziału skinieniem głów. Konwój ostrożnie opuścił budynek posterunku, upewniwszy się czy najbliższa ulica nie dostała się pod kolejny ze zmasowanych ostrzałów, czy też któryś z czerwono armijnych oddziałów awangardy nie wdarł się niespodziewanie do tej części dzielnicy, stawiającej wciąż zaciekły opór. Droga jaką mieli pokonać, wydawał się nie stanowić większego zagrożenia, przynajmniej w zasięgu ich wzroku. Zwartą kolumną posuwali się naprzód, niekiedy tylko na otwartych przestrzeniach, w kwartałach ulicznej zabudowy, w większości wyburzonych, instynktownie przywierali do ziemi. Zaniepokojeni gwizdem przelatujących pocisków, starali się skryć w każdej głębszej niecce. Pociski zwykle rozrywały się gdzieś w oddali, wstrząsając ziemią w promieniu kilkudziesięciu metrów. Z przylegających ulic od strony wschodniej, dochodziły odgłosy zaciętych walk, zaciągając nieco na odległych krańcach prostopadłych ulic. W oddali spośród stert gruzów wylaniały się drobne sylwetki chłopców z Hitlerjugend z pancernaustami w dłoniach, szukających bezpiecznego stanowiska do oddania strzału w kierunku wolno posuwających się rosyjskich pojazdów pancernych.

Przemykający pośród ruin konwój, dobiegały odgłosy przetaczających się przez ulice, kolumn czołgów. Metaliczny zgrzyt gaśnic, trących o granitową kostkę, powodował wyczuwalne drżenie ziemi. Na ludzi znajdujących się w dużej nawet odległości, sprowadzał ciarki biegnące od szyi po końce palców u nóg, wdzierał się w każdą szczelinę ciała i przenikał do wnętrza. Grupę SS – mannów i eskortowanych cywili dobiegały odgłosy eksplozji, lecz w obawie przed znalezieniem się w ich zasięgu, pomimo narastającej ciekawości nie sięgali wzrokiem za siebie, w celu upewnienia się czy wybuch powstał w wyniku zniszczenia czołgu, czy też był pogłosem jego wystrzału. Doświadczeni frontowymi walkami SS – manni, starali się nie rozpraszać uwagi, szóstym, wojennym zmysłem wykształconym podczas długotrwałych kampanii na froncie wschodnim, wyszukiwali bezpiecznych korytarzy pośród zwałowiska gruzu. Znali też nawyki i stosowaną przez czerwonoarmistów taktykę, przewidywali którędy może zostać poprowadzony atak, które z ulic Sowietów starali się będą otoczyć, a które pozostawią wolnymi od walk, chcąc już wkrótce zająć je taktycznym oskrzydleniem.

Untersturmfuhrer Eckstein, starając się odszukać miejsca orientacyjne w doskonale znanej sobie przed oblężeniem, dzielnicy Kreuzberg, raz po raz oddalał się od oddziału, nakazując podległym sobie żołnierzom osłaniać się przed niespodziewanym atakiem. W warunkach sowiecko – niemieckich zmagania, jakie zawężyły się do wąskiego frontu, biegnącego ulicami zburzonego miasta, rozpoznanie znanych sobie miejsc stawało się często nie możliwe. Alianckie bombardowania z powietrza, prowadzone z użyciem taktyki nalotów dywanowych, ostrzał sowieckiej ciężkiej artylerii, powodował że całe kwartały miejskiej zabudowy, całe dzielnice przeobraziły się w księżycowy krajobraz kraterów i lejów po wybuchach, jak gdyby miejsce to przed nieodległym czasem nawiedzić miał deszcz meteorytów. Historyczna zabudowa roztarta została w ceglany pył, unoszący się nad brudnym morzem popiołów. Dla dowódcy oddziału, bardziej w tych warunkach przydatna stawała się orientacja względem stron świata, wypracowana podczas przemierzania bezkresnych i nieoznakowanych obszarów, rozległego niegdyś frontu wschodniego, rozciągającego się na ponad trzy tysiące kilometrów.

Przemierzali pozostałości ruchliwych do niedawna jeszcze skrzyżowań, na ulicach poniewierały się wypalone wraki samochodów i ciała martwych koni, zalegały powalone na jeden z boków, tramwajowe wagony. Ponad zdewastowanymi chodnikami sterczały kikuty cokołów sygnalizacji świetlnej, przełamane latarnie, pochylone uliczne kierunkowskazy. Untersturmfuhrer pochylił się nad jednym z nich, napis gotycką czcionką obwieszczał „ Neue Reichskanzlei”. Wyprostował przekrzywiony metalowy statyw, naprawiony kierunkowskaz określał teraz precyzyjnie drogę do Nowej Kancelarii Rzeszy.

- Idziemy w dobrym kierunku, oznajmił zarzucając zsuwający się z ramienia karabin. Poznaję to skrzyżowanie, jeżeli wróg nie przegrodzi nam drogi powinniśmy być w Kancelarii nie dłużej niż za pół godziny.
- Z kierunku w którym zmierzamy, untersturmfuhrer dobiegają najgłośniejsze salwy.
- To jedyna droga. Takie same salwy dobiegały z opanowywanych przez nas dzielnic Warszawy w sierpniu '44 – go roku.
- Tyle tylko że wtedy to my byliśmy stroną ostrzeliwującą.
- Te czasy jeszcze powrócą sturmmann , a teraz czym prędzej musimy dobiec do najbliższych zabudowań, uważajcie na więźniów.

Siedmioosobowy oddział pochylając się, w niewielkich odstępach pokonywał odsłonięty teren rozległego skrzyżowania. Spod ich nóg usuwały się bazaltowe kostki, bezładnie poniewierające się w miejscach dawnych chodników. Podeszwy butów oślizgiwały się po fragmentach szkła z chrzęstem rozdrabniając je na mniejsze odłamki. Kłęby ognia, jakie zupełnie nie dawno przetoczyć się musiały przez ten obszar miasta, pochłonawszy wszystko co mogły strawić na swej drodze, pozostawiły po sobie wysmagane tłustym dymem gruzowisko. Nad pogorzeliem unosił się swąd dopalających się tu i ówdzie niewielkich pożarów, zza pierzei sąsiednich ulic dobiegał narastający łoskot eksplozji. Wokół rozrywały się burzące i zapalające pociski, ich fala uderzeniowa przybierała na sile, powodując uczucie utraty równowagi, rozchwanie ciała i rozkołysania nóg. Podczas wstrząsających ziemią detonacji, idący w kolumnie ludzie przywierali do ziemi. SS - Manni czujnie nasłuchiwali, w momencie gdy łoskot zacichał, powietrze na moment zamierało w bezruchu, znikąd nie nadbiegał gwizd nadlatującego, śmiertelniegroźnego pocisku, nakazywali cywilom jak najszybszym krokiem, dobiec do kolejnego zwałowiska powalonych murów. Przeorana eksplozjami ziemia, rozstępująca się kraterami wybuchów, często wypełnionymi wodą z wyrwanych z posad studni i rozerwanych wodociągów, nie obfitowała w miejsca bezpiecznej kryjówki dla pojedynczej nawet osoby. Z pozoru bezpieczny załom, wrak spalonej ciężarówki, na wpół zburzona ściana stanowiły pozorne schronienie. Zabójczy pocisk mógł nadlecieć z zupełnie nieprzewidzianego kierunku, rozsiać śmiertelniegroźne odłamki w miejscu gdzie najmniej się tego spodziewano.

W odległej perspektywie zamajaczył kilkusobowy oddział, ostrzeliwujący się z broni automatycznej, biegł w ich kierunku. SS- mani rozpoznali beżowe kolory płaszczy i mundurów, dobiegły ich strzępy dialogów w języku rosyjskim, przylgnęli do ziemi. Na tle ceglanej czerwieni, ich zielonobłękitne bluzy mundurowe traciły swoje właściwości maskujące. Biegący, rosyjscy żołnierze dostrzegli ich zwartą kolumnę, przywarła do podłoża jak stadko łownego ptactwa, obserwujące każdy krok przechodzącego obok myśliwego. Posłali w ich kierunku kilka krótkich serii z pistoletów maszynowych, wokół zagwizdały pociski i odłamki cegieł, otoczenie przysłonił ceglany pył, przedostający się do oczu i nozdrzy. Jeden z Sturm-mannów sięgnął po trzymany w gotowości do strzału karabin szturmowy, przeryglował zamek, Untersturmführer trącił go w ramię, zabraniając tym samym pociągania za spust.

- Nie możemy podejmować walki, ryzyko niepowodzenia całej akcji jest zbyt duże. Zdamy jeszcze wziąć na nich odwet, wyszeptał Untersturmführer.

Kilkusobowy sowiecki oddział przemknął w odległości kilkudziesięciu metrów, uznając zapewne przeciwnika za martwego lub też nie groźnego. Zapędził się też tutaj najpewniej z innych powodów, niepostrzeżenie znikając za rozwidleniem najbliższej ulicy.

Niemiecki konwój przywarł bardziej jeszcze do ziemi, pomimo że wszyscy, w szczególności cywile przysłaniaли dłońmi uszy, dobiegły ich odgłosy zaciętej walki, furkot nadjeżdżających czołgów, pogłosy wystrzałów z pancerfaustów i panzerschreków, głuchy pogłos rozrywających się niemieckich, zaczepnych granatów. Nagłe pojawienie się sowieckiego oddziału, jak miało się okazać było próbą okrążenia, niewielkiego oddziału Hitlerjugend, stawiającego fanatyczny opór. W krótki czas później zapadła cisza, sowiecki manewr osiągnął swój skutek.

Mijana ziemia nie miała w sobie nic z pierwotnej gościnności, zdolnej ukołysać każde ziemskie istnienie, wręcz przeciwnie stała się wrogiem, jałowym pustkowiem, zdolnym unicestwić każdą istotę która pojawiłaby się na jej powierzchni. Zupełnie jakby stać się miała powierzchnią obcej planety, gdzie nieprzewidywalne warunki bytu, nieodpowiadające potrzebom ziemskiej egzystencji, okazać się mogły śmiertelną pułapką. W takich warunkach, zachowanie najdalej idących środków ostrożności, nawet przez żołnierzy doświadczonych w miejskich walkach, okazywało się najczęściej bezużyteczne. Na ich życie czyhała niedostrzegalna lufa snajperskiego karabinu, morderczy granat osiągnący cel stromotorowym lotem, wystrzeliwany z trudnego do określenia miejsca, najczęściej zza przysłony muru lub ruin budynku z morderczego piechoty. Z nieznanego kierunku nadlecieć mógł samolot myśliwski zięjący ogniem wielkokalibrowych karabinów maszynowych, pokrywający gradem pocisków każdy metr kwadratowy ruin. Jedynym możliwym do określenia obszarem śmiertelniegroźnego ostrzału, wydawała się być artyleryjska kanonada ustawionych w szyku liniowym dział. Wystrzeliwane pociski przeczesywały teren w miarowych odstępach. Następujące po sobie wybuchy przesunęły się regularnymi, łatwymi do rozpoznania falami, każda z kolejnych artyleryjskich salw opadała o kilkadziesiąt metrów dalej. W równomiernym tempie odległość ta wzrastała do kilkuset metrów, wkrótce rozbłyski wybuchów dobiegały z odległości ponad kilometra i niosły się echem detonacji na odległe obszary, by powrócić po niedługim czasie na pierwotnie rażone pozycje. Przemierzające się w dal eksplozje były najważniejszym momentem do pokonania kolejnego odcinka otwartej przestrzeni. Dowódca oddziału dawał wówczas sygnał do opuszczenia zagłębień i załomów terenu, podążali za nim podkomendni wraz z więźniami, bezwiednie odnoszącymi się do każdego rozkazu. W poczuciu paraliżującego strachu, biernie przedostawali się do kolejnych przecznic, rozwidleń, skrzyżowań. Wraz z zajęciem nowych pozycji, okazywało się, że skuteczna dotąd metoda ustalania obszarów pokrywanych ogniem, zupełnie się nie sprawdza podczas chaotycznej kanonady, następującej z kilku kierunków. Kanonady typowej dla obszarów miejskich, wokół których zacisnął się szczelny pierścień dwóch armii, oskrzydłujących Berlin od północy i południa. Gęsta dotąd tkanka ulic, zwarta miejska zabudowa coraz częściej ustępo-

wały miejsca otwartym perspektywom, powstałym częściowo na skutek zawałów stojących tu budynków, częściowo zaś z przyczyn istniejących tutaj uprzednio otwartych prospektów, miejskich placów. Ogłuszające eksplozje targały ziemią w bliższym i dalszym otoczeniu, przysypywały brunatnymi grudami zwałowiska zwęglonego drewna, stanowiącego niegdyś konstrukcję dachów, framugi okien, futryny drzwi. Podmuchy towarzyszące wybuchom, skręcały w supły i węzły przewody trakcji elektrycznej, niosły z sobą chmury zanieczyszczeń, osiadających na wypalonych wrakach rosyjskich czołgów i dział samobieżnych.

Nadlatujący z niemożliwego do ustalenia kierunku pocisk, przeszył powietrze z sykiem jadowitego węża i eksplodował w jeszcze trudniejszym do ustalenia miejscu. Uniesione w powietrze grudy ziemi wraz z pyłem, stanowiącym mieszkankę rozkruszonego betonu i sproszkowanych cegieł, opadły na ubranie chowających się w rozpadlinach ludzi. Wkrótce poruszyli się, by strzepnąć z siebie i odkasznąć zalegający w płucach kurz. Wspierali się na rękach, powstawali na kolana, starali się położyć na wznak, rżąc przy tym i dysząc. Brudnymi rękoma przeczesywali przywarłe do głowy, zasklepione w bryłę kurzu i pyłu - włosy. Podczas gdy eskortujący i eskortowani wykonali kilka instynktownych ruchów, utwierdzających w przekonaniu, że ich ciała nadal podtrzymują niezbędne do życia funkcje - kobieta - dotrzymująca dotąd kroku wszystkim mężczyznom, nie poruszyła się. Pozostali utkwili spojrzenia w jej niedbale rozrzuconych nogach, nienaturalnie skrzyżnym tułowiu. Leżała na prawym boku, jej twarz zamarła w niemym bezruchu i przywarła lewym polikiem do bryły betonu. Otwarte nadal oczy połyskiwały zielonymi tęczęwkami. Dla wszystkich oczywiste stało się że któryś z eksplodujących pocisków dał dowód swojej niszczycielskiej siły. Untersturmführer wsparł jej ciało na plecach, przez zwiewną bluzkę, okrywającą klatkę piersiową przesączała się krew.

- Musimy bezwzględnie zabrać ją ze sobą.

- Untersturmführer w tych warunkach? Zaprotestował jeden ze sturmmannów.

- Wydałem jednoznacznie brzmiący rozkaz, będziemy ją nieśli na zmianę, jako że pierwszy zabrałeś głos w tej sprawie, wyznaczyłeś tym samym siebie na niosącego zwłoki w pierwszej kolejności. Ruszajmy zanim nie pokryje nas kolejna nawała ogniowa, nasz cel już wkrótce znajdzie się w zasięgu wzroku.

Najroślejszy z sturmmannów uniósł martwą kobietę na wciągniętych przed siebie dłoniach, jej głowa bezwładnie osunęła się ku dołowi, zmierzwione włosy rozproszyły się w zwiewny wachlarz. Nie stanowiła dużego ciężaru, ani też jej ciało nie sprawiało większych trudności podczas dość powolnego przemieszczania się pośród rumowiska stali, drewna i betonu, raz po raz zagrażającego drogę kolejnymi hałdami najeżonych gruzów. Z rzadka dało się słyszeć pojedyncze eksplozje. Rozpraszały się w gdzieś w oddali. Fala uderzeniowa zataczała coraz to większe, rozchodzącą się równomiernie - kręgi, niosące z sobą wyczuwalne pod stopami drżenie ziemi. Mogli teraz przyspieszyć kroku, wkrótce też dokonano zmiany SS-manna niosącego zwłoki kobiety. Cel ryzykownej wyprawy, według ocalałych punktów orientacyjnych powinien znajdować się w nieodległym sąsiedztwie, promieniście rozchodzącego się skrzyżowania. Wyłonić się zza najbliższego frontonu zrujnowanej kamienicy, wspierającej do niedawna swój ciężar na masywnych kolumnach rozłożystych podcieni. Pokrzepieni świadomością nie odległego już kresu wyprawy, pokonywali z większą determinacją kolejne, z pozoru nieprzebrnione ostępy księżycowego krajobrazu. Przy okazji tej, stając się jak gdyby biernymi statystami w ziszczonych wizjach i apokaliptycznych przepowiedniach proroków wszystkich minionych epok. Wizjach i przepowiedniach rozgrywających swoje uderzająco podobne kadry z regularną powtarzalnością na przestrzeni mileniów, a jedyną zmianę podczas ich projekcji w rzeczywistość, stanowią odmienne rysy twarzy ich uczestników i uwspółcześnione tło miejskiej czy też polowej scenerii. W tym przypadku wizjach przepowiadających pojawienie się człowieka mieniającego się mesjanistycznym posłannictwem najdoskonalszego z narodów, wcielającego w życie najbardziej zaawansowane technologicznie wynalazki i najnowsze naukowe odkrycia swojej epoki.

Mogli już nadrobić stracony w trakcie ostrzału czas, pochyleni do przodu, w szybkim tempie przemierzali wrogi sobie teren. Bardziej podobny do fuhrera i zaawansowany wiekiem sobowtór Adolfa Hitlera nie ustępował kroku młodemu żołnierzom z Waffen SS, nie domyślając się celu wyprawy. Gustav Weler nie prowokował eskorty do stosowania gróźb i ponagleń, podążał w zwartym szyku. SS-manni dokonali ostatniej zmiany niosącego ciało kobiety. Przeszli obok ruin Banku Rzeszy przy Lindenstrasse. Przemknęli otwartą perspektywą opustoszałej Wilhelmstrasse, jak kanionem górskiej rzeki, napotykając po drodze przedmioty jakie mogły nanieść z sobą wartkie wody, podczas klęski powodzi. Z wolna też stawały się rozpoznawalne kontury ruin Kancelarii Rzeszy. Minęli siedzibę Ministerstwa Lotnictwa pod numerem 97, szybkim krokiem pokonali ostatnią prostą kończącą się przed frontonem budynku Kancelarii i zniknęli na tyłach gmachu. Znalazłszy się w kancelaryjnym ogrodzie, bez trudu odnaleźli głęboki lej po bombie, wspomniany w telefonicznym rozkazie, obok niego poniewierały się w nieładzie dwa wojskowe koce w kolorze feldgrau, untersturmführer spojrzał na jego dno, ocenił głębokość.

- Sturmmann Kempke owińcie ciało kobiety w jeden z kocy. Untersturmführer Erik Eckstein, zbliżył się do leżących włók, z prawej kieszeni maskującej bluzy z kapturem w kolorach wiosenno - letnich wydobyl rękawiczki.

- Sturmmann Kempke i Sturmmann Hildebrand otwórzcie usta kobiecie.

- Obaj SS- manni z trudem rozwarli zaciśnięte w pośmiertnym skurczu żuchwy. Untersturmführer z ebonitowego etui przechowywanego w tej samej kieszeni wydobyl mostek protetyczny i umieścił je w rozwartych ustach. Z miniaturowego, drewnianego zasobnika, dobytego z wewnętrznej kieszeni bluzy wyjął szklaną ampulkę z cyjankiem i włożył ją pomiędzy rozwarte szczęki, po czym silnym uściskiem obu dłoni zamknął usta kobiety. Gustav Weler wraz z drugim sobowtórem Adolfa Hitlera przyglądali się czynnościom untersturmführera z narastającym przerażeniem. Gustav Weler wykonał kilka kroków w tył, odwrócił się i podjął chaotyczną próbę ucieczki, wkrótce też został bez trudu ujęty przez dwóch wyruszających w pogoń, sturmmannów. Przyprowadzony do untersturmführera stawiał jeszcze nieznaczny opór, szamotał się, podtrzymywany pod ramiona przez SS – Mannów. Untersturmführer z kabury wydobyl pistolet Walter kaliber 7.65 mm, bez zastanowienia przyłożył jego lufę do skroni starszego mężczyzny, beznamietnie nacisnął spust, wiotkie ciało Gustava Weler osunęło się na ziemię. Pozostały przy życiu mężczyzna stał z zamkniętymi oczyma, jego ciało od stóp po głowę przenikało drżenie, z ust padały niezrozumiałe słowa. Untersturmführer gwałtownym ruchem dłoni przeładował pistolet, przystawił lufę do jego podbródka, z zimną krwią wystrzelił. Pocisk wyrwał niewielki strzęp czaszki w okolicach potylicy i za-furkotał gdzieś ponad ruinami Kancelarii, ciało opadło wprost na rozłożony koc. Untersturmführer pochylił się nad zwłokami i w usta denata wsunął ciężki dentystyczny mostek, wykonany w przeważającej części z metali szlachetnych, pomiędzy rozwarte szczęki wsunął ampulkę z cyjankiem potasu, zaciskając żuchwę. Dwaj sturmmanni SS, słysząc gwizd nadlatujących pocisków artyleryjskich w kilku pospiesznych ruchach zawinęli zwłoki w koc.

- Wrzucie zwłoki kobiety i drugiego z sobowtórów na dno krateru, rozkazał untersturmführer, sam udając się po stojące przy wyjściu ewakuacyjnym, kanistry. Niosąc dwa z nich widział jak ciała znikają za nabrzeżami głębokiego leja.

- Biegnijcie po pozostałe kanistry.

SS- manni wykonali kilka kroków wstecz, untersturmführer wydobyl z kieszeni zapalniczkę, lejem wstrząsnął podmuch wybuchających oparów benzyny. Trupy oblane zawartością przygotowanych kanistrów, zapłonęły wzbijającym się w górę, jaskrawym płomieniem, przetaczającym się falą wysokiej temperatury po twarzach obserwujących go żołnierzy. Stali w milczeniu patrząc jak ogień pochłania najpierw tkaninę wojskowych kocy, wkrótce też ich zawartość.

- Wrzucie ciała Weler do tamtego basenu - wyciągniętą dłonią wskazał na odległe o około trzydzieści metrów pozostałości otwartego basenu, wypełnione ziemią i fragmentami przypadkowych przedmiotów, naniesionymi podmuchami wybuchów artyleryjskich pocisków. SS- Manni natychmiast wykonali polecenie.

- Teraz możemy wracać i zameldować wykonanie rozkazu.

Jeden, dwa, trzy, cztery, szybko po sobie padały kolejne liczebniki. Młoda kobieta licząca wybuchy, poruszyła się nerwowo w fotelu. Politurowany stół zdobny w rozliczne intarsje o roślinnych deseniach, zadrżał jak podczas spirytualistycznego seansu. Stojąca na okrągłym stole, filiżanka herbaty z nagłą zadrżała i rozległ się cichy brzęk łyżeczki o porcelanową ściankę. Wiszące na ścianach obrazy poruszyły się wahliwym ruchem zegarowego odważnika, z prawa na lewo i z lewa na prawo, po czym na krótko zamarły w bezruchu, jakby przyklejone do betonowej ściany. Stojąca na komodzie brązowy odlew owczarka niemieckiego przechylił się na jeden z boków, sprawiając wrażenie chwilowego sprzeciwu prawom powszechnego ciężenia. Stojący obok telefon poszedł w ślad za nim, ozywając się przerywanym sygnałem dzwonka.

- Jeszcze kilka wystrzałów z ciężkiej artylerii a zostaniemy pogrzebani żywcem – powiedziała w poczuciu rezygnacji młoda kobieta do siedzącej naprzeciw stolika rówieśniczki.

- Ostatnie wystrzały to dzieło naszych osiemdziesiątek ósemek. Zauważył Heinz Linge, odruchowo strzepując z munduru SS pył osypujący się z sufitu.

- Musimy być gotowi na wszystko – odpowiedział bez namysłu Adolf Hitler. Ja dla przykładu czuję się tutaj jak we wnętrzu egipskiej piramidy, jak faraon wizytujący swoje dzieło, chcący przekonać się o jego trwałości na własnej skórze. Podobnie też jak w jego przypadku, budowla ta stać się musi moim grobowcem.

Przygasające światło zepchnęło w otchłań ciemności postacie siedzących ludzi. Na kilkanaście długich sekund stawali się dla siebie zupełnie niewidoczni. Zapalające się nieoczekiwanie światło wycinało i formowało ich sylwetki z materii mroku, jak blask błyskawicy sylwetkę człowieka zaskoczonego nagłą, letnią burzą w bezgwiezdną noc. W czasie tym milkli zupełnie, koncentrując spojrzenia na abażurach lamp, rozkołysanych tuż pod pułapem sufitu, jak gdyby chcąc zakłócić wzrokiem, zachować na dłużej i uczynić niezniszczalną istotę światła. Przybladłe i ziemiste w tych dniach oblicze Adolfa Hitlera stawało się jeszcze mniej wyraziste. Poorana głębokimi zmarszczkami twarz, w zapadającym z nagłą mroku wdawała się wygładzać swoje oblicze, jedynie rozplywające się w ciemnościach, rzucane na około, wodniste spojrzenia, nadal zachowywały czujność. Nie zdradzały niczego, co mogłoby się kryć za przymglonymi zwierciadłami oczu. Ludzi zgromadzonych wokół stołu dobiegły urywane echa ostatnich wystrzałów. Ich miejsce zajął, odgłos pracy agregatów prądotwórczych zagłuszający brzmienie wypowiedzanych słów. Wypełniał on przestrzeń najodleglejszych nawet pomieszczeń bunkra. Jego wibracje przenikały ciała wszystkich znajdujących się tam osób, wprawiały w drganie mniejsze przedmioty.

- Doskonała szarlotka – oznajmiła jedna z sekretarek, w momencie gdy blask żarówek na dłużej rozświetlił salonik.
- Zgromadzone zapasy są na tyle obszerne, że możemy bez ograniczeń delektować się najulubieńszym twoim wypiekiem, oznajmiła Ewa Hitler unosząc do ust łyżeczkę pełną aromatycznego ciasta.
- Jedynym ograniczeniem może być brak czasu, obawiam się że jest to jeden z naszych ostatnich podwieczorków, a nasze zapasy najpewniej już wkrótce spożytkują Rosjanie, na którąś z ich odrażających potraw – oznajmił głośno Adolf Hitler, przekrzykując odgłos pracujących agregatów.
- niesprzyjający nam bieg wydarzeń może się jeszcze odwrócić, mein fuhrer. Duch walki, nastroje bojowe wśród dzieci z Hitlerjugend i Jungevolk są wprost niewiarygodne, straty Rosjan zatrważające, zauważył Otto Gunshe.
- Odkąd pamiętam straty Rosjan zawsze były zatrważające, a mimo to wygrywali.
- 12 Armia Wencka i 9 Armia Bussego już zmierzają nam z odsieczą, dodał Heinz Linge.
- Nie słyszę co mówisz Linge. Wiesz przecież że od czasu zamachu w Wilczym Szańcu nie dosłyszę na jedno ucho, do tego ten nieustający hałas.
- Mówię że armia Wencka i Bussego już zmierzają nam z odsieczą mein fuhrer.
- Obawiam się że zdążyły już dotrzeć do Berlina, a co gorsze przestały już istnieć. Nie musisz mnie przekonywać Linge, gdyby istniał choć cień nadziei z pewnością bym go dostrzegł. Jeżeli nawet ja straciłem już resztki nadziei, ja który żywiłem ja najdłużej ze wszystkich moich współpracowników i starałem zaszcześcić ją w umysły tracących wiarę w sens dalszej walki, ja który wydałem rozkaz walki do ostatniego żołnierza, nie dostrzegam już dla nas żadnej szansy, to znaczy że szansa taka nie istnieje.
- Skupmy więc uwagę na czymś co dostarczyć może choć odrobinę wytchnienia od dusznej atmosfery beznadziejności, delektujmy się smakiem wybornej szarlotki, w pocieszającym tonie oznajmiła Ewa Hitler.
- Choć bardzo chciałabym poczuć jej smak to czuję tylko unoszący się wszędzie odór stęchlizny i obecnej wszędzie wilgoci, tylko patrzeć jak pojawiający się na suficie grzyb zacznie toczyć nasze ciała, oznajmiła jedna z stenotypistek fuhrera, zwracając wzrok ku górze.
- Nie powinno nas to dziwić, bunkier nie został w pełni ukończony. Wylewany podczas zimy beton nie zdążył jeszcze związać. Bądźmy zadowoleni z możliwości skrycia się przed huraganowym ostrzałem, pozostała reszta to rzecz wtórna. Nie chciałaby chyba pani znaleźć się teraz na powierzchni i zostać rozerwaną na strzępy wybuchem granatu, artyleryjskiego pocisku, zostać przygniecioną osuwającym się murem lub co gorsza stanąć oko w oko z sowieckim żołnierzem, zaopiniował Adolf Hitler, nakładając na deserowy talerzyk niewielką porcję szarlotki.
- Nie powracajmy już do tego tematu, odpowiedziała kobieta unosząc filiżankę z ostygłą już herbatą.
- Proszę odebrać ode mnie deser, oznajmił Adolf Hitler zdradzając oznaki zdenerwowania, starając się przy tej okazji wręczyć którejś z siedzących wokół osób talerzyk należący do miśnięńskiego kompletu.
- Adolf nie dokończyłeś jeszcze swojej porcji, cukiernik gotów pomyśleć że ci nie smakuje, powiedziała Ewa Hitler starając się nakłonić męża do skończenia swojej porcji.
- Nie zdołałem ukończyć dzieła mojego życia, tym bardziej też nie muszę kończyć deseru, pomimo że jest doskonałej jakości. Powód jest innej natury, mam już dość walki z własnymi myślami, dłużej też nie zamierzam ich skrywać i pragnę się nimi podzielić. Po dłuższych rozważaniach nad możliwościami wybrnięcia z naszej beznadziejnej sytuacji dojrzałem do ostatecznej decyzji. Pragnę wam oznajmić że w obliczu nieuchronnej klęski postanowiłem popełnić samobójstwo. Chcę tym samym uniknąć skutków haniebnej niewoli do jakiej z pewnością zostałbym pojmany. Podczas której w wyniku sprzeniewierzenia skutków moich epokowych dokonań, niechybnie stracony. Nie chcę by moje ciało zostało później poddawane niekończącym się badaniom i sekcjom w poszukiwaniu anatomicznych źródeł mojej nadludzkiej siły. Nie chcę by kolejne pokolenia patologów przekazywały sobie moje doczesne szczątki z rąk do rąk, by wymieniano się wynikami barbarzyńskich, medycznych doświadczeń na moim wrażliwym i delikatnym ciele. Ażeby później wystawiane było do publicznego oglądu za szklaną szybą, uwłaczając w ten sposób honorowi mojemu i honorowi Niemiec. W tym celu też zwłoki moje zostaną wyniesione na powierzchnię ziemi i poddane zostaną skremowaniu, ażeby żadna z jego części nie dostała się w ręce wroga. Oznajmiam wam to abyście mogli uniknąć szoku jaki spowoduje widok mojego trupa, wynoszonego przez adiutanta i kamerdynera, abyście mogli uniknąć kłopotliwego dla nich zadawania pytań. Zamierzam także zabrać z sobą na wieczną wędrówkę szlakiem moich przodków - teutońskich wojowników, ukochanego owczarka Blondi, także dla niego będzie to łagodniejszy sposób rozstania się życiem.

W miarę kontynuowania monologu Hitlera, rysy twarzy słuchających go ludzi dawały wyraz narastającemu zdziwieniu. Z każdą sekundą przeradzało się ono w smutek i przygnębienie. Zasiadający wokół stołu osoby utkwili opuszczony wzrok we wzorzystym desenie niewielkiego, prostokątnego dywanu, pokrywającego betonową posadzkę w jej środkowej części. W momencie gdy Hitler zakończył, jego pozbawiony emocji wzrok zawisł na poziomie stołowego blatu, by po chwili powędrować ku górze i spotkać się we wzajemnych spojrzeniach. Siedzący pograżyli się w wymownym milczeniu, wyrażającym wszystkie treści, jakimi można by je wypełnić w mniej odosobnionych sytuacjach.

- Adolf ! Jestem gotowa rozstać się z życiem wraz z tobą, oznajmiła Ewa Hitler zachowując wyraz twarzy nie zdradzający żadnych uczuć.

- Doceniam twoją odwagę moja wierna żono, wiedz że dla ciebie również będzie to najwłaściwszy sposób rozstania się ze światem. Kapsułkę z cyjankiem otrzymasz w moim gabinecie. Teraz zwołajcie wszystkie osoby obecne w bunkrze, i poświadczcie je o mojej decyzji, pragnę się z nimi pożegnać i podziękować za wierną służbę.

Heinz Linge wsparł się na poręczach krzesła, o porowatą posadzkę zazgrzytał drewniany stelaż. Powstający z krzesła mężczyzna marszowym krokiem zbliżył się do pancernych drzwi, odblokował ciężką, metalową zasuwę i niespiesznie opuścił jadalnię.

- Fuhrer wzywa wszystkich do jadalni, rozbrzmiał tubalny głos oddalającego się Lingego.

Głos spotęgowany echem odbijającym się o betonowe ściany, sprawiał wrażenie dobiegania z zaświatów i niósł się jeszcze długo niskimi korytarzami bunkra. Nim rozproszone echa słów Heinza Lingego zdążyły opaść, do jadalni poczęli wchodzić pierwsi funkcjonariusze SS, członkowie personelu bunkra, oficerowie Wehrmachtu. Na ich widok Hitler podniósł się z krzesła, drżącą lewą dłoń ukrył za plecami, chwiejnym krokiem, powłócząc nogami zbliżył się na niewielką odległość do przybywających coraz liczniej, podwładnych. Jego przygarbiona sylwetka zdradzała znamiona szybko postępującej starości. Z wyraźnym trudem stawiał każdy kolejny krok, a odchylona w tył lewa ręka utrudniała uchwycenie równowagi. Mętne spojrzenie jego przekrwionych oczu utkwiło na twarzach gromadzących się ludzi. Bez względu na niedomagania, dostrzegalne już w pierwszym oglądzie fizycznym, nadal starał się zachować nienaganną prezencję, na mundurze zwierzchnika sił zbrojnych przykrytego teraz połami długiego wojskowego płaszcza, niemożna było dopatrzyć się najmniejszej nawet fałdy. Czarny płaszcz nie nosił też śladów jasnego pyłu i odprysków ścian i sufitów, wyrwanych ze sklepień bunkra, falą uderzeniową artyleryjskich pocisków. Podczas gdy niewielkie odłamki betonu, miejscami gęsto zasłaniały podłogi i sprzęty, a ubrania wielu przebywających tam ludzi, pokryły się białym nalotem. Wypolerowane przez adiutantów czarne buty, stwarzały wrażenie pograżania w sobie całego, nikłego oświetlenia, spowijającego w półmroku jadalnię. Fuhrer starał się zachować pozory niczym nie zachwianego majestatu władzy. Zbliżył się do Martina Bormanna, stojącego na skraju wydłużającego się szeregu.

- Domyślcie się chyba w jakim celu wszystkich was tutaj wezwałem? Wyrzekł łamiącym się głosem. Zgromadzeni skinęli potakująco głowami.

- Tobie Bormann jako najbliższemu współpracownikowi, zastępcy, mojej prawej ręce pragnę złożyć szczególne podziękowania. Pragnąłbym także ażebyś wyświadczył mi ostatnią przysługę i wyniósł z bunkra mój, spisany wczorajszego dnia testament.

- Tak jest mein fuhrer, odpowiedział bez zastanowienia Bormann.

- Nie mniej gorąco wszystkim wam pragnę podziękować za sumienną i lojalną współpracę, dodał fuhrer wodząc wzrokiem po twarzach wszystkich zgromadzonych osób.

Głos Hitlera zdradzał znamiona silnego wzruszenia. Przystawał przy każdej kolejnej osobie i silnym uściskiem dłoni wyrażał wdzięczność. Towarzyszące temu głębokie wejrzenie w oczy powodować musiało u przyjmujących podziękowania osób, krótkotrwale zachwianie poczucia rzeczywistości. Wzrok Hitlera nadal zachował swoje hipnotyczne właściwości, zdolne wprowadzić w rodzaj transu, naruszyć spójność jaźni. Nadal z jego oczu promieniowała odczuwalna siła, mniej już może nieogarniona i paraliżująca, lecz wciąż nie pozostawiająca obojętnym, nikogo kto znalazł się z nim twarzą w twarz. Zgromadzeni współpracownicy, to jedyne w swoim rodzaju doznanie, przyjmowali z napiętymi mięśniami, z niewątpliwie przyspieszoną akcją serca, podwyższonym poziomem adrenaliny. Odpowiadając, ważyli każde słowo, podążali wzrokiem za każdym ruchem oczu fuhrera. Odruchowo prostowali się i bardziej już świadomie unosili prawą dłoń w geście nazistowskiego pozdrowienia. Adolf Hitler powłóczył krokiem przemierzał szereg kilkudziesięciu osób, wtulając podkuloną szyję w postawiony kołnierz wojskowego płaszcza. Dla stojących, dostrzegalne stawało się narastające zmęczenie wodza, nie wszystkim już patrzył głęboko w oczy. W miarę posuwania się naprzód, na szczególny wzgląd mogli liczyć już tylko najbliżsi współpracownicy i ci z którymi zacieśniające się więzy nawiązanych relacji, splotły się najbardziej. Fuhrer zatrzymał się przy niepozornej posturze Josefa Goebelsa.

- Dziękuję ci za wierną służbę, dziękuję ci za wszystko co uczyniłeś dla tysiącletniej Rzeszy.

Dłoń stojącej obok Magdy Goebels uściśnął ze zdwojoną siłą, na dłużej przystanął i utkwił wzrok w jej wyrazistych oczach, dostrzegł w nich szklące się łzy, potrząsnął delikatną dłoń, jej długie, wysmukłe palce dotykały przegubów jego dłoni.

- Bądź dzielna, wypowiedział przez zaciśnięte wargi.

Wiedział że żona jednego z najbliższych współpracowników od dawna darzy go gorącym uczuciem, on natomiast gdyby nawet chciał zająć jakieś stanowisko w tej niezręcznej sytuacji, byłby ograniczony licznymi przeciwnościami. Niemalże codzienne kontakty z jej mężem, przyrzeczenie wierności złożone ówczesnej kochance, a dzisiejszej żonie, ograniczało jego możliwości. Najmniej pożądana byłaby jednak kompromitacja w oczach opinii publicznej. Wiedział że dowolnie mo-

że nią manipulować, ale paradoksalnie dzięki właśnie Gebelsowi, jego skutecznej nadzorowanej maszynie propagandowej. Romansując z żoną współpracownika nie zachowywałby szacunku i wiarygodności w oczach Niemców, od kilkunastu lat przekonywanych o jego zaślubinach, dokonanych z narodem aryjskim. Romans z Ewą wystarczająco już podważał jego przyrzeczenia o wierności wobec swojego narodu i nie angażowaniu się tym samym w inne związki. Wszystko to powodowało że wobec jej uczucia musiał pozostać obojętnym, w częstych kontaktach sprawiać wrażenie nie dostrzegania go. Przeszedł dalej, minął doktora Ludwiga Stumpfeggera. Spojrzenie zatrzymał na twarzy dowódcy Hitlerjugend Artura Axmanna, uściśnął dłonie stenotypistek, kucharek i personelu sprząającego, obsługi technicznej. Zadarł głowę przed wysoką posturą Genschego, patrząc mu głęboko w oczy, wszystkie siły jakie posiadał skoncentrował na uścisku jego masywnej dłoni, ten odpowiedział nie mniej silnym uściskiem. Podobny gest uczynił w stosunku do stojącego obok Lingego, ten nie zdając sobie sprawy z przyczyn niespotykanego wyróżnienia, odwzajemnił silny uścisk. Z niesłabnącym szacunkiem odniósł się do zaufanego kierowcy Ericha Kempke, osobistego pilota Hansa Baura. Zbliżywszy się do ostatniego z grupy nieznanym sobie bliżej SS – manów, kojarzonych jedynie podczas wzajemnego wymijania na korytarzach bunkra, zamykającego grono czterdziestu sześciu osób zgromadzonych w jadalni, wypowiedział łamiącym się głosem.

- Dziękuję wam raz jeszcze, wszystkim razem, wasz trud nie obróci się wniwecz. Żywię najgłębsze przekonanie że dożyjecie odrodzenia się idei III – ej Rzeszy, najpewniej już w nowych, jeszcze potężniejszych granicach, pod potężniejszym jeszcze przywództwem, wszyscy na to zasługujecie. Zwalniam was od złożonej przysięgi na wierność mi, każdy ma odtąd prawo samemu zdecydować o swoim losie.

Krąg osób zgromadzonych w salonie zaczął się z wolna przerzedzać i rozpraszać, powracały one w milczeniu do uprzednio wykonywanych czynności. Adolf Hitler zasiadł na zajmowanym dotąd krześle, odruchowo sięgnął łyżeczką po napoczętą porcję szarlotki, po chwili jednak odsunął od siebie zdobny w rokokowe scenki rodzajowe, niewielki talerzyk.

- Niech pozostanie nieukończona jak moje dzieło, - oznajmił w sposób chcący upewniający w powziętym prze siebie postanowieniu pozostałych w jadalni, współpracowników. Ewo, nasza godzina nieuchronnie wybiła, udajmy się zatem do mojego gabinetu.

Oboje równocześnie podnieśli się z foteli i skierowali kroki ku wyjściu, pozostali odprowadzili ich wzrokiem. Ciężkie, metalowe drzwi zatrasnęły się z głuchym łoskotem, niosącym z się długim echem po jadali, na długo jeszcze po tym, jak para opuściła pomieszczenie.

- Proszę wezwać Lingego i Gunschego do mojego gabinetu, powiedział gromkim tonem Adolf Hitler do napotkanego w korytarzu oficera SS.

- Tak jest mein fuhrer, rozbrzmiała wypowiedziana bez namysłu odpowiedź.

Małżeństwo Hitlerów w milczeniu pokonywało kolejne metry betonowej posadzki. Nawet tak niewielki wysiłek fizyczny, dokonywany w przesyconych wilgocią pomieszczeniach, powodował że ciężki oddech fuhrera wiązał w gardle. Z trudem pochłaniał kolejne porcje powietrza. Oddychał pospiesznie i nierównomiernie, nie zdradzając przy tym oznak zdenerwowania. Ubogie w tlen powietrze na skutek nieprawidłowo działających systemów wentylacyjnych, powodowało że jego oddech stawał się coraz szybszy i bardziej jeszcze nie zrównoważony. Raz po raz u jego stóp rozbijały się ciężkie krople, nawisłe u sufitu, gromadzące się w niezliczonych ilościach na wysklepionych spojeniach, pozostałych po drewnianym szalunku. Dla podtrzymania równowagi na ostrych zakrętach wspierał się o porowate powierzchnie ścian. Skroplona wilgoć gromadząca się w szczelinach, omywała klejące się od potu dłonie wodza. Tuż za nim, obserwując jego chwiejny krok, podążała żona. Wyszli na ostatnią, długą prostą dzielącą ich od gabinetu, minęli grupę głośno zachowujących się, nietrzeźwych młodych ludzi w uniformach Wehrmachtu. Dwaj SS – mani w rozpiętych do połowy mundurach, w jednej dłoni trzymali butelki szampana, drugą obejmowali roznegliżowane, młode kobiety. Na widok fuhrera zamarli w bezruchu, lecz wyminęli go nie okazując wymaganych w takich okolicznościach, honorów. Pograżony w myślach Hitler na okazany despekt nie zamierzał reagować, wyminął ich obojętnie, po czym naporem całego ciała uchylił metalowe drzwi swojego gabinetu. Przepuścił małżonkę, odwrócił się i uniósł do góry ciężką kłamkę. Podczas ich zamykania spostrzegł nadchodzących Lingego i Gunschego, drzwi uchylił szerzej i zapraszającym gestem machnął do żołnierzy.

- Jesteście jak zwykle punktualni.

- To nasz zawodowy obowiązek mein fuhrer, odrzekł stając na baczność Linge.

- Wejdźcie do wnętrza i zamknijcie za sobą szczelnie te niewiarygodnie ciężkie drzwi, mnie kosztowałyby to zbyt dużo energii.

- Tak jest mein fuhrer, odpowiedział Linge ryglując zamek, po czym zbliżył się do siadającego w fotelu Hitlera.

- Nie domyślacie się zapewne z jakich powodów tak mocno ściskałem wasze dłonie w trakcie ostatniego pożegnania, ani też nie możecie znać celu wizyty w moim gabinecie?

- Niczego się nie domyślamy mein fuhrer, oznajmił służbowym tonem Günsche.

- Günsche i Linge mam wam do zakomunikowania niezwykle ważną wiadomość oznajmił Adolf Hitler, rozsiadając się

wygodniej w skórzanym fotelu. Wiadomość to niewłaściwe słowo, to co powiem traktować musicie jako osobistą prośbę. Jako jednych z najbliższych współpracowników i ludzi obdarzonych bezgranicznym zaufaniem prosić was muszę o wyświadczenie ostatniej przysługi, prośba ta jest jednocześnie rozkazem. Ostatni mój rozkaz, do którego zobowiązuje was wojskowa przysięga. Zobowiązuje was ona także do zachowania absolutnego milczenia, odnośnie wszystkiego czego się teraz dowiecie i czego staniecie się już wkrótce udziałem. Otóż pragnę wam oznajmić że powziąłem postanowienie o opuszczeniu bunkra wraz z mają świeżo poślubioną żoną Ewą Hitler. Jak wiecie wojna jest przegrana, już żaden, nawet najkorzystniejszy zbieg okoliczności nie jest w stanie odwrócić biegu wydarzeń. Śmierć Roosevelta nie przyniosła z sobą oczekiwanego, sprzyjającego nam biegu wypadków. Korzystna koniunkcja planet także nie przyniosła z sobą pokładanych w niej nadziei. Pokraczny alians zachodnich demokracji z komunistyczną hydrą trwa nadal, choć jego rozpad to kwestia najbliższych miesięcy. Nie będzie też powtórki z cudownego ocalenia domu brandenburskiego z 1764 roku, po klęskach wojny siedmioletniej. Nie liczę już na pomoc mojego duchowego przewodnika Fryderyka II, pomimo że codziennie, od trzech miesięcy odkąd przybyłem do bunkra, spoglądałem z nadzieją na jego portret wiszący w moim gabinecie, prosząc jego ducha, obecność którego wyczuwam w pobliżu o powtórzenie się tamtych wydarzeń. Wszyscy musimy się pogodzić z końcem istnienia III – ej Rzeszy w znanej nam postaci. Swoją ucieczką zamierzam dać początek jeszcze potężniejszemu tworowi jakim będzie IV - ta Rzesza, na której czele już wkrótce zamierzam stanąć. Kierując się publicznym dobrem wszystkich Niemców i nadrzędnym interesem państwa, zamierzam upozorować śmierć swoją, a także mojej żony. W tym celu zamierzamy zamknąć się oboje w tym gabinecie i dokonać pozorowanego samobójstwa. Dla uwiarygodnienia rozgrywających się wypadków, w pomieszczeniu dla psa osobiście otruję ulubioną suczkę Blondi, jej ciało wyniesiecie na rękach, niczym nie owinięte, ażeby wszyscy napotkani po drodze mogli się przekonać o jej śmierci. Wkrótce potem na poręczy sofy rozleję szklankę swojej krwi, upuszczonej uprzednio przez osobistego lekarza, wystrzelę z osobistej broni, i rozgniotę kapsułkę z cyjankiem potasu. Żona także rozgniecie identyczną kapsułkę, ażeby gryzący zapach trucizny rozniósł się po całym gabinecie, utwierdzając wchodzących tu świadków o popełnionym przez nas samobójstwie. Na dźwięk wystrzału z Waltera do mojego gabinetu wejdziecie tylko wy obaj, po czym jak szybko to możliwe, zatrzaskanie za sobą drzwi. Ja wraz z małżonką będziemy leżeć na podłodze, zawinięci w koce. Mój koc obryzany będzie stróżkami ociekającej krwi, w ubranie mojej żony wtarte będą niewielkie ilości cyjanku, ażeby postronni świadkowie podczas przechodzenia korytarzami bunkra potwierdzić mogli opinie o naszej śmierci. Tuż po wejściu do gabinetu upewnście się czy jesteście szczególnie owinięci w koce, szczególnie nasze twarze, po czym wyniesiecie nas wyjściem ewakuacyjnym do ogrodu Kancelarii Rzeszy, nie zezwalając nikomu ażeby wam towarzyszył. W egzekwowaniu tego zakazu powołać się możecie na moją ostatnią wolę. Miejmy nadzieję że powstałe zamieszanie, strach i popłoch wywołany zmasowanym bombardowaniem nie zezwoli nikomu na opuszczenie bunkra i przedostanie się do ogrodu Kancelarii. W pobliżu wejścia w ruiny ogrodu napotkacie kilka kanistrów z benzyną, podpalenie przygotowane w leju po bombie nasze sobowtóry, a wszystko co zobaczycie w międzyczasie zachowacie w najgłębszej tajemnicy. Mam nadzieję że wszystko jest zrozumiałe?

- Tak jest mein fuhrer zaszalutowali obaj SS-manni, wypowiadając formułę Heil Hitler.

- Jeżeli sumiennie wypełnicie mój rozkaz i wszystko potoczy się zgodnie z moim planem, będziecie mieć zapewnione wysokie stanowiska w nowoodrodzonej IV – tej Rzeszy, nie ominą was zaszczyty i dowody uznania, dostąpiście najwyższych godności, przyznam wam tytuły i funkcje wszystkich zdrajców z najwyższych szczebli władzy jak Goring, Himmler i wielu innych. Na waszych barkach spoczywa obowiązek ratowania tysiącletniej Rzeszy, miejcie świadomość doniosłości waszej misji. W ten sposób wynoszono z pola bitwy dowódców, imperatorów, królów, decydując o być albo nie być całych imperiów, weźcie sobie moje słowa głęboko do serca. Bitwa jest przegrana ale wojna nadal trwa. Za około piętnaście minut bądźcie w pobliżu pomieszczenia dla ukochanej suczki. Teraz już możecie opuścić mój gabinet i zachowujcie się jak gdyby nie wydarzyło się nic niecodziennego.

- Tak jest mein fuhrer, zaszalutowali równocześnie obaj oficerowie.

Adolf Hitler z trudem podniósł się z fotela. Powolnym krokiem zbliżył się do niskiego politurowanego sekretarza przy przenikającej się gamie kolorów od ziemistej umbrzy aż po ciepłe cynamonowe tony. Wysunął środkową z trzech szuflad, wypełniających środkową część mebla, sięgnął dłonią po drewniane etui i wsunął je ostrożnie do kieszeni. Następnie wydobyl z szuflady pistolet Walter kaliber 6.35 i położył go na stole, znajdującym się w zasięgu prawej ręki. Wsunął szufladę po czym odwrócił się w kierunku żony, wspierającej się prawą dłonią o owalny stół, w milczeniu obserwującej wszystkie ruchy męża. Będąc już w bezpośredniej jej bliskości, sięgnął do kieszeni płaszcza po drewniane etui, rozsunął jego dwie równe połowy i położył je na stole. Na jej zawartość składały się trzy szklane ampułki długości około dwu centymetrów każda.

- Jak się domyślasz Ewo to jest cyjanek potasu, zachowaj proszę jedną z ampułek do czasu aż rozgnieciesz ją i wylejesz na swoje ubranie. Kolejną przeznaczyłem dla Blondi, a ostatnią z nich skropię swoje ubranie.

- Jak sobie życzysz Adi, zrobię wszystko ażeby twój plan się powiódł, oznajmiła cicho Ewa Hitler, następnie z najwyższą ostrożnością wydobyla jedną z ampułek i schowała do leżącej na sofie damskiej torebki. W gabinecie rozległo się odgłosy

uporczywego łomotania do drzwi.

- Nie teraz, jestem zajęty, krzyknął Hitler, tak głośno jak tylko potrafił. Na dźwięk podniesionego głosu fuhrera pukanie natychmiast ustało.

- Teraz już muszę dokonać jednej z najtrudniejszych rzeczy w życiu, pozbawić życia ukochana suczkę.

Ściskając w prawej dłoni ampułkę odwrócił się i skierował ku drzwiom. Ampułkę wsunął do kieszeni płaszcza i popchnął barkiem ciężkie odrzwia, te ustąpiły z chrapliwym zgrzytem. Znalazłszy się na korytarzu przeniknęło go dotkliwie zimno. W pierwszym porywie zatęchłego powietrza wyczuwalny był zaduch wydobywający się z nieszczelnej instalacji kanalizacyjnej. To efekt oddania bunkra do użytku przed przewidzianym czasem, nie sprawdzona wcześniej drożność toalet, gdybym tylko mógł wszystkiego dopilnować sam..... – przemknęła myśl. Idący chwiejnym krokiem Hitler odczuł wzbieganie treści żołądkowych, odruchowo przytknął do ust prawą dłoń. Obrął najkrótszą z dróg, prowadzącą dla specjalnego pomieszczenia dla psiej oblubienicy. Tuż za ściennym napisem „Rauchen verboten” i „Links hinausgehen” - był to jego punkt odniesienia, skierował się na prawo i uchylił szare drzwi, pośrodku podłogi, na kocu nieruchomo leżała Blondi. W międzyczasie kątem oka spostrzegł nadchodzącego adiutanta Günsche.

- Wejść do środka Günsche, a drzwi zostaw otwarte.

Zwietrzywszy zapach swojego pana, suka otworzyła oczy i podniosła położone uprzednio po sobie uszy. Adolf Hitler niezdeterminowanym krokiem zbliżył się do skulonego psa. Z zachowania się Blondi, Hitler wywnioskował że suka przeczuła mające nastąpić zdarzenia, nie podniosła się by powitać go przyjaznym machaniem ogona, nie otarła się też o jego nogi, w zamian wydała z siebie przeciągły jęk, w drgających wargach nieśmiało ukazała białe zęby. Sierść na jej karku zjeżyła się po czym nierównomiernie opadła tracąc połysk. Hitler w pożegnalnym geście położył prawą dłoń na głowie ukochanego psa, wygłaszał zmierzwioną na karku sierść, po czym zatrzymał dłoń na miednicy. Nieruchomy pies nadal obrzucał pana podejrzliwym wzrokiem. Fuhrer wydobył z kieszeni płaszcza szklaną fiolkę, odwrócił się w stronę stojącego przed uchylonymi drzwiami ordynansa.

- Będę musiał skorzystać z twojej pomocy Günsche.

- Tak jest mein fuhrer.

- Pomożesz mi umieścić ampułkę w pysku suczki.

Günsche wykonawszy trzy długie kroki stanął obok fuhrera.

- Rozewrzesz jej pysk, lecz tak, by nie odczuła najmniejszego nawet bólu, gdy fiolka będzie już na języku zaciśniesz szczękę.

Günsche bez namysłu przystąpił do wykonania poleceń zwierzchnika, a ten szybkim ruchem prawej dłoni umieścił w pysku psa ampułkę z trucizną. Szczęki psa zaciśnięte w silnym uścisku adiutanta zmiażdżyły szklaną fiolkę, wystarczyły dwie sekundy by pies drgnął w pośmiertnej konwulsji.

- Tak mi przykro wierna towarzysko, mówiąc to Hitler pogłaskał sztywniejące ciało psa. Możesz już ją wynieść, Günsche. Będąc już z powrotem w bunkrze uderzysz pięścią w drzwi mojego gabinetu trzy trzy razy w równych odstępach, pamiętaj trzy razy, po czym wraz z Lingem wejdziecie do wewnątrz i przystąpicie do wykonania mojego rozkazu szczególnej wagi. Czy wszystko jest zrozumiałe?

- Tak jest, mein fuhrer.

Rosły adiutant bez najmniejszego wysiłku uniósł ciało psa i ułożył na wyciągniętych przed siebie ramionach. Czubek amantowego języka suki wystawał zza zaciśniętych zębów, ogon zwisał bezwładnie wzdłuż tułowia niosącego ją żołnierza. Idący korytarzami berlińskiego bunkra adiutant Hitlera z martwą Blondi na rękach, doskonale znaną wszystkim Niemcom, wzbudzał zainteresowanie mijających go osób. Nikt z nich nie silił się na zadawanie jakichkolwiek pytań, nawet najbardziej nietrzeźwi pensjonariusze bunkra domyślali się kolejności zaszłych wypadków. Dla wielu z nich, najbardziej odurzonych alkoholem najzupełniej obojętnymi stały się zachodzące wokół wydarzenia, bardziej trzeźwi być może snuli domysły i starali się ułożyć w chronologicznie spójną kompozycję, ciąg następujących po sobie zdarzeń. Fuhrer zanim popełnił samobójstwo w pierwszej kolejności wysłał na tamten świat, swoją wierną sukę, to najzupełniej logiczne następstwo wypadków – tłumaczyć mogli fakt uśmiercenia Blondi, do niedawna jeszcze nieśmiało poszczekującej na widok każdej nowoprzybyłej do bunkra osoby. Adiutant fuhrera minął umieszczony na ścianach napis Eingang i zbliżył się do schodów prowadzących do ewakuacyjnego wyjścia do ogrodu kancelarii Rzeszy. Nie odczuł wzmoczonego wysiłku, związanego z pokonywaniem kolejnych stopni, nie musiał też nadmiernie zadzierać długich nóg, nic nie wskazywało na fakt, by odczuwał różnicę w pokonywaniu płaskiej powierzchni korytarza i pochylego profilu łagodnych schodów. Prawym ramieniem uchylił ciężkie, pancerne drzwi, rozejrzał się po najbliższej okolicy, czujnie nasłuchiwał odgłosu wybuchów, starał się określić ich odległość. Ostrzał koncentrował się w bezpiecznej odległości – uznał. Z wolna wychylił głowę na zewnątrz, upewniwszy się że znajduje się poza zasięgiem sowieckiej artylerii, kilkoma susami dobiegł do najbliższego, rozległego leja. Na dnie dostrzegł dwa podłużne przedmioty, pospiesznie przyjrzał się im bliżej, rozpoznał kształty ludzkich ciał, z podkurczonymi nogami, zawinięte w szare, wojskowe koce. Bez trudu domyślił się celu ich obecności, nie za-

trzymując dłużej na nich wzroku, silnym i gwałtownym ruchem obu dłoni wrzucił na nie zwłoki psa. Omijając rozpadliny i płytsze leje, po kilku sekundach stał już po wewnętrznej stronie pancernych drzwi. Zanim je zamknął omiół wzrokiem dziedziniec bunkra, zasłuchał się w przeszywający powietrze złowróżbny gwizd nadlatujących pocisków, wybuchały gdzieś w oddali, poza ruinami okazałego niegdyś ogrodu. Dawno już nie był na powierzchni ziemi, bez względu na to, nie zamierzał poświęcać dłuższej uwagi roztaczającemu się wokół spektaklowi zagłady. Krajobraz powszechnego zniszczenia potęgowany ilością przybywających ruin nie zrobił na nim żadnego wrażenia – zdołał do niego przywyknąć. Zatraskując drzwi zwrócił uwagę na stojące wzdłuż zbrojonego muru bunkra kanistry, policzył - dziesięć sztuk, a więc wszystko już przygotowane. Jego uszu dobiegł gwizd kołującego w pobliżu samolotu, skierował wzrok ku niebu, tuż nad koronami drzew dostrzegł sylwetkę małego, najpewniej szkoleniowego lub łącznikowego górnopłatu, mógł to być któryś z modeli Arado bądź też Fiesler Storch, nie miał już czasu na bliższe przyjrzenie się, poza tym awionistyka nie stanowiła przedmiotu jego zainteresowań. Upewnił się czy wejście zostało prawidłowo zamknięte, czy blokująca klamkę zasuw zatrzasnęła się na ostatniej zapadce. Długimi krokami pokonującymi kilka stopni każdorazowo, przemierzył kolejne piętra, der dritte Stock, der vierte Stock oznajmiały kolejne napisy, nie musiał zwracać na nie uwagi, posiadał plan bunkra w pamięci, utrwalony trzema miesiącami nieustannego przebywania w nim. Podczas gdy Otto Gunsche wynosił do ogrodu Kancelarii ciało owczarka Blondi, Adolf Hitler wraz z małżonką przystąpili do pozorowania okoliczności swojej śmierci. Z jednej z dwu szaf znajdujących się w gabinecie fuhrera wydobyli dwa szare koce, dostarczone przez personel pod pozorem zabezpieczenia się przed niskimi temperaturami, panującymi na co dzień w berlińskim bunkrze. Pochodziły one z pakietu wyposażenia dla nieprzewidzianych lokatorów schronu. Rozpostarli je na podłodze, jeden obok drugiego. Ewa Hitler z pozostawionej na sofie torebki wydobyła ampulkę z cyjankiem potasu, ścisnęła ją w dłoni, po czym położyła się na przygotowanym kocu. Zawijając się w niego rozgniotła ampulkę, a jej zawartość wtarła w szare sukno. Adolf Hitler na ile pozwalały mu fizyczne niedomagania, niewprawnymi ruchami prawej dłoni, nakrył głowę żony kocem. Upewnił się czy tkanina szczelnie otula każdą część ciała za wyjątkiem nóg, te postanowili dla odwrócenia uwagi od twarzy, pozostawić nie okryte. Oboje poczuli intensywny zapach migdałów przesycający powietrze w promieniu kilku metrów. Mimowolnie wstrzymali oddech chcąc uniknąć przedostania się trucizny do organizmu. Zaczerpnąwszy później kilka głębszych wdechów utwierdzili się w przekonaniu, że wyziewy trucizny nie są szkodliwe dla ich organizmów. Fuhrer skierował swoje kroki w stronę owalnego stołu. Mocnym chwytem prawej dłoni ujął Waltera kaliber 7.65 mm, przeładował go, upewniając się czy nabój został wprowadzony do lufy. Pistolet był gotowy do strzału, zatknął więc broń za pasek. Otworzył drzwiczki komody, wydobył przechowywaną tam szklanę z własną krwią, oblał nią poręcz sofy. Szybkim krokiem pokonał dystans dzielący go od leżącej na podłodze żony. Położył się na wznak na kocu obok niej, wydobył za pasa broń i położył ją na podłodze w zasięgu prawej dłoni. Sięgnął do kieszeni płaszcza, namacał mały szklany przedmiot, zacisnął na nim prawą dłoń, kolejno zgniótł szkło niewielkiej fiolki, a zawartość wtarł w wełnianą tkaninę koca. Niezawodna prawa dłoń bez większego trudu odnalazła spoczywający obok pistolet, położył go na klatce piersiowej, odliczył w myślach do siedmiu, tę liczbę uważał za szczęśliwą, cicho wyszeptał Got mit uns. Lufę pistoletu wycelował w prawą ścianę, tuż ponad poręcz sofy, po czym nacisnął spust. Poły koca zarzucił na twarz.

Wszystkie gesty i ruchy jakie wykonywał odbywały się z wyreżyserowaną precyzją, z gracją aktora, etap po etapie odgrywającego swoją wystudiowaną rolę. Najpewniej zdarzenia jakie zaplanował w chwilach wolnych od wojskowych narań, zapytywań personelu, wymogów etykiety nakazującej mu spędzać cenny czas na przeciągających się posiedzeniach, uzupełniał podczas trzech bezsennych nocy. Przy każdej nadarzającej się okazji rozważał najmniejszy nawet szczegół mającej nastąpić ucieczki. Starał się przewidzieć każdy jej aspekt, uprzedzić każdą nieprzewidzianą, a niesprzyjającą ewentualność, podobnie jak w przypadku swoich porywających przemówień, stać się narratorem każdej sceny, kontrolować narastającą dramaturgię biegu wypadków, wciąż nabierających tempa.

Na dźwięk rozlegającego się wystrzału stojący u wejścia do gabinetu fuhrera Linge i Gunsche z całej siły naparli na metalowe drzwi. Te otwierając się z nieoczekiwana łatwością, wepchnęły obu mężczyzn siłą bezwładności do wnętrza gabinetu. Odepchnęli je w tył tuż po znalezieniu się w prywatnym pomieszczeniu fuhrera. Kilkoma zdecydowanymi ruchami upewnili się czy drzwi są zamknięte. Rozglądnęli się po wnętrzu, już w pierwszym oglądzie dostrzegli nienaturalnie ułożone postacie ludzkie nakryte kocem, leżące po środku podłogi. Nie tak wyobrażali sobie miejsce, jakie zająć mogła najważniejsza osoba w tysiącletniej Rzeszy wraz z jej towarzyszką życia. Powstałe okoliczności nie zezwalały na dłuższe zastanawianie się nad kuriozalnością obserwowanego zjawiska. Bez zastanowienia, kierowani dotychczasowym, bezwzględnym posłuszeństwem przystąpili do wykonywania rozkazu fuhrera. Gunsche nie wysilając się nadmiernie uniósł leżącego nieruchomo Adolfa Hitlera, Linge uczynił to samo, zaczerpnąwszy głębszy wdech, z Ewą Hitler. Obaj powstali na równe nogi, pewniejszym chwytem ujęli w wyciągniętych przed siebie dłoniach, nieruchomych małżonków, szybkim spojrzeniem upewnili się czy wełniane, wojskowe koce szczelnie otulają twarze pierwszej pary istniejącego nadal państwa - wszystko znajdowało się w należytym porządku. Bardziej niż ciężar niesionych osób dał się uczuć respekt przed majestatem władzy, nigdy jeszcze nie znaleźli się w tak dużej bliskości wobec swoich zwierzchników, nigdy nie dotykali

uświęconego i namaszczonego przez sprawiedliwość dziejową, ciała.

Owszem zdarzało się że w nieprzewidzianych okolicznościach otrzymania nagłych depesz, odnoszących się do zmieniającej się strategicznej sytuacji na newralgicznych odcinkach frontu, w pośpiechu i ferworze następujących niespodziewanie po sobie zdarzeń, Günsche przelotnie musnął dłoń fuhrera, podsuwając mu do podpisu kolejny z dokumentów. Tak zdarzyć się miało podczas niezaakceptowanej przez naczelnego wodza, kapitulacji VI – ej armii marszałka von Paulusa podczas oblężenia Stalingradu, gdy podsuwał fuhrerowi do podpisu stosowny dokument, a przy okazji tej nominację Von Paulusa na feldmarszałka, poczynioną w nadziei popełnienia przez niego honorowego samobójstwa, jako że żaden z niemieckich feldmarszałków nigdy nie pozwolił pojąć się do niewoli. Nigdy też nie zapomni magi towarzyszącej temu zdarzeniu, nie zapomni elektrycznego impulsu jaki spowodowało muśnięcie palców dowódcy, niezwyciężonego podczas Wehrmachtu. Podobne zdarzenie miało miejsce podczas podpisywania depeszy do Eichmanna zezwalającej na deportację węgierskich Żydów do Aushwitz – Birkenau, po nagłej wolcie Miklosza Horty i przystąpieniu Węgier do koalicji antyhitlerowskiej. Dokładnie pamięta to uczucie, gdy zupełnie przypadkowo podczas wymiany dokumentów, spotkały się potężna dłoń fuhrera niemieckiej Rzeszy i niepozorna ręka jego adiutanta. Doznania zbliżonego w sferze emocjonalnej doświadczył także w czasie podpisywania rozkazu o doszczętnym zrównaniu z ziemią gruzów powstańczej Warszawy, we wrześniu 1944 -go roku, gdy nieznacznie drżąca lewa dłoń wodza, przez przypadek nakryła jego dłoń, podsuwającą pisemny rozkaz. Nie zapomni także rzecz jasna pożegnalnego uścisku, sprzed kilkudziesięciu minut, stawiającego sobie za cel umocnienie wśród obecnych w bunkrze osób, przekonania o nieuniknionym samobójstwie naczelnego wodza.

Pewnie stawianymi krokami zbliżyli się do pomalowanych szarą farbą drzwi, Linge prawą stopą rozchylił je umożliwiając swobodniejsze przejście. Znaleźli się na korytarzu, szczęśliwym zrządzeniem losu nie był zatłoczony, mogli odetchnąć z ulgą. Żaden z pijanych żołnierzy przypadkowo nie potrafił niesionych osób, nie odchylił gestem bezwładnej dłoni połów koca, skrywających oblicza ludzi, w każdej chwili gotowe zdradzić objawy życia. Pewnym, marszowym krokiem, czerpiącym wzorce z najlepszych tradycji pruskich defilad, zmierzali najkrótszymi połączeniami do schodów prowadzących na dziedziniec. Po drodze napotkali dwie sekretarki fuhrera. Ich spojrzenia utkwione w zawartości, szarych kocy zdradzały oznaki najgłębszego przygnębienia, w ich oczach szklily się łzy. Na ile było to możliwe, nie zmieniając kierunku w jakim zmierzały, odprowadziły wzrokiem oddalających się mężczyzn. Niepokój adiutanta i kamerdynera, wzbudzili kompletnie pijani, trzech wysocy oficerowie Wehrmachtu, śpiewający patriotyczne pieśni. W warunkach frontowych zagrzewające do walki, w podziemnej rzeczywistości bunkra natomiast, doliczając stan żołnierzy i świętokradcze przeinaczanie przez nich wielu słów, sprawiające wrażenie profanacji. Na widok wystających nóg Ewy Hitler i nóg skulonego fuhrera owiniętych w koce, sprawili wrażenie natychmiastowego wytrzeźwienia. O nic nie pytali, ukrywając butelki z wódką za plecami, w milczeniu oddali nazistowskie pozdrowienie. Minawszy ich, adiutant wraz z kamerdynerem stanęli u podnóża klatki schodowej w kształcie graniastosłupa, prowadzącej do wyjścia ewakuacyjnego. Podeszwy wojskowych butów zadrżały i ośliznęły się na pierwszym z wilgotnych stopni. Rozmiary niesionych osób jak i poły spowijających je kocy, uniemożliwiały spoglądanie pod nogi, a tym samym kontrolowanie długości stawianych kroków. Mogło się zdarzyć że błędnie określona ich rozpiętość, spowoduje niespodziewane poślizgnięcie się i niekontrolowany upadek. Günsche, niosący wcześniej ciało Blondi, tym samym bardziej doświadczony w pokonywaniu kolejnych stopni z ciężkim przedmiotem niesionym na wyciągniętych dłoniach, dawał wskazówki podążającemu w ślad za nim Lingemu, z każdym stopniem co raz bardziej odczuwającemu, ograniczający swobodę ruchów, balast. Każde osunięcie się stóp po wilgotnych schodach skutkować mogło zdekonspirowaniem całego przedsięwzięcia. Upadający na schody fuhrer wraz z żoną mogli zachować się tylko w jeden przewidywalny sposób, sturlać się w dół dotkliwie się przy tym raniąc. Na domiar złego, gdyby ktoś wchodził lub schodził tymi samymi schodami, zapamiętałby zaszłe zdarzenia, a wiadomość tę niechybnie przekazał do opinii publicznej, przesądzając tym samym o niepowodzeniu całego przedsięwzięcia, a przy okazji tej o dalszych losach adiutanta i kamerdynera. Wówczas nie pozostawałoby im nic innego jak tylko przyłożyć sobie lufy pistoletów do skroni bądź też włożyć je w usta i pociągnąć za spust. Świadomość tego powodowała że obaj SS- manni ze szczególną ostrożnością stawiali każdy kolejny krok. Śliskość schodów sprawiała że poziom stresu, a wraz z nim podwyższony poziom adrenaliny coraz bardziej dawały znać o sobie. Mieli do pokonania odległość odpowiadającą siedmiopiętrowemu budynkowi, ostatnim wysiłkiem woli utrzymywali na wyciągniętych ramionach, wydawać by się mogło, z każdą minutą wzrastający ciężar. Z wolna tracili już czucie w silnych ramionach, wnikliwymi spojrzeniami przeszywającymi półmrok, upewniali się czy zawartość szarych koców znajduje się na odpowiednim miejscu. Zamierzali już zaproponować parze uciekinierów przymusowy postój, narażając się tym samym na nieprzewidziane konsekwencje, w każdej przeciw chwili zza załomu schodów mógł wynurzyć się przypadkowy przechodzień. Obawa przed tym spowodowała że ostatnim przypływem zdroworoządkowych myśli wykrzesali z siebie ostatnie tchnienia energii, szczęśliwie w tym momencie zza ostatniej ściany działowej, rozgraniczającej schody na kilkudziesięcio stopniowe moduły, wyłonił się zarys metalowych drzwi. Dwoma palcami prawej dłoni Linge zwolnił zasuwę blokującą mechanizm zamykający i otwierający za razem. Obaj naparli barkami na masywne odrzwia, poczuli silny powiew wiatru wdzierającego się do wnętrza. Zawył on gwałtownym porywem w dolnych kon-

dygnacjach klatki schodowej. Przekroczyli metalowy próg, silnymi kopnięciami zatrasnęli za sobą wejście. Dla Heinza Linge był to pierwszy kontakt z wiosennym powietrzem tego roku, starał się uchwycić jego wiosenną lekkość i lepkość, jednakże zbyt dużo wirowało w nim pyłów i popiołów ze zburzonych i spalonych budynków, nazbyt bardzo przesycił je swąd spalenizny, zbyt często przeszywał tumult upadających pocisków, by mógł doszukać się w nim aromatu kojarzonego z poprzednimi wiosnami. Postawili pierwsze, pewne kroki na stabilnym gruncie. Uszu czworga ludzi dobiegł warkot silnika samolotu, stojącego tuż pod kikutami zwalonych na chodnik drzew. Pilot kierując się względami bezpieczeństwa, chcąc wtopić w otoczenie nietypowy w tej scenerii przedmiot, okrył samolot zalegającymi najbliższą okolicę, rozłożystymi gałęziami zdruzgotanych konarów. Na widok dwojga SS - Mannów niosących dwoje ludzi zawiniętych w koce, pilot opuścił kokpit samolotu i podbiegł do zbliżających się żołnierzy.

- Mein fuhrer, nieznanego niemieckiego pilota zbliża się w naszym kierunku, jesteśmy już w ogrodzie kancelarii Rzeszy.

- Postawcie nas na ziemi.

- Tak jest mein fuhrer, w służbowym tonie odpowiedział Günsche, podtrzymując Adolfa Hitlera zanim ten uchwycił równowagę.

W tym czasie Linge pomagał wydostać się z koca, szamocącej się Ewie Hitler. Pilot zbliżył się na tyle bardzo, że możliwym stało się rozpoznanie jego kobiecych rysów.

- Hanna Reitsh, dzięki Bogu udało ci się bezpiecznie dolecieć. Witam serdecznie moją ulubioną pilotkę, powiedział fuhrer zrzucając z siebie koc i wyciągając w jej kierunku prawą dłoń.

- Nie tylko dolecieć, ale i bezpiecznie wylądować, co było nie mniej trudne. Stork to wspaniała niemiecka konstrukcja, wystarczy mu dwadzieścia metrów prowizorycznego pasa startowego bądź lądowiska.

- Dzięki Bogu, nie wyobraża sobie nawet pani, jak się cieszę na widok pani całej i zdrowej.

- Nie mniej i ja, a nawet bardziej na widok fuhrera i Ewy Braun.

- Ewy Hitler, wczoraj zawarliśmy w bunkrze ślub.

- Pragnę najmocniej pogratulować i złożyć najserdeczniejsze życzenia.

- W samolocie, pogratuluje nam pani w samolocie, nie możemy tracić cennego czasu, musimy odlecieć za nim rozpęta się kolejna burza wystrzałów – oznajmił nerwowym tonem Hitler, rozglądając się dookoła. Raz jeszcze najmocniej wam dziękuję Linge i Günsche, doskonale wypełniście powierzone wam zadanie, tak wcześnie jak tylko to będzie możliwe, spełnię złożone wobec was obietnice, nie zapomnijcie tylko podpalić sobowtórów. Kanistry z benzyną stoją za waszymi plecami, my musimy już odlatywać.

Hanna Reitsh wraz z małżeństwem Hitlerów, podbiegli do niewielkich rozmiarów samolotu obserwacyjno – łącznikowego Fieseler Fi 156 Storch. Pilotka odrzuciła na boki gałęzie zasłaniające wejście do kabiny i uchyliła drzwi. Pomogła dostać się dwójce uciekinierów do wnętrza maszyny, kilkoma wprawnymi ruchami ciała znalazła się za sterami, po czym zatrasnęła za sobą drzwi. Z pozoru leniwie poruszające się śmigło z każdą sekundą wchodziło na wyższe zakresy obrotów, ośmiocylindrowy silnik zafurkotał niskim tembrem, skutecznie zagłuszając dobiegające z zewnątrz pogłosy wybuchów. Fuhrer usiadł na fotelu nawigatora, Ewa Hitler zajęła miejsca w tylnej części kabiny. Jedną z najlepszych pilotów w Rzeszy, laureatka wielu awionistycznych konkursów kołowała samolot w kierunku najbliższej prostej, wymijając rozerwane eksplozjami płyty chodnikowe. Gotowujący się do startu samolot wzmagał obroty silnika.

- Uważa pani że bez większego ryzyka zdołamy się wzbić w powietrze? Słyszałem że przygotowano specjalny pas startowy na Ebertstrasse, tuż przed bramą Brandenburską - starał się oznajmić fuhrer przekrzykując warkot silnika.

- Lądowałam i startowałam w gorszym warunkach. Zalety samolotu krótkiego startu i lądowania są nieocenione, choć do startu potrzebuje on kilku metrów więcej trasy rozbiegowej niż do lądowania, miejsca wystarczy w zupełności, a teraz proponuję przytrzymać się mocniej foteli i upewnić się czy wszystkie pasy bezpieczeństwa zostały prawidłowo pozapinane. Nie musi fuhrer zakładać aparatu tlenowego, nie będziemy lecieć na dużych wysokościach.

Samolot gwałtownie przyspieszył, najwyższy trzydziestometrowy odcinek chodnika umknął w niezauważalnym tempie, gwałtownie przyciągnięty drążek spowodował że rozpędzony samolot najpierw podskoczył, a w sekundę później siła ciągu dwustu czterdziestokonnego silnika, podniesione stery wysokości wyrzuciły samolot w powietrze. Pilotka ostrym łukiem wyminęła wysoki konar przepołowionego drzewa, osiągnęła wysokość najwyższych, z ocalałych budynków. Hitler z zaskorbieniem wzbijającego się w powietrze samolotu widział jak dwaj SS - manni podpalają ciała sobowtórów, jak płomienie gwałtownie unoszą się i wynurzają z głębokiego leja, jak czarną poświatą wirującej sadzy niosą się z wiatrem, obnażając jaskrawe oblicze podsyconego benzyną, ognia. Obserwował jak w bezwzględny sposób języki ognia liżą zawartość wojskowych kocy, później pożerają je niczym nienasyconą żądzą niszczenia, potężnego żywiołu. Pozostawiał za sobą ruiny Kancelarii Rzeszy, architektonicznej dumy stworzonego przez siebie reżymu. Przez jego umysł przeleżała się fala wspomnień związanych ze swoją berlińską siedzibą, zaprojektowaną przy udziale własnym, z niemalym trudem z pomocą naddwornego architekta Alberta Speera. Przywołał świeże jeszcze obrazy, kiedy to oboje doglądali budowlanych prac, postępujących w niewiarygodnie szybkim tempie. Pamięta, gdy po upływie dziewięciu miesięcy oznajmiono mu możliwość

wprowadzenia się w podwoje Kancelarii. Tysiące metrów sześciennych cennego, kremowego piaskowca zdobiącego elewację zewnętrzną na długości 421 metrów, sala mozaikowa z czerwonego marmuru, dziedziniec honorowy i otaczające go reprezentacyjne gmachy, wielki hol, sala posiedzeń rządu, rozrzucająca wokół refleksy światła, odbite od złoconych polichromii. Czterystumetrowy własny gabinet na posadzkach którego mógłby przedefiniować batalion tygrysów królewskich. Nie dowierzał że nie mające końca korytarze, ozdobione brązowymi posągami koni, monumentalne rzeźby i obrazy w stylu nacjonalistycznego realizmu, wszystko co składało się na najbardziej reprezentatywną wizytówkę narodowego socjalizmu, bezpowrotnie legły w gruzach. Wbrew niedowierzaniom niczego nie żałuje, podświadomy imperatyw zniszczenia zabrania mu stawiania sobie jakichkolwiek zarzutów, w zamian nakazuje przyjąć obraz ten z nieklamana satysfakcją.

Samolot lecący tuż nad ruinami budynków minął ruiny dzielnic Mitte i Kreuzberg. Z okien mniej monumentalnych budowli, z gmachów miejskich urzędów, mieszczańskich kamienic wydobywały się kłęby brunatnego dymu, osypujące się mury powodowały wzbijanie się w powietrze chmur pyłów, rozpraszały się one na pułapie lecącego samolotu. Zapadające się dachy i wyższe kondygnacje pociągały za sobą zniszczenie pięter położonych niżej, zapadały się nośne ściany a wraz z nimi osuwały się całe interwały pruskiego i niemieckiego kulturowego dziedzictwa, zakłète w kilkusetletniej historii zabytkowych kamienic. Ruiny kilkupiętrowych budynków, przed oczyma pasażerów nisko lecącego samolotu ukazywały kolorystyczną mozaikę obnażonych ścian. Różnorodność trudnych do określenia kolorów, zakłócały porozrzucane w nieładzie legary, fragmenty dachów, powyrywane z drzwi futryny. Do niedawna cztero i pół milionowe miasto doszczętnie teraz wyludnione, rozbłykiwało ognikami artyleryjskich wystrzałów. Z wysokości lecącego samolotu wybuchające rosyjskie czołgi, rozrywane niszczącą siłą pancernic, jawiły się jak rozbłyski zimnych ogni, jak ognisćie kolorowe pióropusze fajerwerków, odpalane niegdyś dla uczczenia kolejnych zwycięstw rycerskiego Wehrmachtu. Adolf Hitler starał się objąć wzrokiem niekończącą się toń ruin, wciąż przybierającą na sile, pogrążającą w przepastnych otchłaniach kolejne dzielnice oblężonego miasta. Dostrzegał tylko niewielki fragment majestatycznej do niedawna stolicy, spustoszonej na tyle bardzo, że gdyby podobne zdarzenie nastąpić miało w czasie pokoju za przyczyną sił natury, wystarczyło by do ogłoszenia stanu wyjątkowego w całym kraju, powołania sztabów kryzysowych, ogłoszenia klęski żywiołowej i humanitarnej. W stanie wojny przestało to kogokolwiek dziwić. Skryci w piwnicach kamienic, koczujący w podziemiach metra - mieszkańcy Berlina - wszyscy koncentrujący wszystkie siły na przeżyciu kolejnej godziny, z zupełną obojętnością przyjmowali rozgrywający się monodram powszechnej destrukcji, z ludzką potrzebą niszczenia w roli głównej. Beznamiętnie odnosili się do inscenizacji mitologicznego armagedonu, dokonanego za przyzwoleniem teutońskich bogów, odwracających się od swoich wyznawców. W poczuciu bezsily przyglądali się implementacji przepowiedni o zbiorowej zagładzie, pochodzącej z wszystkich wierzeń, jakie zdołała spisać i usystematyzować ludzkość przez cały okres swojego trwania.

Fuhrer rozpoznał niemożliwą do pomylenia z czymkolwiek innym bryłę Bramy Brandenburskiej, jej niegdyś lśniąca powierzchnię znaczyły teraz niezliczone odpryski i zagłębienia, pozostałości po uderzeniach pocisków najrozmaitszego kalibru. Ubytki jasnego piaskowca kontrastowały z czernią osmolonych kolumn i czarnym od sadzy portykiem. Pod tą bramą, w mieście obwołanym nową stolicą świata zamierzałem przyjmować defilady armii podbitych państw. Jakże niewiele pozostało z moich wzniosłych dążeń, z dystrakcją powiedział w duchu.

Szybkim ślizgowym lotem przelecieli nad wypaloną kopułą berlińskiej katedry, sterczące kikuty dachowej konstrukcji niemal oślizgnęły się o podwozie samolotu. Doświadczona pilotka płynnym ruchem dłoni, przyciągała do siebie drążek sterowy, w odpowiedzi, lekki łącznikowy samolot niezwykle podatny na wszelkie komendy, gwałtownie nabierał wysokości. Hanna Raitsh na widok rosyjskiej baterii przeciwlotniczej i rozrywających się ponad nimi pocisków, wprawiających samolot w odczuwalne turbulencje, dokonała gwałtownego zwrotu i ostrym łukiem skierowała się nad Alexanderplatz. Adolf Hitler beznamiętnym spojrzeniem pospiesznie obwiodł niegdyśiejszy plac defilad. Wspomnienia jego zatrzymały się na scenach, gdy czerwono - czarno - białe proporce furkotały podczas nazistowskich świąt, rocznic i jubileuszów, upamiętniających monachijski pucz czy też przejęcie władzy. Cały plac rozbrzmiewał defiladowym, miarowym krokiem na cześć kolejnych podbojów, dowodzonej przez niego, niezwyciężonej armii. Minione bezpowrotnie lata największych triumfów wyzwoliły w nim przypływ wzruszenia, najmniej pożądany w okolicznościach w jakich się znalazł. Nie zamierzał dłużej powracać wspomnieniami do czasów minionej świetności, z najwyższym trudem godził się na przekazanie zdarzeń tych w nadzór wyższemu zwierzchnictwu praw przemijania. Zanim jednakże miało to nastąpić, ostatnim wysiłkiem woli pragnął zatrzymać tamte zdarzenia, zabezpieczyć je na wzór archeologicznych odkryć, nadać im znamię nieśmiertelności.

Wiedział już że wbrew jego woli wszystkie te starania muszą obrócić się wniwecz, ich byt ograniczyć się musi do wypełnienia kart odległej już przeszłości. Mogą co najwyżej stanowić treść kronik filmowych, które po przedostaniu się w ręce barbarzyńskich aliantów będą wyświetlane jako świadectwo świadczące przeciw niemu i przestroga dla wszelkich prób ustanowienia podobnej dyktatury. Odwrócił głowę, okrywający szyję kołnierz ciężkiego, wojskowego płaszcza nie ułatwiał mu tej czynności. Rozproszony wzrok fuhrera nad panoramą berlińskich zgliszcz, zogniskował się nad zespołem architektonicznym przy Geudarmenmarkt, a raczej tym co z niego pozostało. Zdobne w rzeźby attyki kamienic, porte fenetr wraz z portykami wyszły spod dłuta barokowych snycerzy, świadectwo artystycznego kunsztu minionych epok, po-

niewierały się w nieładzie na trotuarach, liczne z nich posłużyły jako budulec barykad. Wraz z tramwajowymi wagonami, szynami kolejowymi, chodnikowymi płytami wtapiały się w strukturę naprędcie usypywanych wzniesień, mających powstrzymać rosyjskie natarcie. Wydawać by się mogło że artystyczny zmysł Hitlera, emocjonalna więź, mentalny pomost przerzucony ponad trzema setkami lat dzielącymi go od powstania tych dzieł, powinien nakazywać jego wyczulonej na estetykę umysłowości - doznanie uczucia niepowetowanej straty, nieodwracalnego uszczerbku kulturowego dziedzictwa Niemiec. Nic takiego jednak nie miało miejsca, wszystkie te straty bez drżenia ręki wpisywał w osobisty poczet należnych narodowi krzywd, narodowi niestosującemu się w należyty sposób do wydawanych przez niego rozkazów.

W ucieczce przed pociskami, podążającymi tuż za ogonem samolotu, Hanna Reitsh zmuszona była zatoczyć jeszcze jeden krąg nad centralnymi dzielnicami Berlina. Adolf Hitler przywarł wzrokiem do ruin Raichstagu, wciąż doskonała pamięć podsunęła mu obrazy kiedy to zdobył się na podpalenie siedziby niemieckiego parlamentu pod koniec lutego 1933 roku, w celu przejścia władzy przez partię NSDAP. Przypomniawszy sobie w jak niewzbudzający podejrzeń sposób oddalił od siebie wszelkie podejrzenia i skierował je na międzynarodową grupę komunistów, z jak niewiarygodną łatwością opinia publiczna wspomagana przez goebelsowską propagandę uwierzyła w tę wersję zdarzeń. W zestawieniu z ówczesnymi szkodami, dzisiejsze zgliszcza mogą odpowiadać skali zniszczeń dokonanych przez erupcję wulkanu, obracającą w pył Pompeje i Herkulanum. Z niezliczonych oczodołów okien wyzierała czarna czeluść, wydawać by się mogło pochłaniająca całe światło dostarczane przez słońce, będące jeszcze wysoko ponad ziemią. Nie mógł oprzeć się złudzeniu, że w skutek wyzieraającego stamtąd mroku wkrótce zapadnie nagły zmierzch, by skryć przed ludzkim wzrokiem, przerażający obraz zrujnowanego miasta. Skrywać go będzie do czasu, gdy tytaniczna siła kolejnego pokolenia nadludzi nie odbuduje miasta do podstaw, a nowy dzień nie narodzi się do czasu gdy Bóg nie wypowie po raz kolejny słów „a teraz niech stanie się jasność”, dających początek nowym biblijnym zapisom i nowej karcie historii narodu któremu do dzisiaj przewodził. Bez wątplenia zakończyła się pewna era, szczególnie w dziejach Niemiec - dokonał ostatecznych wniosków przysłaniając oczy dłońmi.

Hitler pozostawiał zgliszcza dziedzictwa Hohenzolernów, budowlane dokonania Fryderyka II, Bismarka, cesarza Wilhelma II. Wszyscy oni przydali miastu nad Sprewą osobisty wkład, pomnożyli rejestry zabytków, nieustannie rozbudowywali i poszerzali zasięg terytorialny, on wszystkie te wysiłki zaprzepaścił. Zburzył międzypokoleniowe pomosty, obrócił w stertę gruzów niepowtarzalne dziedzictwo kultury i sztuki europejskiej. Ostatni raz rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie, sam nie dowierzał skali zniszczeń. Próbował uzyskać całościowy ogląd hekatombi sprowadzonej przez siebie na jedną z najurokliwszych europejskich, stolic. Osłabiony wzrok, zbyt niska wysokość lotu, spowodowały że dostrzegał tylko majaczące w oddali szczyty kamienic. Naród który tak bardzo zawiódł swojego wodza, okazał się niegodny mnie, idei narodowego socjalizmu, niemieckiego państwa, nie zasługuje na posiadanie swojej stolicy – skonkludował ostatnie wrażenia. Obojętny wzrok skierował przed siebie, a później nieco w górę, niebo nad Berlinem tego dnia było nad wyraz błękitne, gdzieś tam tylko promienie słońca, spadające pionowo na ruiny, podwieszały zasłonę białych obłoków.

II

Hanna Reitsh zatoczyła ostatni półokrąg, ustabilizowała lot. Nieznaczne odepchnięcie drążka sterowego spowodowało że lekki samolot zawisł na jednolitym pułapie i podążał ruchem jednostajnie prostym. Wskazówka pokładowego kompasu zatrzymała się w połowie odległości pomiędzy symbolami północy i zachodu. Nabierający wciąż wysokości samolot pozostawiał za sobą dopalające się miejskie pogorzelisko, obszar ruin, coraz bardziej niknący z pola widzenia. Obszar ten odgradzał się wyrazistym kordonem od podmiejskich, zadrzewionych plenerów. Opasywał czarno wstęgami jasnozielonych łąk - brunatny obszar zgliszcz. W oddali zamigotało słoneczne światło odbite od wód znikającej z pola widzenia Sprawy. Dostrzegalne stawały się jeszcze rozbłyśki wystrzałów rosyjskiej artylerii, rozlokowanej w długich tyralierach wokół miasta, jed-

nakże echo ich kanonad zanikać musiało dużo niżej, gdyż żaden z obcych dźwięków nie zakłócał odgłosów pracy silnika. Krajobraz widziany z okien samolotu, z wysokości kilku tysięcy metrów, nie przywodził na myśl niczego co mogłoby nawiązywać do widzianych przed kilkunastoma minutami, scen apokaliptycznej zagłady. Dostrzegalne stawały się długie, sowieckie kolumny wojskowe, torujące sobie przejazd pośród gruzowisk zbombardowanych dróg. Na widok przelatującego ponad nimi samolotu, nie starając się rozpoznać jego rodzaju i przeznaczenia, biorąc go zapewne za nieznanego sobie typ myśliwca, starali się uprzedzić jego zamiary ostrzeliwując górnopłatowiec z ciężkich karabinów maszynowych. Ich zasięg szczęśliwie dla załogi okazał się zbyt mały, pociski kończyły swój lot, pozostawiając ciemne smugi daleko pod pokładem. Czarne nitki dróg przecinały się z liniami trakcji kolejowej, na wielu odcinkach wysadzonych w powietrze przez wycofujące się niemieckie wojsko. Nakładające się poprzecznie na siebie długie fragmenty szyn, z tej wysokości sprawiały wrażenie pajęczej sieci oplatającej Berlin od północy. Z każdą kolejną minutą lotu krajobraz ujednolicał się, brunatne obszary zaoranej ziemi stanowiły niewielki procent nieużytków, pozostawionych ugorom za przyczyną wyższej, wojennej konieczności. Typowa dla tej pory roku, wzorzystość polnych połaci, ich rozczłonkowanie na liczne kwadraty i prostopadłości, zlewały się teraz w jednobarwny obszar ziemi, powracającej we władanie praw przyrody. Soczysta zwykle w pierwszych dniach maja - zieleń ozimych zasiewów - rozdzielona miedziami na mniejsze areale, została tej wiosny zupełnie wyrugowana z wiejskiego pejzażu, zastąpiona słomkowym kolorem zeszłorocznych traw. Na plan pierwszy mijanego pejzażu niemieckiej prowincji przenikała niebieska serpentyna rzeki Łaby. Jej meandrujące koryto przecinało Brandenburgię z południa na północny zachód i torowało sobie drogę w kierunku w jakim zmierzał lekki, łącznikowy samolot.

- Jak pani sędzi, panno Raitsh, jak długi czas zajmie nam podróż, zapytał głośno Adolf Hitler, starając się przekrzyczeć odgłosy pracy silnika.

- Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, w Hamburgu powinniśmy być za około godzinę.

- Możemy zatem założyć że w okolicach godziny osiemnastej, stwierdził pytajnym tonie fuhrer, spoglądając na zegarek.

- Wszystko zgodnie z planem mein fuhrer. Lecimy najkrótszą drogą wzdłuż koryta Łaby, gdyby nawet na skutek ostrzału, zawiodły przyrządy nawigacji pokładowej, rzeka wyznaczy nam dokładny kierunek lotu.

Adolf Hitler pochłonięty był obserwacją rozpościerających się w dole krajobrazów, przykuwał wzrok do rozległych obszarów leśnych, zaznaczających swoją obecność połaciami zieleniących się enklaw, pomiędzy ziemistymi barwami otoczenia. Spośród monotonnej faktury ugorów i nieużytków wyzierały przydomowe ogrody i rozległe sady obsypane białym kwieciem. Wsie i miasteczka rozpraszały jednolity koloryt, ceglana czerwienią dachów, spośród nich wyrastały, górujące nad otoczeniem wieże kościołów.

Fuhrer przelatywał nad terytorium Niemiec wielokrotnie, we wszystkich możliwych kierunkach o każdej porze dnia i nocy, z pewnością też ponad mijanym właśnie krajobrazem. Nigdy jednak nie towarzyszyła temu świadomość wykonywania jeśli nie ostatniego lotu, to z pewnością lotu który nie doczeka się kontynuacji w długim, być może bardzo długim okresie czasu. Świadomość nieuchronności tego faktu wyostrzyła zmysł obserwacyjny. Podczas poprzednich lotów zwykle obojętniał na wszystko, co dzieje się poza pokładem. Zaczytany w raporty i meldunki, zapoznający się z aktualnymi zdarzeniami, streszczanymi na szpaltach gazet, nie zwracał uwagi na różnorodność roztaczających się w dole pejzaży, starał się teraz zapamiętać jak najwięcej elementów niemieckiego krajobrazu, cech niemieckiej ziemi, jedynie ona nie opuściła go w sądnej godzinie, pozostała mu wierna jak jego owczarek, podczas gdy niemiecki naród, niemiecka armia, wymówiły mu posłuszeństwo. Z największą dbałością wspomnienia te musi przechować w pamięci i ponieść ze sobą, dokądkolwiek zaprowadzą go drogi nieprzewidywalnego, ludzkiego losu – powziął postanowienie.

- Pod sobą mamy miasto Wittenberge, w przybliżeniu jesteśmy w połowie drogi pomiędzy Berlinem a Hamburgiem.

Fuhrer przywarł twarzą do szkła kabiny, spojrzał pionowo w dół, w oddali, pośród lasów zamajaczył obraz miniaturowych budynków, tuż obok, krętymi zakolami toczyła swoje wody Łaba. Nazwę miasta jednoznacznie kojarzył z tezami Martina Lutera, przybitymi do wrót katedry, wiedział też o istnieniu dwóch Wittenberg, być może nieznacznie tylko różniących się zapisem, obu nad Łabą. Któraś z nich położona była bliżej Lipska, w której z nich Luter przybił tezy? Nie był w stanie określić, nie wiedział też w którym mogło nastąpić to roku. Od dawna zarzucał sobie nie wystarczające poświęcenie z jakim zapoznawał się z historią kraju, którego stał się synem na prawie trzydzieści lat, a któremu przewodził przez ponad dwanaście. Bezspornie wiedział bardzo dużo o Fryderyku II – gim, za wcielenie którego się uważał, interesował się życiem Fryderyka I - go Barbarossy, Henryka I – go Ptasznika, zgłębiał tajniki prapoczątków plemion germańskich, niemniej jego wiedza o historii najwspanialszego z narodów, który teraz zawodził go jakże sromotnie, pełna była luk. Za wszystkim stało bezgraniczne oddanie się bieżącym zdarzeniom, konieczność ich całościowego oglądu, przeniknięcie ich istoty na wskroś, ażeby zapanować nad nimi i w całości je ujarzmić. Stawał przecież w obliczu bezprecedensowych wyzwań, wobec których nie stawał jeszcze żaden z wodzów i przywódców w dziejach. Być może za wyjątkiem Aleksandra Wielkiego, Czyngis chana.....- pojawiła się wątpliwość, od podstaw rozpoczynających podboje, podobnie jak ja, na tak niewyobrażoną skalę. Przeciwnicy jakim rzucał rękawicę, wyzywając ich na śmiertelny pojedynek, jakże bardzo przecież różnili się od siebie. Przewidywać musiał ich reakcje, przeniknąć intencje, określić granice do jakich mogą się posunąć ak-

ceptując jego politykę, przed czym się nie ugną, a co wywołać może nieuniknioną wojnę. Wcielić się musiał w umysłowość Polaków, przeniknąć w stan świadomości Francuzów, walecznych w Wielkiej Wojnie lecz w przededniu kolejnej, przepojonych duchem pacyfizmu. Poznać odmienną mentalność zachowawczych Brytyjczyków, chwytających za broń w obliczu ostateczności, starających się przy tym zaangażować jak najmniejszą ilość sił własnych. Możliwości wiążących się z zaprzepaszczonym sojuszem z Anglią żałował najbardziej. Gdyby tylko nie zrzucili z tronu króla Edwarda VIII moglibyśmy stworzyć skuteczny antyamerykański sojusz, przed którym zadrżałaby reszta świata. Bogactwa naturalne imperium popłynęłyby do niemieckich portów tak szerokim strumieniem, że rampy rozładunkowe w Bremie, Hamburgu, Kilonii nie nadążałyby z rozładunkiem. Gdyby udało się podtrzymać romans żony Edwarda VIII-go, Wallis Simpson z Ribbentropem moglibyśmy trzymać w garści wszystkich amerykańskich urzędników, wraz z połową Białego Domu – rozpływał się w swoich niespełnionych wizjach. W następnej kolejności zmuszony był zapoznać się z tradycjami rosyjskiego militarysty, jego sowieckiej wersji zdeprawowanej czystkami w armii, egzekucjami oficerów i milionami niewinnych ofiar, których nawet on sam w owym czasie, nie byłby w stanie sobie wyobrazić, mógł co najwyżej pobierać naukę na przyszłość. W kolejce czekali już Amerykanie, którym wojnę wypowiedział w najmniej przemyślany sposób, najzupełniej spontanicznie, pod wpływem uderzenia wiernego sojusznika - cesarza Hirohito na Pearl Harbor, by wesprzeć go moralnie w czekających go starciach na Pacyfiku. Teraz dopiero jest w stanie sobie uświadomić jakże wówczas musiało to brzmieć absurdalnie i nedorzeczenie. On kapral z okopów Pierwszej Wojny, nieudaczny malarz pocztówek, bywalec monachijskich przytułków dla młodzieży, korzystnym zrządzeniem opatrności wyniesiony na wyżyny światowej polityki, stawiany w jednym rzędzie z dziedzicznym cesarzem Cesarstwa Japonii, potomkiem rodziny od wieków namaszczonej na dożywotnią funkcję, równym Bogom i jak Bóg czczony przez swój waleczny naród. Na myśl tę ukradkowo zaśmiał się, obnażając mostek protetyczny w całej jego okazałości. Spojrzał na pilotkę czy przypadkiem nie spogląda w jego kierunku i nie próbuje odczytać toku jego kompromitujących rozważań, Hanna Reitsh szczęśliwie pochłonięta była pilotażem samolotu. Gdyby tylko Niemcy mogły okazać się tak waleczną nacją – kontynuował swoje nieme dywagacje. Musi jak najszybciej skończyć z podobnymi refleksjami - uznał, kolejny raz nadmiernie się rozrzewnił, powinien nadal zachowywać trzeźwy ogląd sytuacji, przed nim kolejne, nie mniejsze wyzwania losu. Wspomnił przelotnie minione przeciwności gdy sprostać musiał wszelkim wymogom prowadzenia działań wojennych w warunkach tak rozbieżnych od siebie, jak pustynne, saharyjskie upały i zmrożone pięćdziesięcio stopniowymi mrozami, pustkowia Rosji. Wytrącił umysł z zamyślenia, być może na skutek wspomnień związanych z ponoszonymi tam, niebawem klęskami. Rozbiegany wzrok skierował na prawy z boków, miał wrażenie że samolot zawisł w bezruchu nad ciągnącymi się po horyzont połaciami jednolitej w tonie, jasnej zieleni. Wyteżył wzrok aby rozpoznać wyłaniające się zza rozłożystych drzew nieregularne kształty. Nadlecieli bliżej, były to ruiny miasta, zburzonego w znacznej części, pośród gruzowisk czerwieniły się nienaruszone pokrycia dachów, ulicami podążały konwoje ciężarówek.

- Brytyjczycy zajmują miasto Schwarzenbek, a raczej to co z niego pozostało, oznajmiła Hanna Reitsh kierując wzrok na prawo.

- Jedyna pociecha że to oni, a nie Rosjanie.

- Latając tą trasą traktuję je jako punkt odniesienia, po prawej wkrótce musi ukazać się Luneburg, oznacza to że za kilkanaście minut będziemy w Hamburgu, podzieliła się swoimi doświadczeniami pilotka.

Oddalający się od lecącego samolotu widnokrąg, wydobywał z wolna zza pozornej linii łączącej niebo z ziemią, zarysy Luneburga, przy bliższym oglądzie okazało się być nie mniej dotknięte skutkami działań wojennych, od znanych fahrerowi ruin Berlina, Monachium, Norymbergi. Unieruchomione lokomotywy zalegały na zdewastowanych kolejowych trakcjach. Miejski krajobraz naznaczony był poszarpanymi drutami kolczastymi i pozostałościami zbudowanych naprędce, fortyfikacji. Z tej wysokości rozpoznawalne stawały się przelamane pnie drzew, poniewierające się wraki czołgów, niektóre z nich spoglądały w górę cyklopim okiem odstrzelonych wieżyczek, na ulicach przedmieść poniewierały się porzucone, przeciwlotnicze działa Flak kanone 88. Panoramę tę pilot i pasażer obserwowali w milczeniu, oboje najpewniej wyciągając z obserwacji, nieprzystające do siebie wnioski. Hannę Reitsch ogarniały fale smutku i przerażenia na widok skali poniesionych zniszczeń, Adolfem Hitlerem targał niedosyt na widok niewystarczającej jeszcze ilości zniszczeń, mierziło niedostateczne wykonanie rozkazu o zniszczeniu wszystkiego co pozostawić musi za sobą wycofująca się armia niemiecka. Dlatego też nikt z nich nie zamierzał wymieniać się dokonanymi spostrzeżeniami. Pogrążeni w milczących obserwacjach, zauważyli jak niepostrzeżenie poczęły ukazywać się zza nawisu chmur, ruiny przedmieść Hamburga.

Roztaczający się przed ich oczyma widok przerósł najśmielsze oczekiwania. Fuhrer w prawdzie zapoznał się z protokołem zniszczeń drugiego co do wielkości miasta Rzeszy, podczas alianckiej operacji lotniczej „Gomora” z lata 1943 – go roku, widział zdjęcia płonącego przez kilka tygodni pogorzelska, wiedział o czasowym wstrzymaniu produkcji U – botów w kilku zbombardowanych stoczniach, o przerwaniu produkcji ponad pięciuset zakładów. Słyszał relacje naocznych świadków wspominających o burzy ogniowej przetaczającej się przez miasto z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę, uchodźstwie dwóch trzecich z ogólnej liczby mieszkańców, ludziach przywierających do rozgrzanego, ciekłego asfaltu, o zastyga-

niu w nim bez ruchu, podczas gdy czarna rozlewająca się ciecz pochłaniała w całości ich ciała i niszczyła wszystko co znajdowało się na jej drodze. Wszystko to jednak, nie przemawiało wówczas do jego wyobraźni w najmniejszym nawet procencie tego, co sugestywność i namacalność obrazów, obserwowanych teraz z lotu ptaka. Pośród wyjałowionych pustkowi pustynnego krajobrazu, pofałdowanego nasypami pyłów i popiołów, poprzetykanych większymi pozostałościami szalejących pożarów, nieśmiało wyrastały szkielety pojedynczych budynków, pozbawione wszystkiego co mogłoby zaświadczać o ich przeznaczeniu i użyteczności. Stanowiły pogładowe modele zastosowanych przy ich wznoszeniu budowlanych konstrukcji. Wypalone gmachy ukazywały filary, podtrzymujące całość inżynierskiego założenia i poziomy kolejnych kondygnacji, pomiędzy nich wзираła pustka. Obdarzony zmysłem architektonicznym fuhrer śledził wzrokiem każdy element konstrukcji i próbował odnieść go do znanych sobie technologii. Pomimo starań nie był w stanie odnaleźć skali porównawczej dla zastanych zniszczeń, bo z pewnością Berlin nie odpowiadał jej w wystarczający sposób. Nie widział wprawdzie zrujnowanego zagłębia Ruhry, zbombardowanej starówki w Dreźnie, jednakże roztaczający się przed jego oczyma widok przeszedł najśmielsze oczekiwania. Nie był w stanie uzmysłowić sobie w jaki sposób to obrócone w morze popiołów miasto, mogło po upływie czterech tygodni wznowić produkcję zbrojeniową, a po roku powrócić do stu procent produkcji przemysłowej sprzed dywanowych nalotów. Momentami miał złudzenie że nietrafnie ocenił ofiarność swojego narodu, jego wysiłek i poświęcenie.

- Takich zniszczeń nie doświadczył nawet Berlin, wyraziła swoje spostrzeżenia pilotka.

- Alianckie barbarzyństwo przekroczyło wszelkie bariery stawiane przez zachodnią cywilizację, o ile po Rosjanach mógłbym się tego spodziewać, to Brytyjczyków i Amerykanów nigdy bym o sprawstwo podobnych zbrodni nie posądził.

Hanna Reitsch przelatując nad zgłiszczami Hamburga, wprowadziła samolot w okrężny lot, zatoczyła dwa okręgi po czym długim ślizgiem obniżyła wysokość, obierając za miejsce lądowania nabrzeże ujścia Łaby do Morza Północnego. Z wysokości pikującego samolotu dostrzegalne stawało się rozszerzanie koryta rzeki w miarę zbliżania się do morskiego nabrzeża.

- Czy na pewno byliśmy umówieni w tym rejonie portu, nie widzę nigdzie nabrzeżnych doków?

- Charakterystycznego rysunku linii brzegowej ujścia Łaby nie sposób pomylić z niczym innym, po dokach na skutek bombardowań, na powierzchni morza nie pozostał nawet ślad.

Mówiąc to oblatywaczka przystąpiła do wykonania dwu płytkich kręgów nad tą częścią portu w poszukiwaniu dogodnego miejsca do lądowania, dostrzegłszy kilkudziesięcio metrowej długości, dobrze zachowany odcinek asfaltowego bulwaru, odciągnęła od siebie drążek sterowniczy. Łącznikowy samolot gwałtownie zniżył lot, z piskiem kuł przywarł do porowatej powierzchni asfaltu, spod ogumienia uniósł się obłok gęstego, szarego dymu. Samolot wykonał jeszcze kilka niskich podskoków, po czym zatrzymał się tuż przed zwałowiskiem metalowych prętów, oblepionych grudami betonu.

- Więcej już podczas tej wojny dla fuhrera zrobić nie mogę, w żartobliwym tonie oznajmiła pilotka, odpinając pasy bezpieczeństwa.

- Zasłużyła pani, panno Raitsh jako jedyny cywil w historii Prus, a później Rzeszy na kolejny krzyż żelazny, tym razem pierwszej klasy z liśćmi dębu i gdy tylko nadarzy się sposobność z pewnością go pani otrzyma, zapewniał ją fuhrer, usiłując prawą ręką odpiąć sprzączki pasa bezpieczeństwa.

- Fuhrer pozwoli że pomogę, dostrzegłam kontuzję waszej lewej dłoni.

- To raczej następstwo nieuregulowanego trybu życia jak przepracowanie, nadmierny stres, fizyczne świadectwo wysiłków ponoszonych na rzecz Niemiec, osobista pamiątka po stoczonej wojnie. Frontowcy mogą poszczycić się blizną i szramą jako indywidualnym wkładem w wysiłek wojenny, ja muszę zadowolić się drzeniem lewej dłoni, zadziwiająca ironia losu, nieprawdą? Wiem panno Raitsh że historia z pewnością chciałaby widzieć to inaczej.

- Zasługi fuhrera i tak pozostają nieocenione, dodała pilotka uchylając Adolfowi Hitlerowi drzwi kabiny.

- Gdyby jeszcze pani pomogła wydostać się z pokładu mojej żonie.

- Ależ oczywiście, mein fuhrer.

Hanna Raitsh uchyliła drzwi pasażera, Ewa Hitler bez trudu opuszczała wnętrze samolotu. Pilot i dwójka pasażerów stanęli na nabrzeżu portu.

- To był mój ostatni wojenny lot, nie będzie miał fuhrer nic przeciwko że poddam się Brytyjczykom, więcej już dla Niemiec zrobić nie mogę.

- Zawsze to lepsze rozwiązanie niż dostanie się w ręce Rosjan. Jeszcze raz najserdeczniejsze podziękowania za ofiarność, pani zasługi nie będą zapomniane. Mogę chyba liczyć na pani dyskrecję w wiadomej sprawie?

- Ależ mein fuhrer, to najzupełniej zbędne pytanie.

- Gdy będą panią wypytwać o cel tak dalekiego lotu, musi się trzymać pani uparcie wersji o próbach uniknięcia zestrzeleń przez Rosjan nad Berlinem, podjętej ucieczce przed nimi poza granice miasta, poszukiwaniu możliwości lądowania gdzieś na prowincji. W efekcie braku takiej możliwości, na skutek uszkodzonych drug, zmuszona została pani do nieprzerwanego lotu, osiągając nabrzeże Morza Północnego, pozbawiona natomiast możliwości kontynuowania go, musiała pani wylądować tutaj. Teraz będę już musiał panią pożegnać. Panno Reitsch, jak pani pamięta, z poczynionych ustaleń wynika,

że nie może pani wiedzieć o kolejnym etapie mojej ewakuacji, to dla dobra nas wszystkich. W pobliżu z pewnością napotka pani brytyjski posterunek, jeszcze raz najmocniej dziękuję, do zobaczenia może już wkrótce.

- Tak jest mein fuhrer, mówiąc te słowa pilotka uniosła prawą dłoń w nazistowskim pozdrowieniu. Adolf Hitler odpowiedział tym samym.

- Do zobaczenia pani Ewo.

- Ja również ze swej strony chciałabym wyrazić słowa podziękowania, do widzenia panno Raitsh.

Kobiety podały sobie dłoni na pożegnanie, po czym Hanna Reitsh pewnym krokiem udała się w kierunku zrujnowanych zabudowań portu. Małżeństwa Hitlerów odprowadziło wzrokiem oblatywaczkę, znikającą pośród budynków nabrzeża. Przez kilka minut stali na betonowym chodniku, ze wzrokiem utkwionym w wzburzone fale, rozplywające się łagodnymi okręgami w nadbrzeżnych dokach. Malejącą w oddali sylwetkę kobiety, zastąpiła ogromniejsza postać mężczyzny w średnim wieku, zbliżającego się w ich kierunku pospiesznym krokiem. Miał na sobie granatowy, szamerowany złotem mundur kapitanleutnanta Kriegsmarine.

- Stawił się pan z niemiecką punktualnością kapitanleutnant.

- Heil Hitler. Miło mi także powitać towarzyszącą osobę.

- Żonę Ewę Hitler, kapitanleutnant, oznajmiając ten fakt, fuhrer odwzajemnił pozdrowienie.

- Najmocniej przepraszam za popełniony nietakt, wieść o ślubie fuhrera jeszcze nie dotarła do Hamburga. Na wyznaczonym miejscu byłem jeszcze przed czasem, main fuhrer, musiałem upewnić że pilot oddalił się na wystarczającą odległość. Zgodnie z rozkazem otrzymanym z Berlina, zleciłem wyemitowanie radiu Hamburg komunikatu o następującej treści „Adolf Hitler zginął za Niemcy na swoim posterunku w kancelarii Rzeszy, walcząc do ostatniego tchu przeciwko bolszewikom” w tle pojawi się żałobna muzyka Brucknera i Wagnera, komunikat zostanie wyemitowany jutrzejszego wieczoru. Wszystko chyba pozostaje w zgodzie z telefoniczną instrukcją?

- W każdym szczególe kapitanleutnant....., fuhrer na moment zawiesił głos.

- Von Bylov, dopowiedział stremowany marynarz. Musimy się spieszyć mein fuhrer, łódź podwodna na zapuszczonych silnikach czeka w gotowości do wynurzenia, za piętnaście minut pojawi się tutaj brytyjski patrol. Proszę za mną.

Przeszli kilkadziesiąt metrów wzdłuż nabrzeża, wymijając płytkie rozpadliny i ubytki w ścianach doków. Nieopodal ruin przystani dla łodzi podwodnych, morska woda wzburzyła się i zakotłowała w nienaturalny sposób, na powierzchnię wydostały się nabrzmiałe pęcherze powietrza. Sponad spienionych wód, na powierzchnię morza poczęły wydobywać się spiczaste krawędzie anteny radionamiernika, tuleja peryskopu, lufa działa pokładowego, lufy baterii przeciwlotniczej, kolejno spod wody wyłonił się kiosk, piła do cięcia sieci rybackich na przedniej rufie, aż uwidoczniły się płaskie elementy pokładu łodzi podwodnej.

- Typ VII o napędzie spalinowo akumulatorowym, niewielki zasięg pod powierzchnią morza 80 Mil, na powierzchni już 8850, duża szybkość w wynurzeniu 17,7 Mil, uzbrojenie armata 88 milimetrów, 14 torped - admirał von Bylov zaznaczał fuhrera z możliwościami U – bota, na pokładzie którego mieli już wkrótce zagościć.

Nim jeszcze morska woda zdążyła ścieknąć po obu burtach, jeden z włazów uchylił się i z wnętrza statku wynurzył głowę jeden z członków załogi.

- Rzućcie nam trap, tylko się pospieszcie zanim zrobią to za was Brytyjczycy, zakomenderował von Bylov. Głowa marynarza zniknęła pod powierzchnią kadłuba, zapewne zanim zdążył rozpoznać jeszcze rysy naczelnego wodza. Po chwili przerzucony trap wsparł się o betonową krawędź nabrzeża, Hitler wraz z żoną stawiali rozchwiane stopy na stabilnym, choć wąskim pomoście. Idący za nimi von Bylov, zachęcał do bardziej stanowczego kroku. Wszyscy trzej zniknęli pod pokładem, oficer dyżurny upewnił się czy właz jest prawidłowo zamknięty.

Pierwszym wrażeniem jakiego doznało małżeństwo Hitlerów były nigdy wcześniej nie doświadczone, doznania zapachowe, ich nozdrzy dobiegł ciężki zbutwiał zaduch, wydawać by się mogło na stałe zalegający w płucach. Składały się na niego wyziewy z okrętowej kuchni przemieszane z zapachem oleju, uryny, toksyczna woń farby, opary ropy napędzającej silniki Diesla, na wszystko to nakładały się swąd spalin i ostra woń pleśni. Kolejnym wrażeniem było doznanie zacieśniania się dostępnej wokół przestrzeni. Niski pułap sufitów, wąskie przejścia mieszczące jedną osobę mogły u zdrowych nawet osób, wywołać objawy klaustrofobii. Pierwsze minuty pobytu we wnętrzu łodzi podwodnej zrobiły na Adolfie Hitlerze niekorzystne wrażenie, niepewnie stawiał kolejne kroki przechodząc przez stanowiska dowodzenia, z wyraźną niechęcią pokonywał kolejne metry wąskich korytarzy, prowadzących do pomieszczenia, gdzie rozlokowane były marynarskie koje. Mijani marynarze stawiali na baczność, a nie mogąc wyprostować prawej dłoni w geście nazistowskiego powitania, bezwiednie wypowiadali znaną każdemu Niemcowi formułę heil Hitler. Idąca za fuhrerm, Ewa Hitler oglądała się nieufnie na boki. Wkroczyli do obszerniejszej części korytarza, mieszczącej miejsca noclegowe. Adolf Hitler przystanął przed swoim portretem, bacznie się mu przyglądając.

- Moja szczęśliwa gwiazda okazała się także sprzyjać waszej fortunie.

- Portret fuhrera wisi na każdym U – bocie i jeśli nawet nie wszystkich uchrania od zatopienia, to dodaje otuchy i niezłom-

ności.

- Słucham pańskich słów z niesłabnącą radością, choć muszę wyznać że nie czuję się najlepiej na chybottliwym pokładzie statku, w przeciwieństwie do samolotu, samochodu, pociągu, oznajmił zdeorientowany fuhrer.
- Szybko fuhrer przywyknie, każdy z marynarzy na początku swojej kariery odnosił podobne wrażenie. Tutaj fuhrer wraz z żoną mogą zająć swoje koje, wybór jest duży, załoga została ograniczona do minimum, co najwyżej kilkunastu marynarzy obsługujących silniki, kontrolujących zanurzenie i wynurzenie, sprawujących dyżury w kuchni i dbających o względy bezpieczeństwa. Było to możliwe, ponieważ podczas wciąż trwającej wojny, nasz U - bot nie będzie dokonywał zatopień wrogich jednostek pływających, co najwyżej podejmować może działania obronne.
- Podziwiam pańskie oddanie dla sprawy narodowego socjalizmu, kapitanleutnant von Bylov, służba w tych warunkach to najwyższa próba własnego charakteru. Zastanawiam się w jaki sposób pan wraz z załogą znosicie ten odrażający fetor? Tak przerażającego smrodu nie pamiętam nawet z okopów Wielkiej Wojny. Zapytał fuhrer z trudem oddychając.
- Dopiero co powróciliśmy z ośmio tygodniowego rejsu. Na ile to było możliwe wewnątrz zostało przewietrzone. Muszę oznajmić że aktualny zapach nie należy jeszcze do najbardziej odrażających. Znacznie gorzej bywa podczas uszkodzenia okrętu bombami głębinowymi, gdy ulatniają się trujące opary chloru z akumulatorów napędu elektrycznego - oznajmił monotonnym, służbowym tonem, kapitanleutnant von Bylov w sposób jak gdyby składał służbowe sprawozdanie. Chciałbym też nadmienić że stosunkowo łatwo można do niego przywyknąć, dopiero zaczerpnięcie świeżego powietrza przy okazji wynurzenia uzmysłowić może adaptacyjne możliwości ludzkiego organizmu. Nie zamierzam też przytaczać bliższych szczegółów ze zdarzeń dziejących się podczas alarmu, wszystkie sprzęty i ładunki wirują w powietrzu, zapasy żywności ładują pod łózkami.
- Ponadto ta ograniczająca ruchy ciasnota, zauważył Adolf Hitler.
- Jak już wspominałem zrobiliśmy wszystko aby fuhrer wraz z żoną zapewnione mieli maksimum przestrzeni, nigdy jeszcze na pokładzie nie gościliśmy tak dostojnych gości. Kilkunastu marynarzy to znacznie mniej niż czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu kilku stałej załogi. Zaprowadzony też został wzorowy porządek, usunięto wszystkie pozostałości ostatniego rejsu, o których nie chciałbym wspominać, a państwo usłyszeć. W tej sytuacji obawiam się nadmienić o warunkach sanitarnych do jakich również będą musieli państwo przywyknąć. Zaznaczyć muszę że do dyspozycji są dwie toalety, zwykle druga służy jako spiżarnia.
- Czego się nie robi dla ratowania idei nieśmiertelnej Rzeszy, przywykniemy, z pewnością przywykniemy, kapitanleutnant von Bylov, oświadczył Adolf Hitler rzucając nieśmiało spojrzenia w kierunku żony.
- Zapomniałem dodać że dla uzupełnienia zapasów żywności i paliwa, zawiniemy w drodze do Ruez do duńskiego Tonder, ocalałego od barbarzyńskich zniszczeń dokonywanych przez aliantów na naszej rdzennej, niemieckiej ziemi. Tam nie dotarli jeszcze nasi wrogowie.
- Jeżeli to konieczne.
- Wręcz nieodzowne, szczęśliwie się składa że port ten znajduje się niemal po drodze. Proszę zatem rozlokować swoje rzeczy, w późniejszej kolejności nadmienię jeszcze, których miejsc na okręcie należy unikać, zaprowadzę państwa do sanitariatów, jeśli państwo sobie życzą, zapoznam z historią naszej jednostki, wojennymi dokonaniem, osiąganiami, zasadami działania.
- Bardzo chętnie kapitanleutnant von Bylov. Pozwoli pan że zanim to nastąpi wraz z żoną ochłonimy nieco z oszołomienia, jakie wywołało znalezienie się w nieznanym nam otoczeniu, zaaklimatyzujemy się wstępnie w nowych warunkach bytu, oznajmił fuhrer przerywanym głosem, z trudem wydychając powietrze.
- Naturalnie, gdyby zaszła taka potrzeba jestem do dyspozycji, meniu fuhrer. Znajdzie mnie pan na stanowisku dowodzenia. Hail Hitler, rzucił na odchodne kapitanleutnant von Bylov, zastukawszy obcasami, po czym zniknął w wąskich korytarzach okrętu.
- Wiele, może nawet bardzo wiele rzeczy i sytuacji byłem i jestem sobie w stanie wyobrazić, nie wyobrażam sobie natomiast w jaki sposób przetrwać w tych warunkach tak długą podróż. Podróżowałem już samochodami, samolotami, pociągami na ogromne dystanse, nie odczuwając w najmniejszym stopniu tego dyskomfortu, morze i statek to stanowczo nie mój żywioł, wyrażał swoje wątpliwości Adolf Hitler chodząc tam i z powrotem wzdłuż marynarskich koi.
- Przetrwałeś Adolf trzy miesiące w berlińskim bunkrze, w chłodzie i wilgoci przetrwasz także rejs łodzią podwodną.
- Tam przynajmniej dało się normalnie oddychać, tutaj ten przeklęty fetor więźnie w gardle.
- Przywykniemy do wszystkich niewygód.
- Tam przynajmniej trzęsło tylko podczas ostrzału, tutaj bezustannie.
- Pomyśl o swoich marynarzach Adi, o ich trudach i świadomości utraty życia podczas ostrzału bombami głębinowymi, co oni musieli czuć idąc żywcem na dno, służąc twoim ideom.
- Nie są to moje idee, a nasze wspólne i przestań czynić mi zarzuty że cokolwiek stanowi moją prywatną własność.
- Oboje dobrze wiemy że rzeczywistość znacząco różni się od tej, jaką chciałbyś widzieć i jaką od dwunastu lat kreujesz,

wizją której karmiłeś swoich poddanych.

- Nie wiem do czego zmierzasz Ewo.

- Dobrze wiesz Adi.

- Wyrzekłem się całej swojej osoby na rzecz Niemiec i wszystkich Niemców, po wszystkich latach trudów i wyrzeczeń pozostałem tak jak przed tobą stoję.

- Pomyślałam że teraz gdy już wyzwoliłeś się z wszelkich zobowiązań wobec Rzeszy, wyzwolisz się także ze swojej hipokryzji Adi.

- O jakim wyzwoleniu mówisz?

- Oficjalnie już przecież nie żyjesz, tym samym przestałeś pełnić funkcję kanclerza i naczelnego wodza III – ej Rzeszy.

- Kategorycznie zabraniam ci mówić w ten sposób. III – cia Rzesza trwa nadal, a jeśli nie przetrwa zastąpi ją IV – ta, jeszcze potężniejsza, a ja stanę na jej czele i nie mów do mnie Adi! Mówiąc to fuhrer przyspieszył kroku, lewa ręka bardziej jeszcze poczęła się trząść, prawą gestykulował i odsłaniał włosy opadające na czoło.

- Znów zaczyna cię rozpierać negatywna energia, twoje zachowanie niczym nie różni się od wszystkich poprzednich ataków furii.

- Nie doprowadzaj mnie do stanu, w jakim będziesz mogła się przekonać, co znaczy prawdziwy atak agresji, powiedział podniesionym głosem Adolf Hitler, chowając za siebie roztrzęsioną, lewą dłoń.

- Metaanfetamina, efedryna i inne zaaplikowane ci narkotyki przestały działać, jakimi od lat faszerował cię ten szarlatan doktor Morel, stąd twój niepočitalny stan. Wtedy, w otoczeniu twoich paladynów nie ośmieliłabym się o tym wspomnieć, zresztą nikt by się nie ośmielił, teraz gdy nie jesteś już fuhrerem mogę to powiedzieć otwarcie, twoje zachowanie nie różni się niczym od zachowań najzwyczajszego narkomana.

- Nie doprowadzaj mnie do szału, wyrzekł Adolf Hitler stojąc w miejscu, wymachując prawą dłonią, wykonując głową nieskoordynowane ruchy.

- Nie pozwolę ażebyś nadal wmawiał mi istnienie niestworzonych rzeczy. Może zaprzeczysz faktowi, regularnego od lat, narkotyzowania się? Okaże się teraz, gdy nie ma w pobliżu Morela, czy zwariujesz, czy też odzwyczaisz się i wyleczysz ze zgubnego nałogu.

- Ewo, przywołuję cię do poczytalności.

- Powinieneś raczej zastanowić się nad swoją poczytalnością, zanim obwołasz się dyktatorem IV - ej Rzeszy.

- Nigdy nie byłem dyktatorem, wysłuchiwałem głosu opozycji i przeciwników politycznych.

- Gdy głos ten różnił się od twojego, wypowiadający go lądowali w obozach resocjalizacji. Swoją drogą chciałabym zorientować się jakie naprawdę panowały tam warunki, wbrew wygłaszanym propagandowym sloganom, bo oczywiście od ciebie niczego nie mogłam się dowiedzieć i już zapewne się nie dowiem.

- Czym możesz mi grozić, wyrzucisz mnie za burtę, zastrzelisz mnie pożyczonym od kogoś z marynarzy pistoletem, udusisz mnie jedyną sprawną, prawą ręką na oczach załogi, ażeby w świat poszła wiadomość że Adolf Hitler jednak żyje, zamordowawszy podczas ucieczki swoją żonę.

- Ewo, oboje opanować musimy negatywne emocje.

- Mówisz tak bo wiesz że stałeś się bezsilny, nie możesz już oddawać się ulubionemu zajęciu, wywierania na otoczeniu śmiertelnej presji.

- Ewo, dopiero co zawarliśmy związek małżeński, jesteśmy mężem i żoną. Fuhrer stał nieruchomo przed Ewą Hitler i patrzył jej prosto w oczy.

Ewa Hitler spojrzała ze współczuciem na przygarbioną postać męża, na skrywaną za plecami trzęsącą się lewą dłoń, na czoło i oczy przysłonięte zmierzwioną czupryną. Najwyraźniej uległa jego hipnotycznym właściwościom. Mąż wydał się jej teraz dobrotliwym, starszym panem, doświadczonym przez trudy publicznego i wojskowego życia, uginającym się pod ciężarem podejmowanego ryzyka i ważkich decyzji, niedomagającym zdrowotnie, kaleką. Przywołała w pamięci zdarzenia, gdy rzeczywiście czuła się z nim szczęśliwa, jeszcze przed wojną lub na jej początku, gdy nic nie zwiastowało kaktizmu, jaki spadł na jej życie i życie wszystkich Niemców. Dostrzegła siebie na tarasie alpejskiej rezydencji fuhrera w Berchtesgaden, gdy ubrana w tradycyjny, bawarski strój, obchodziła wraz z najbliższymi współpracownikami kanclerza jego czterdzieste ósme urodziny. Wznoszonym na jego cześć toastom nie było końca, zza uchylonych okien salonu przenikały dźwięki którejś z oper Wagnera. Pomiędzy gośćmi biegał owczarek Blondi, łaszcząc się do każdego z nich, a ona tańczyła najpierw z Adolfem, później do tańca poprosił ją wysoki i zabójczo przystojny Reinhard Heydrich, tego wieczoru zatańczyła jeszcze z Martinem Bormannem i Heinrichem Himmlerem. Roznoszony na połączanych tacach szampan, z przepelnionych kieliszków, kaskadami srebrzystej piany, spływał na kamienny trotuar tarasu. Nie potrafiła odmówić kolejnych toastów, aż zieleniące się łąki pełne krokusów i szarotek, ośnieżone szczyty najwyższych alpejskich łańcuchów, zawirały wokół niej i osunęły się w otchłań. Kolejne wspomnienia przeniosły ją w scenerię którejś z letnich kąpielni w którymś z alpejskich jezior, gdzie w odosobnieniu, we dwoje pławili się krystalicznie czystej wodzie. Wygladzona tafla

jeziora ukazywała wizerunki górskich grani, w pobliżu szemrał niewielki wodospad, później opalali się leżąc na wielkich, płaskich głazach, odniosła wówczas wrażenie że mogłaby pozostać tam z nim na wieczność. Żałowała że nie wzięła z sobą kamery, by utrwalić na celuloidzie niepowtarzalny nastrój tamtego dnia i powracać do niego przy każdej sposobności. Jakże bardzo chciała teraz, by tamte dni powróciły i przyniosły z sobą dawne poczucie szczęścia, niezachwianej pewności, że postąpiła właściwie wiążąc swoje życie z tak niepowtarzalnym i ekscentrycznym człowiekiem, pełnym wewnętrznych sprzeczności, ubóstwianym i nienawidzonym za razem, o ogromnej władzy i głęboko skrywanych, panicznych lękach przed jej utratą. Człowiekiem o zimnym spojrzeniu i lodowatym sercu, potrafiącym wzniesić najgorętsze uczucia wśród tłumów i rozpalic płomień wiernopoddańczej euforii, sprawiającym wrażenie siły i pewności siebie i bojaźliwym zarazem, człowiekiem którego duszy jak dotąd nie przeniknęła i nigdy już nie zdoła chyba tego dokonać.

- Adolf wybaczone moje zachowanie, musiałam odreagować stres i nerwowe napięcie związane z ostatnimi wydarzeniami.

- Jestem w stanie to zrozumieć, niech będzie to nasza ostatnia małżeńska kłótnia.

- Niech taką pozostanie, lecz musisz zmienić swoje nawyki.

- Będę się starał.

- Nie potrzebują państwo przypadkiem pomocy? Zaniepokoili mnie hałasy dobywające się z państwa przedziału, pomyślałem że woda wdarła się na pokład, zatroskany kapitanleutnant von Bylov składał ofertę pomocy.

- Wszystko znajduje się w należytym porządku, jakby to powiedzieć, nastąpiła pomiędzy mną a małżonką głośniejsza wymiana zdań. Rozumie pan, von Bylov, stres związany z przelotem nad liniami wroga, zmęczenie, miesiące spędzone w berlińskim bunkrze, dały znać o sobie.

- Najmocniej przepraszam zatem za nieuzasadnione wtargnięcie. Chciałbym zauważyć że kolację serwujemy o dwudziestej, to już wkrótce. Nie posiadamy niestety stołówek, ani też kantyny z prawdziwego zdarzenia, posiłki będziemy spożywać w moim punkcie dowodzenia, to najbardziej komfortowe miejsce pośród mało komfortowych wnętrz łodzi podwodnej. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie w Tonder będziemy jutrzejszego poranka.

- Będziemy o wyznaczonej godzinie w punkcie dowodzenia kapitanleutnant von Bylov, pozostajemy bardzo wdzięczni.

Kapitanleutnant zaszłutował i zniknął w wąskim korytarzu. Adolf Hitler skierował wzrok na żonę.

- Pod żadnym pozorem nie możemy powracać przy kolacji do treści naszej małżeńskiej scysji. Bez względu na zdarzenia jakie zaszły w bunkrze, wciąż jestem dla wszystkich moich podwładnych fuhrerem. Muszę zachować pełnię autorytetu.

- Obiecaliśmy sobie nie powracać do tego tematu, więc o dotrzymanie danego słowa z mojej strony nie musisz się martwić. Pomyślmy lepiej w jaki sposób odświeżyć się po trudach dotychczasowej podróży, obawiam się że mój wygląd nie wiele ma już wspólnego z wizerunkiem dbającej o siebie kobiety, zaopiniowała Ewa Hitler.

- Nie mamy zbyt dużego wyboru, z wyższej konieczności nie mogliśmy przecież zabrać ubrań na zmianę, a tutejsze warunki sanitarne, w mojej ocenie przedstawiają się jeszcze mniej korzystnie od tych w bunkrze. Musimy potraktować te wyjątkowe okoliczności w sposób tymczasowy, nikt też na tę stronę naszego wizerunku nie będzie zwracał uwagi. Będą też musiały ci wystarczyć najbardziej podstawowe przybory do pielęgnacji kobiecej urody, nie jest to chyba wygórowana cena za ratowanie swojego życia?

- Nie posiadam przy sobie żadnych przyborów, pozostały w podręcznej torebce w bunkrze, ażeby bardziej uwiarygodnić moją śmierć.

- Wszystko to wcześniej uzgodniliśmy, powiedział fuhrer w pretensjonalnym tonie.

- Przecież na nic się nie skarżę. Poprawię nieco fryzurę i możemy iść na kolację, odpowiedziała obojętnie Ewa Hitler.

Minęli dziobowy przedział wodoszczelny i zbiornik pokładowy, przeszli przez wąski i niski właz, na moment przystanęli przy rezerwowej torpedzie, przechowywanej wprost na uczęszczanym korytarzu, zaintrygowani jej wielkością. Fuhrer przez moment zastanawiał się w jaki sposób marynarze transportują ją do luków torpedowych. Choćby nie wiem jak chciał, nie mógł wiedzieć wszystkiego na temat broni, używanych przez dowodzone przeze mnie siły zbrojne - utwierdzał się we wniosku jaki osiągnął już kilka lat temu, gdy następował bezprecedensowy skok technologiczny w niemieckim uzbrojeniu. Wprawdzie pamięta gdy szczegółowo zapoznawano go z licznymi udoskonaleniami łodzi podwodnych typu VII, ponadto z zupełnie przełomową konstrukcją, typem XXI lecz gdyby nawet cały swój czas poświęcił miałby na przesłuchanie wszystkich nowinek technicznych, chociażby w tej jednej dziedzinie, nie zdołałby wszystkich ich przyswoić przed zakończeniem wojny. Musiał też szczegółowo zapoznawać się z innymi rozwojowymi wariantami znanych typów uzbrojenia, jak czołgi Tygrys i Tygrys królewski, karabin maszynowy MG - 42, nazwany nawet później przez aliantów zachodnich „piłą tarczową Hitlera. Zaznajomić się z zupełnie nowymi typami broni, jak broń wobec której wszystkie inne bronie stosowane przez człowieka, okazałyby się bezużyteczne niczym pięściak w rękach pierwotnych myśliwych w starciu z ciosami mamuta. W szczególności z cudowną bronią wykorzystującą rozszczepialność atomu, w produkcji której także bardzo zawadzili, podlegli mu naukowcy. Z prototypami myśliwców odrzutowych Messerschmitt Me - 262 Schwalbe, Me 163 Komet, bombowcem suborbitalnym, rakietami V1 i V2, helikopterów, niewykrywalnego dla radarów bombowca w kształcie latającego skrzydła braci Horten. Z planami aparatów pionowego startu, wykorzystujących siły antygravitacyj-

ne, samopowtarzalnych karabinków szturmowych na amunicję pośrednią i wielu innych, których już nie zdoła sobie przypomnieć. Zapoznawał się z zasadami ich działania, starał się znaleźć sposoby na ich zastosowanie w konkretnych okolicznościach, aby podjąć właściwą decyzję włączającą je, bądź też nie, do produkcji. Nie zawsze też decyzje te podejmował właściwe, choćby odrzucił projekt doskonałego karabinka szturmowego, przełomowego rozwiązania w broni osobistej każdego żołnierza. Jak się później dowiedział produkcję rozpoczęto wbrew jego decyzji, pod nazwą która miała nie wzbudzać jego wątpliwości MP 43, dopiero później zmienioną, w miarę potwierdzania się przełomowości tej konstrukcji, na Sturmgewer 43. Nie przyznał wystarczających środków na budowę niewykrywalnego bombowca. Nikt tak naprawdę nie jest doskonały nawet ja, - snuł rozważania pokonując kolejne metry metalowego pokładu - szczególnie że zakres kompetencji i obowiązków w jakich nie byłby mnie w stanie nikt wyręczyć, był tak rozległy, że żaden z przywódców równorzędnych mocarstw, nie podołałby im chociażby przez miesiąc. Nawet takim militarnym geniuszom jak Fryderyk Wielki zdarzały się błędy, to jednak szczęście dopisywało mu znacznie częściej, skutecznie błędy te je niwelując. Obiektywnie patrząc, także ja nie byłem pozbawiony szczęścia w zupełności, jednakże on nie musiał pozorować swojego samobójstwa, ja byłem zmuszony – kontynuował wynurzenia. Wbrew temu i tak osiągnąłem niebywale dużo, cały świat musiał się zjednoczyć by mnie pokonać, zupełnie jakby planetę najechała jakaś nie znana nikomu, wroga, pozaziemska cywilizacja. Z zamyslenia wyträcił fuhrera widok siedzących przy małym, kwadratowym stole grupki oficerów, ich powitalne sieg hail i głos kapitanleutnanta.

- Proszę zająć miejsca, oto przygotowane dla państwa krzesła – oznajmił kapitanleutnant wskazując dłonią na dwa metalowe taborety – nasze menu nie jest wprawdzie ani rozległe ani też szczególnie smaczne, w zamian sycące i pożywne. Co jednak najistotniejsze regulowane niemieckimi normami żywieniowymi dla marynarzy, tak więc nikt nie pozostanie głodny. Proszę się częstować.

W metalowych miskach przygotowany styl wieprzowo – wołowy gulasz fasolowy z wędzonym boczkiem. Małżeństwo Hitlerów w kilku nieporadnych gestach ujęło w dłonie zestaw marynarskich sztuców. Wkrótce też z dostrzegalną nieufnością przystąpiło do spożywania kolacji, najpierw długo smakując małe kęsy, później z wolna je przeżuując, by pod koniec posiłku odważniej już przystąpić do opróżniania talerzy.

- W naszej marynarskim menu posiadamy ponadto suszone kielbasy, cebulę, ziemniaki, wieprzowo – wołowe konserwy.

- Niestety na co dzień nie jadam mięsa, w przypadku gulaszu zrobiłem wyjątek ze względu na niecodzienną sytuację, oznajmił nieśmiało fuhrer.

- Posiadamy także owoce w tym cytryny, bilansujące niedobór witamin w innych produktach. Niestety na skutek zakończonego właśnie rejsu zapasy się wyczerpały. Między innymi, w celu ich uzupełnienia zawiniemy jutro do Tonder. Specjalnie dla fuhrera zaaprowidujemy się w większy zapas warzyw, a wówczas z pełną już spiżarnią nastroje się poprawią, wiem to z długoletniego doświadczenia. Do kolacji też jak i do śniadania pijemy angielską, zdobyczną herbatę. Proszę sobie nalewać, oznajmił admirał wskazując na pękaty, aluminiowy dzbanek.

- Doskonała, powiedział Adolf Hitler zaczerpnąwszy obfity łyk. Jedyne co udało się tym bladym wyspiarzom pożytecznego ofiarować światu, to herbata. Ich whisky dla przykładu, gdybym nawet spożywał alkohol, nigdy nie odważyłbym się spróbować.

- Wszyscy wiemy że fuhrer nie spożywa alkoholu nawet w najmniejszych ilościach, dopowiedział kapitanleutnant pomiędzy przełykaniem dwu kolejnych haustów .

- Z zupełnie innych powodów, za wyjątkiem herbaty czuję wstręt do wszystkiego co angielskie. Gdybym tylko zdołał wyprodukować więcej rakiet V2 zrównałbym ten ich Londyn raz na zawsze z powierzchnią ziemi. Pomimo pokładanych nadziei na współpracę srodze mnie zawiedli, razem z pewnością zdołalibyśmy podbić świat. Na skutek ich krnąbrności tak oni jak i my zostaliśmy z niczym, bo utrata ich imperium to sprawa najbliższych lat, ale nasza sytuacja w nieodległej przyszłości ulegnie zmianie. IV - ta Rzesza osiągnie wszystkie cele trzeciej, weźmiemy odwet na naszych wrogach – ton wypowiedzi fuhrera przybierał na sile – z nawiązką odzyskamy utracone terytoria i z pewnością powiększymy je o byłe brytyjskie kolonie. Nasze U – booty stacjonować będą w bazach wojennych Malty, Sydney, Melbourne, Aleksandrii, Kapsztadu, Singapuru, Hong – Kongu – fuhrer w trakcie porywających go emocji powstał z żelaznego taboretu i począł gestykulować prawą dłonią – najnowsze typy XXI patrolować będą akweny Oceanu Indyjskiego, Pacyfiku, wraz z cesarską marynarką wojenną raz jeszcze obróć w stertę żelastwa Pearl Harbor i triumfalnie wpłyną do bazy flotylli U – bootów w Tokyo, Yokohamie, - Marynarze w osłupieni, z wyraźnym współczuciem śledzili każdy jego gest - Storpedują doki kalifornijskich portów, eskortowane przez nie lotniskowce oflankują całe zachodnie i wschodnie wybrzeże i weźmiemy w stalowe kleszcze całe Stany Zjednoczone. Tysiące bombowców w skoordynowanych atakach obróć w perzynę Los Angeles, Seattle, Nowy York, Washington, kolejno wszystkie środkowe Stany, będziemy postępować metodycznie i systematycznie, dokonamy wszystkiego tego, czego oni dokonali z naszymi pięknymi, niemieckimi miastami. Tam gdzie nie zdołają dolecieć nasze bombowce, dzieła zniszczenia dokończy suborbitalny bombowiec, prace na którym przywrócimy, gdy tylko zdołamy odbudować nasze laboratoria.

Fuhrer na skutek odczuwanej zadyszki zwolnił tempo wypowiedzanych słów, a jego twarz zdradzała malejące napięcie emocjonalne. Marynarze spojrzeli po sobie z wymownym grymasem twarzy, wyrażającym wszystko to, czego obawiali się powiedzieć. Ewa Hitler utkwiała nieruchomy wzrok w metalowym talerzu.

- Najpierw musimy mein fuhrer dopłynąć do Tonder, później do Ruez, a na myśl o dalszej podróży doznaję objawów choroby morskiej, choć od dawna na nią nie chorowałem.

- Choroby morskiej mogę nabawić się ja, który nigdy nie znalazłem się na pełnym morzu. Nie takich czynów pan dokonywał na chwałę Niemiec i ich fuhrera, pamiętam pańską nominację na odznaczenie Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego, to zobowiązuje kapitanleutnant von Bylov, oznajmił Adolf Hitler w sposób nieznoszący sprzeciwu.

- Wykorzystam całe swoje doświadczenie ażeby nie zawieść fuhrera. - Z dostrzegalnym przestachem, łamiącym się głosem zapewnił von Bylov. - Odkąd tylko ojczyzna udzieliła mi tej szansy, starałem się wiernie wykonywać przekazane mi rozkazy, nigdy nie opuściłem zajmowanego posterunku w centrum dowodzenia. Dowodzone przeze mnie okręty wychodziły z największych opresji, gdzie wielu dowódców poddałoby swoje jednostki. Brałem udział w największych obławach na angielskie i amerykańskie konwoje, zatopiłem dziewiętnaście jednostek pływających wroga, nie ponosząc żadnej straty, w jaki inny jeszcze sposób mógłbym przysłużyć się naszej ojczyźnie?

- Już dobrze kapitanleutnant von Bylov, doskonale zdaję sobie sprawę z pańskiej odwagi i kompetencji, w przeciwnym razie nie wyznaczyłbym pana na dowodzącego tak niecodzienną misją. Być może zbyt daleko dałem się ponieść niekontrolowanym emocjom. Ale proszę, niech pan opowiada o swoich osiągnięciach. Pozostali oficerowie dopijali resztki herbaty.

- Nasze największe triumfy rozpoczęły się wraz z zajęciem francuskich portów, dogodnie położonych nad Zatoką Biskajską po kapitulacji w czerwcu '40 – go roku. Uzyskaliśmy dostęp do Brestu, Bordeaux, St. Nazaire, mogliśmy wówczas szybciej niżeli z niemieckich portów wypływać na Atlantyk, a także dłużej przebywać w swoich rejonach operacyjnych. Dane o zatopieniach, napływające od dowódców wypełniały statystyki niewiarygodnymi liczbami, o ile mnie pamięć nie zawodzi od maja do października zatopiliśmy 287 statków, z czego w pamiętnym październiku '40 – go roku 63 wrogie jednostki. Muszę nadmienić że dowodzona przeze mnie łódź posłała na dno w tym miesiącu pięć jednostek, dwa frachtowce, jeden tankowiec i jeden krążownik eskorty. Domyśla się fuhrer co znaczy wytropić, rozpoznać, ocenić zagrożenie, namierzyć cel z uwzględnieniem wszystkich parametrów, oddalić się na bezpieczną odległość, celnie odpalić torpedy i zniknąć jak rekin w morskich głębinach, zanim zostanie się namierzonym przez system radiolokacyjny wroga.

- Jestem pełen uznania, oznajmił Adolf Hitler siedząc spokojnie na żelaznym taborecie.

- Nigdy nie zapomnę tego uczucia – kontynuował podekscytowany von Bylov, gdy patrząc w wizjer peryskopu dostrzega się ten niezapomniany do końca życia moment, unoszenia się w górę dziobu wrogiego statku, znikania pod wodą jego rufy wraz z dziesiątkami ton ładunku, mającego przyczynić się do osłabienia naszej germańskiej ojczyzny, krainy ojców wykuwających mieczem jego rozległe granice. Ten krótkotrwały obraz, nie można wynurzać peryskopu zbyt długo w obawie o namierzenie, wynagradza wszystkie trudy dwumiesięcznego rejsu, motywuje do dalszych wyrzeczeń.

- A załoga, niewinni często cywilni marynarze, umierający w nieludzkich męczarniach, dławiący się wodą w morskich odmętach, wtrąciła się Ewa Hitler po dłuższym milczeniu.

- Ten problem, pani Hitler pozostawiamy do osądu etykom III - ej Rzeszy, naszym obowiązkiem jest ściśle wypełnienie przydzielonych rozkazów, gdybyśmy mieli w sumieniach ważyć zasadność naszych czynów, trzeciej Rzeszy nie byłoby stać na przydzielenie nam wystarczającej ilości psychologów i psychoanalityków. Zadawanie zbiorowej śmierci traktujemy jako żołnierską powinność eliminowania wroga, pani Hitler, jak nauczył nas nazistowski kodeks postępowania, z zimną krwią i gorącym sercem, wzniesionym ku naszym przywódcom.

- Co działo się z tymi którzy od razu nie poszli na dno, jak długo dryfowali? Nieustępliwie dopytywała się Ewa Hitler.

- Było to uzależnione od pory roku, zimą na ogół kilkanaście minut, dokąd nie doznali hipotermii, w lecie dokąd nie zaatakowały ich stada rekinów, chyba że w porę przejął ich przepływający statek. Na łódź podwodną nie sposób zabrać jeńców.

- Kapitanleutnant von Bylov zasługuje pan na uznanie naczelnego sztabu, po powodzeniu całej akcji zostanie pan odznaczony Krzyżem żelaznym Krzyża Żelaznego z Liśćmi Dębu, raz jeszcze proszę wybaczyć moje aroganckie zachowanie sprzed kilkunastu minut.

- Podczas długoletniej służby zdążyłem przywyknąć do najrozmaitszych zachowań swoich przełożonych, nigdy jednak nie sabotowałem ich rozkazów, wydawanych nawet w najbardziej skrajnych stanach emocjonalnych. Zawsze potrafiłem zdać sobie sprawę z odpowiedzialności jaka ciąży na ich barkach, zdolna najbardziej nawet zrównoważone charaktery doprowadzić do pasji, co dopiero mówić o fuhrerze, obarczonym odpowiedzialnością za cały naród, zmuszonym podejmować decyzje o znaczeniu i zasięgu światowym. Jak atlant podtrzymującym na plecach wspólny gmach bytu wszystkich nordyckich narodów. Ja wychowany w duchu nauk fuhrera, podczas długotrwałych rejsów czytający wielokrotnie „Mein Kampf”, od deski do deski, miałbym czuć się urażony nieznacznym podniesieniem głosu przez wybrańca starogermańskich Bogów? Proponuję by wszyscy oficerowie powstałi i uczcili obecność na naszym pokładzie tak dostojnego gościa wraz z małżonką.

Na moją komendę potrójne sieg halt. Oficerowie powstali i zakrzyknęli z nazistowskim zadęciem trzy razy sieg hail, po czym powrócili na zajmowane miejsca.

- Wraz z małżonką czujemy się zaszczytzeni tak serdeczną gością. Nieopacznie przerwałem panu kapitanleutnant, opowieść o morskich wyczynach.

- Tak więc rok 1940 – ty był złotym okresem w historii naszych operacji morskich, zatapiailiśmy nie będąc zatapianymi, rozgramialiśmy kilkudziesięciu jednostkowe konwoje. Wprowadziliśmy do użytku i doprowadziliśmy do perfekcji, opracowaną i przeciwzoną jeszcze przed wybuchem wojny taktykę zespołowego, nocnego ataku nawodnego. Nocne niebo nad oceanem rozbłyskiwało eksplozjami tankowców. Wokół rozlegał się metaliczny pogłos rozdzieranych poszyc kadłubów, wybuchami amunicji transportowanej w ładowniach. Oceaniczne fale niosły go daleko poza obszar działań, a tonące statki zabierały go ze sobą na dno oceanu. Gdybyście mogli państwo usłyszeć ten pomruk i zgrzyt napierających na siebie przełamanych grodzi, zobaczyć moment przepoławiania się kadłuba na pół i równomierne pograżanie się w toni obu połówek. Bardziej jeszcze ekscytującym widokiem jest zachowanie się statku trafionego w tylną część kadłuba, nabierając wody w tylne grodzie, powoli unosi się ponad powierzchnię wody, ustawia się pionowo, po czym szybko zanurza się, by po chwili zniknąć zupełnie, jak gdyby był wędkarskim splawikiem oznajmającym powolne branie. Nieprzerwane pasmo triumfów naszych „szarych wilków” trwało do wiosny '41- go, a skończyło się wraz z zatopieniem trójki naszych największych asów. Wkrótce już mieliśmy wziąć odwet za te straty, udanie rozpoczętą operacją Paukenschlag, rozpoczęliśmy operację na wodach przybrzeżnych obu Ameryk. W tamtym czasie w pierwszej połowie '42 – go był tam istny raj na ziemi, ziścić się mógł przysłowiowy amerykański sen. Niepatrolowane akweny wprost zachęcały do brawurowych wyczynów, niczego nie spodziewający się Amerykanie na swoich wodach terytorialnych splawiali konwoje bez eskorty, wypatrzona ofiara pozostawała bez szans. Pamiętam jak na tle widzianych w oddali świateł nowojorskich wysokościorców, w gwiazdzistą noc, we współpracy z trzema innymi okrętami posłaliśmy na dno połowę konwoju kilkunastu statków, kadłuze ropy naftowej dopalały się jeszcze rano, a luna nad Atlantykiem zapewne nie dawała zasnąć wielu nowojorczykom. Operacyjne eldorado na zachodniej półkuli już wkrótce miało zamknąć przed nami swoje wrota, Jankesi wkrótce też się opamiętali, zadbali o coraz liczniejszą eskortę, nie mogliśmy już czuć się zupełnie bezkarni. My też nie pozostawialiśmy dłużni, z wielu opresji ratował nas unowocześniony model maszyny szyfrującej, zanim po kilku miesiącach Amerykanie zdolali na powrót odczytywać naszą korespondencję radiową, zdolaliśmy zastraszyć wszystkie amerykańskie łajby zaraz po tym jak tylko wytknęły dziób z portu. Ścigaliśmy je w Zatoce Meksykańskiej, wokół Wysp Bahama. Jak korsarze i piraci łupiliśmy wszystko co nadpłynęło nam pod wyrzutnie torped na Karaibach.

Pamiętam jedną z akcji gdzieś pomiędzy Kubą a Jamajką, jak wyszedł wprost na nas, na odległość strzału amerykański frachtowiec w towarzystwie dwóch tankowców. Tam jeszcze się nas nie spodziewano, toteż statki leniwie posuwały się, pozbawione wszelkiej eskorty. Wystawiłem peryskop, tropikalne, zachodzące słońce odbijało się od roziskrzonych fal czerwoną poświatą, skutecznie mnie oślepiając, zmrużyłem powieki. Statki zbliżały się jak zwierzyna łowna wystawiona przez nagonkę wprost pod lufę myśliwego. Jeden z nich nakrył tarczę chylącego się za horyzont słońca, miałem wrażenie jak gdybym trzymał jego miniaturowy model na wyciągniętej przed siebie dłoni. Wydałem rozkaz do odpalenia torpedy, rozbłysnął płomieniami czerwieniami niż zachodzące słońce, a wkrótce wraz z nim skrył się w falach gdzieś na skraju nieba i morza.

Zanim Jankesi na dobre się opamiętali, posłaliśmy na amerykańskich wodach na dno ponad 460 jednostek żeglugi sprzymierzonych, ja sam namierzyłem i zatopiłem tam sześć wrogich statków, podczas tylko jednej akcji. Niezauważony podpłynąłem - kapitanleutnant wykonał płynny ruch prawą dłonią sugerujący przemieszczanie się statku pod powierzchnią wody – na bliską odległość, niespodziewanie wyszedłem na powierzchnię, płynąc w wynurzeniu brawurowo wdarłem się w sam środek konwoju i odpaliłem siedem ostatnich torped, dwie chybiły, pięć ugodziło pięć różnych statków w tym trzy zbiornikowce, zapłonęły jak szyby naftowe. Nie zdążyli nawet opuścić szalup. Wtedy po raz pierwszy współczułem załódze, wtedy też po raz pierwszy dostrzegłem w niej nie wroga, lecz takich samych marynarzy jak my, po chwili refleksji przyszło opamiętanie i z satysfakcją stwierdziłem że pozostałem wierny mottu naszej formacji „jedna torpeda jeden statek”. W tym czasie inni podwodniacy dopływali do brzegów Gujany, jeden z naszych statków wpłynął nawet do delty Orinoko, inny do ujścia Missisipi.

- Doniesiono mi o tym wyczynie, o ile pamiętam U – 166.

- Posiada fuhrer doskonałą pamięć.

- Gdyby nie ona nie osiągnął bym tak wiele w swoich podbojach.

- Wkrótce też mieliśmy zakończyć swój amerykański sen, nowe rodzaje broni do walki z nami, wyrzutnie min, nazywane przez nich jeżami, wodnosamoloty Catalina, system radiolokacyjny Asdak, wzmocnione konwoje posyłały na dno coraz liczniej naszych chłopców, aż nadszedł rozkaz grossadmirala Doenitza o zakończeniu operacji na amerykańskich wodach i przesunięto mnie na północnoatlantycki szlak konwojowy. Jeszcze w marcu '43 - go zatopiliśmy na Atlantyku mniej więcej 50 wrogich łajb, lecz był to niestety zwrotny punkt w naszych zmaganiach z flotą sprzymierzonych. Do walki z na-

mi wprowadzono lotniskowce, samoloty patrolowały każdy fragment oceanu, ich stacje echolokacyjne mogły namierzyć każdą większą rybę, coś dopiero mówiąc o U – bootach. Niczego nie zmieniły także, mein fuhrer, wynalazki typu okręty wyposażone w chrapy, wabiki, zagłuszacze, wszystkie nadzieje pokładane w typie XXI. Od tego czasu nie zatopiłem już żadnego statku ani okrętu.

- Nie ma się czemu dziwić, cała nasza flota przez resztę wojny zatopiła z górą kilkanaście wrogich jednostek, zauważył jeden z oficerów.

- Typ XXI jeszcze zdąży udowodnić wszystkim naszym wrogom swoje możliwości, stwierdził w jednoznaczny sposób fuhrer.

- Nasza rola z wolna zaczęła się sprowadzać do sił wiążących alianckie lotnictwo, niż wykonywania zadań operacyjnych, oznajmił von Bylov.

- Pamiętam rozkaz Doenitza z lutego tego roku o wysłaniu na zachodni Atlantyk dziewięciu U - bootów, miały storpedować doki amerykańskich portów, będąc już w berlińskim bunkrze nie zdążyłem nawet zapoznać się z raportem o ich sukcesach.

- To była mein fuhrer samobójcza misja. Niedoświadczeni kilkunastoletni marynarze już wychodząc z norweskich portów byli monitorowani przez przygotowaną przeciw nim armadę. Zanim zdążyły wypłynąć do zatoki nowojorskiej, kilka z nich posłano na dno. Dwa poddały się chcąc uniknąć niechybnej śmierci. Oprócz tego że marynarze odznaczyli się bezprzykładowym bohaterstwem, operacja Wilk Morski nie osiągnęła żadnego z zamierzonych celów.

- Wcale się nie dziwię, tacy są najwierniejsi i najodważniejsi, ci przynajmniej nigdy mnie nie zawiedli, wtrącił się Adolf Hitler.

- Niczego to jednak nie mogło już zmienić, przed kilkoma dniami otrzymałem wiadomość o zatopieniu sześciu z nich przez US Navy, a los pozostałych trzech nikomu nie jest znany.

- Gdybym tylko mógł wyszkolić wystarczająco wielu chłopców z Hitlerjugend na podwodnych marynarzy, z pewnością losy wojny o Atlantyk odwróciłyby się. Gdyby nawet zabrakło torped zastąpili by je swoimi pancernaustami. Znając ich odwagę, w pełnym wynurzeniu, podpływaliby na niewielką odległość, wychodzili na mostek kapitański i obracali wrogie statki w stertę złomu jak rosyjskie czołgi na ulicach Berlina.

Kapitanleutnant von Bylov wraz z pozostałymi oficerami spojrzeli wymownie po sobie, wkrótce też Ewa Hitler dołączyła do ich grona.

- Tośmy się zagadali, stwierdził śmiało kapitanleutnant von Bylov, chcąc jak najszybciej przerwać krępujące milczenie i niezręczną sytuację. W tak nobilitującym towarzystwie moglibyśmy przesiedzieć całą noc, wszakże nie jesteśmy w stanie określić kiedy zapada. Czuję się w obowiązku pokazać naszym gościom łazienkę z prysznicami, muszę przy tym zaznaczyć że niewiele one mają wspólnego z tradycyjnym o nich wyobrażeniem. Szczególnie uwrażliwić muszę panią Hitler, ich funkcjonalność sprowadza się do morskiej wody spływającej do metalowego kubła, szczęśliwie ciepłej. Z kranów również leci morska woda, ale to już zasługa naszych konstruktorów, za nic mających komfort załogi, w zamian kładąc nacisk na uzbrojenie, zasięg, szybkość zanurzenia, głębokość na jaką można zejść okręt. Do mycia zębów oczywiście dysponujemy zapasem słodkiej wody. Co znamienne na okręcie obowiązuje zakaz golenia się, jednakże w gestii fuhrera leży, czy się do niego zastosować czy też nie.

- Zastosuję się, oczywiście że zastosuje się jak każdy członek załogi, oświadczył Adolf Hitler z dojmującą szczerością, powstając z taboretu. Jeszcze kilka opowieści kapitanleutnanta von Bylova a zastałby nas tutaj poranek, apropos mógłby pan pokazać nam wspomniane prysznice i toalety?

- Naturalnie mein fuhrer, proszę za mną. Przeszli do pomieszczeń mieszkalnych minęli panele kontrolne instalacji elektrycznej, włącz kiosku, skręcili w stronę magazynów amunicji. Kapitanleutnant von Bylov uchylił metalowe drzwi, ciasne pomieszczenie skrywało metalowy, klozet w kształcie głębokiej misy, otoczony kilkoma długimi dźwigniami, licznymi zaworami, do prawej ściany przytwierdzony był prostokątny zlew, naprzeciw niego wisiała instrukcja jak korzystać z nietypowo wyglądającego urządzenia.

- Proszę się nie dziwić gdy mydło nie będzie się pienić w wystarczających ilościach, zwykle mydło w słonej wodzie nie pieniałoby się zupełnie, to opracowane zostało specjalnie na potrzeby łodzi podwodnych i spełnia swoje podstawowe funkcje. Proszę również przeczytać uważnie instrukcję obsługi klozetu, pomyłka w kolejności zwalniania dźwigni grozić może przedostaniem się na okręt morskiej wody, na głębokości poniżej dwudziestu pięciu metrów nie można z niego korzystać w ogóle.

- Najmocniej dziękujemy za cenne wskazówki, oznajmił Adolf Hitler, spoglądając na zamykające drzwi do toalety kapitanleutnanta. Konstrukcji kolejnych wersji rozwojowych U – bootów będę dozorował osobiście i mogę pana zapewnić że znajdzie się w nich miejsce na urządzenia sanitarne w niczym nie różniące się od tych spotykanych na lądzie. Osobiście dopilnuję by przysługiwało panu prawo skorzystania z nowych wygód, jako pierwszemu oficerowi Kriegsmarine.

- Doceniam dobre intencje, mein fuhrer, gdyby natomiast zechcieli państwo wziąć prysznic, należało będzie również wziąć poprawkę na podwodne uwarunkowania. Ciepła lecz słona woda spływa z samodzielnie napełnianego wiadra.

- Obiecuję solennie nie pozostawić problemu w tej postaci, sam zasiądę do deski kreślarskiej i wprowadzę niezbędne innowacje, to skandal by tak zasłużeni dla ojczyzny ludzie pełnili służbę w warunkach urągających człowieczeństwu, oznajmił w porywczym tonie, Adolf Hitler.

- Tak pokrótce przedstawiają się zasady zakwaterowania na niemieckiej łodzi podwodnej, nie poinformowałem państwa o wszystkim dla oszczędzenia przykrych, estetycznych doznań, ale też zważywszy na czas i długość naszego rejsu nie, będzie to konieczne. Mogę już chyba życzyć państwu spokojnej nocy?

- Ależ oczywiście, pora jak najbardziej skłania ku temu.

- Gdyby obudziły państwa dochodzące z zewnątrz hałasy, oznaczać to będzie uzupełnianie paliwa i zapasów żywności w duńskim Tonder. Żegnam państwa. Muszę jeszcze nadać komunikat do najbliższej stacji radiolokacyjnej o naszym aktualnym położeniu.

- Pod żadnym pozorem proszę nie wspominać o naszej obecności na pokładzie, zaznaczył fuhrer.

- Nic podobnego nie przysłoby mi do głowy.

- Nie pamiętam czy zdążyłem pana poinformować, najpewniej umknęło mi w ogólnym zamieszaniu, oficjalnym powodem rejsu do Ruez, dowodzonego przez pana okrętu, jest wizytacja hiszpańskiej bazy wojennej Francesco Franko, i ewentualnego wpłynięcia do tamtejszego portu, na wypadek kapitulacji naszych wojsk.

- Tak jest, mein fuhrer. Teraz już podyktować muszę tekst depeszy, zbliża się stała godzina przekazywania meldunków. Kapitanleutnant skierował kroki do centrali radiowej i hydrolokacyjnej, fuhrer wraz z żoną podążyli w ślad za nim. Siedzący za pulpitem radiooperator nadawał właśnie komunikat.

- Tak jest panie kapitanleutnant.

- Stabsoberbootsmann nadacie informacje że zgodnie z rozkazem naczelnego dowództwa po wyjściu z Tonder obieramy kurs na południe, najbliższe miejsce postoju Ruez – Hiszpania. Nie mamy zniszczeń, uzupełniliśmy paliwo i zapasy żywności.

- Tak jest panie kapitanleutnant, zasalutował stabsoberbootsmann.

- Może fuhrer spać spokojnie, głową ręczę że nikt w Kriegsmarine nie dowie się o państwa pobycie na pokładzie dowodzonej przeze mnie jednostki.

- Jestem zaszczycony że mogłem trafić na pokład tak znamienitego oficera, całym sercem oddanego naszym ideałom.

- To mnie nie mógł spotkać większy zaszczyt, niż goszczenie na pokładzie tak dostojnych gości.

- Kapitanleutnant zasalutował, stuknął obcasami i wyprostował, na ile było to możliwe, prawe ramie w nazistowskim pozdrowieniu. Fuhrer odpowiedział tym samym gestem, po chwili von Bylov oddalił się i zniknął z pola widzenia małżeństwa Hitlerów, gdzieś w załomach korytarza. Ci kierując się zapamiętanym rozkładem okrętowych pomieszczeń, oddalili się do przydzielonych im miejsc noclegowych. Zrażeni do nigdy nie doświadczonych, sanitarnych warunków, znużeni nadmiarem emocji i trudami podróży, niepokojem towarzyszącym przebywaniu pod powierzchnią wody, pogrążyli się w głębokim śnie. Ze snu wytrącił ich warkot pompy tłoczącej paliwo do zbiorników okrętu, a także niosący się podłogami tupot nóg marynarzy, przemierzających schody z góry na dół i z dołu na górę, tam i z powrotem korytarze okrętu, wnoszących kolejne zasobniki z zaoprowidowaniem. Adolf Hitler odwrócił się na drugi z boków na twardym sieniaku, spoczywającym na jeszcze twardszym łóżku. Zapadł w kolejną, tym razem najgłębszą fazę snu.

- Obiad podajemy w kambuzie o trzynastej, kolacja serwowana będzie jak zwykle o dwudziestej, proszę pamiętać o umiejętnym korzystaniu z toalety i uważać na głowę podczas przechodzenia przez niskie drzwi, śniadanie przewidziane jest na ósmą godzinę – przebudzonego fuhrera dobiegły kolejne dyspozycje.

Adolfowi Hitlerowi wydawało się że komunikaty von Bylova następują coraz szybciej po sobie, doskonale poznał ich kolejność i barwę głosu jakimi zostały wypowiedziane. Postępujące po sobie cykle codziennych czynności, dokonywane z rytualną powtarzalnością, w świadomości fuhrera nałożyły się na siebie, zasuplując się w marynarski węzeł, trudny do rozdzielenia na poszczególne włókna splotów. Monotonia okrętowego życia, widywanie tych samych osób na tak małej powierzchni, życiowa przestrzeń zawężona do kilkudziesięciu metrów kwadratowych, przebywanie w której narażało na pojawienie się pierwszych objawów schizofrenii. Światło sączące się przez całą dobę ze zmiennego źródła pochodzenia, nieustannie przechodzący obok łóżek marynarze, zmieniający się na wachtach i dyżurach spowodowały że spoglądanie na zegarek określało konkretną godzinę, lecz nie było jednoznaczne z określeniem jej przynależności do którejś z pór dnia lub nocy. Ustalona chronologia następujących po sobie dziennych czynności, kształtujących zborną, całościową wizję codzienności, z jaką psychika każdego człowieka zaznajamia się z biegiem lat, poszerza o niej wyobrażenie w miarę narastania życiowych doświadczeń, na okręcie podwodnym traciła swoje zastosowanie. Kształtujący się w ten nowy, nigdy poprzednio nie doświadczony sposób, tryb życiowych funkcji, wystawiał na poważną próbę zawarte przed kilkoma dniami, małżeństwo Hitlerów. Trwało ono wbrew niesprzyjającym tej instytucji kolejom losu, na przekór trudom życia w bunkrze pod

kancelarią Rzeszy, wbrew następującym tuż po nich, trudniejszym jeszcze wyzwaniom wiążącym się z rejsem łodzią podwodną. Czas i okoliczności w jakich zostało zawarte, wzajemny, bez emocjonalny stosunek obojga małżonków, wydawać by się mogło że świadczą dobitnie o wpisaniu go w rejestr zabiegów czysto formalnych, potwierdzających lata spędzone wprawdzie wspólnie, w pobliżu siebie, w tych samych miejscach, lecz tak naprawdę w oddaleniu gwarantującym niezależność i autonomię. Niemożność spędzenia nocy poślubnej, ze względu na bytowe uwarunkowania berlińskiego bunkra, osobne łóżka w łodzi podwodnej, miały działać na małżeństwo to osłabiająco, najwyraźniej wzmacniało jego podstawy.

Początkowo organizm Adolf Hitler starał się podążać rytmem ustalonym ostatnimi latami prowadzonej wojny. Fuhrer nie mógł zasnąć do późnych godzin nocnych, zasypiał w okolicach trzeciej, czwartej nad ranem, w miarę upływu czasu system ten uległ zachwianiu, ustępujące napięcie nerwowe i zrzućcie z siebie odpowiedzialności za dowodzenie kilkoma armiami i stu kilkudziesięcioma dywizjami, kilkoma rodzajami wojsk, powodowało dostrzegalne, nerwowe odprężenie. Małżeństwo Hitlerów budziło się zgodnie z nakazami biorytmów każdego z małżonków i rozregulowanym trybem życia, o dowolnej porze dnia i nocy. W przypadku gdy zdarzyło się zbudzić im w zbliżonym do siebie czasie, witali się tradycyjnymi, nazistowskimi pozdrowieniami, razem spożywali odgrzewane posiłki, nie odnosząc ich treści do konkretnej części doby. W niczym nie urozmaicony sposób pokonywali te same odległości pomiędzy przedziałami okrętu, napotykać tych samych ludzi, wymieniając te same gesty, słowa, uśmiechy. Znacznie częściej bywało że budzili się i udawali na spoczynek o nieprzystających do siebie godzinach, wówczas spożywali posiłki samotnie lub w towarzystwie któregoś z marynarzy. Z przyczyn czysto kurtuazyjnych, kompani dotrzymywał im kapitanleutnant von Bylov. Często zdarzało się że ich pogrążone jeszcze w onirycznym rozmarzeniu umysły, przy którymś z posiłków von Bylov sprowadzał do ziemskiego wymiaru, wspomnieniami swojej wojennej przeszłości. On też miał oznajmić małżeństwu Hitlerów, jedną z bardziej przełomowych w dziejach świata wiadomość.

- Mein fuhrer, dzisiejszego wieczora zanim przystąpimy do kolacji pragnę pana powiadomić że dowództwo Wehrmachtu w składzie Wilhelm Keitel – reprezentant sił lądowych, Friedeburg – reprezentujący marynarkę wojenną i Stumpr - lotnictwo, podpisało po raz drugi, tym razem w Berlinie bezwarunkową kapitulację przed Rosjanami. Chciałem powiadomić o tym fakcie fuhrera z samego rana, gdy tylko dotarła do nas depesza, nie chciałem jednak przerywać snu, postanowiłem poczekać gdy fuhrer się zbudzi.

- Przekłęci tchórze, wystarczyło pozostawić ich na kilka dni, a pokazali swoje prawdziwe, od dawna skrywane oblicze. Gdyby nie moje dowództwo, pozostawieni sami sobie poddali by się Rosjanom tuż po klęsce pod Kurskiem, a zachodnim aliantom zaraz po zdobyciu przyczółków w Normandii, być może nawet we Włoszech. Pruscy generałowie, spadkobiercy najchlubniejszych tradycji pruskiego militarystyki, poddali się jak Włosi w Afryce północnej, nie sprostali wytyczonej im przez historię powinności. Można by ich wszystkich postawić w jednym rzędzie pod względem waleczności z Włochami, Francuzami z kampanii 40 – go roku i najodważniejszymi z odważnych, Czechami. Przecież wydałem rozkaz walki do ostatniego żołnierza i ostatniego pocisku. Należałoby ich wszystkich postawić pod ścianą lub powywieszać na fortepianowej strunie. Ja posłaniec starogermańskich duchów, przybyły na skrzydłach opatrności, zdawałem się na ich opinie przez długie pięć i pół roku. - Głos Adolfa Hitlera przybierał zawodzący ton, jego lewa ręka zaczęła się trząść coraz bardziej, na czoło wystąpiły duże krople potu, obserwujący go marynarze zwiesili wzrok. - Komu się poddali ci zdrajcy kapitanleutnant von Bylov?

- O ile mi wiadomo Rosjanom, mein fuhrer, odrzekł kryjąc skonsternowanie kapitanleutnant. - Mogłem się tego po nich spodziewać. Przykro mi bardzo ale dzisiaj nie będę spożywał kolacji, proszę odgrzać ją na jutrzejsze śniadanie, dla mnie to już bez różnicy, zdążyłem już zatracić zdolność odróżniania poranków od wieczorów.

- Tak jest mein fuhrer, zaszutował von Bylov. Proszę się faktem tym nie zrażać, na łodzi podwodnej to norma.

Adolf Hitler odwrócił się, ukazując trzęsącą się nadal lewą dłoń, bezwładnie opadająca w okolice pasa. Z wolna oddalał się w kierunku żelaznego łóżka, podczas gdy marynarze w milczeniu, odprowadzali go wzrokiem. Zасыpaniu towarzyszyły uporczywe myśli, długo niezeszłujące na pogrążenie się w zbawiennym śnie. Oto po raz drugi w przeciągu dwudziestu siedmiu lat, niemiecka armia zmuszona jest kapitulować. Zastanawiał się z jakich przyczyn ów militarny duch pruskiego oręża, emanacja sił wyzwolona przez obu Fryderyków, zdolne pospołu przezwyciężyć wszelkie przeciwności i ograniczenia, skutki wojny siedmioletniej, klęski wojen napoleońskich, pozbawiające Prusy miejsca na mapach Europy – utraciły swoje moce. Czemu duch dławiący nikczemne postanowienia traktatu wersalskiego, wzlatujący ponad narodowe podziały, ujarzmiający siły całego narodu, potrafiący wyzwolić nie ujarzmione siły wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, po raz wtóry zmuszony został do obniżenia lotów i opadł jak orzeł z przestrzelonym skrzydłem. To wprost niewiarygodne, on Adolf Hitler wskrzesiciel najszlachetniejszych przymiotów niemieckiego charakteru i nieodrodnie przypisanych im cech, apologeta jego umiejętności przywódczych nad niższymi rasami, orędownik sprawy Niemiec na międzynarodowym forum, zawierający sojusze z jednymi z najpotężniejszych władców w historii świata i równie szybko je łamiący, musi teraz lkać w upokorzeniu jak wydziedziczony monarcha. On protagonista pruskiego drylu, ojciec chrestny odrodzonego militarystyki, powstającego z niebytu jak Wenus z morskiej piany, musi stać się grabarzem stworzonego

przez siebie imperium. Sypnąć nad jego grobem symboliczną grudę ziemi i po raz drugi w swoim życiu zmówić modlitwę o spokój duszy pogrzebanych idei, idei powrotu do należącego Niemcom miejsca na mapie świata. Osiągał przekonanie że udział w zdarzeniach tych musiały mieć słowa przepowiednie Erika Hanussena – wiernego mu jasnowidza, przepowiadającego mu dojdzie do władzy na trzydzieści dni przed objęciem urzędu kanclerza. Przypomniawszy sobie teraz dzień w którym otrzymał od jasnowidza amulet z korzenia mandragory, wykopanego w swoim miejscu urodzenia i słowa profety „Będziesz miał siłę dopóki będziesz wierny Hanussenowi, korzeniowi mandragory i sobie, jeżeli nie dochowasz wierności wszystko pochłonie płomień najpóźniej za dwanaście lat”, Hanussena bez jego wiedzy zabili podwładni, a jego III Rzesza przetrwała dokładnie dwanaście lat. Myśli te nie dawały mu zasnąć i postanowił że to jeszcze nie koniec, nie po to umknął Rosjanom, Amerykanom, Brytyjczykom. Wolnych Francuzów, pozostałych ruchów oporu, może za wyjątkiem polskiego, ani też innych aliantów nigdy nie traktował poważnie. Nie po to przechrzcił aliancki wymiar sprawiedliwości i międzynarodowe trybunały z niezliczonymi sędziami i prokuratorami, wszystkich innych żołnierzy wrogich armii, którzy bez cienia wątpliwości odprowadziliby go do najbliższego posterunku żandarmerii wojskowej, by potwierdzić jego personalia. Nie po to wymknął się z Berlina, przeleciał nad jedną trzecią powierzchni Niemiec, by teraz podzielić tchórzliwą postawę generałów Wehrmachtu i poddać swoje ideały. Kolejne wcielenie nieśmiertelnej Rzeszy, wsparte ukrytymi precjozami, trudnymi do oszacowania aktywami, zdeponowanymi w szwajcarskich i południowoamerykańskich bankach, muszą stanowić fundusz założycielski IV – ej, niepomiernie potężniejszej Rzeszy, tym razem jednak rozszerzającej swoje wpływy i zdobycze w sposób pokojowy. Nie wzbudzający podejrzeń dawnych wrogów i przyszłych sojuszników, budującej swoją potęgę na umiejętnej propagandzie, promowaniu wartości demokracji i dobrobytu, nie nawiązującej w najmniejszym przejawie do krzykliwych frazesów spod znaku Goebelsa. Rzeszy utwierdzającej swoją pozycję dyktatem praw, podtrzymujących ekonomiczny byt narodów dotąd politycznie i militarnie uciskanych. Lansującej wzorzec ostoi demokracji i wyrzeczenia się dawnych pryncypiów, Rzeszy jako forpoczty na granicy komunistycznego imperium szatana. Potwierdzającej swoją rolę jako przedmurza anglosaskich ideałów, w każdej chwili gotowej udostępnić swoje terytorium dla baz i koszar, a w międzyczasie na wzór dawnej współpracy z Rosją Sowiecką i łamania traktatu wersalskiego, budować swoją militarną i gospodarczą potęgę. Nowa Rzesza musi przyjąć na siebie okupację lecz wykorzystać od dawna głoszone przeświadczenie, że sojusz Rosjan z zachodnimi aliantami z przyczyn ideowych, kulturowych, mentalnych nie przetrwa długo, a raczej nadzwyczaj krótko. Wówczas on dozorujący prace wybitnych konstruktorów najnowocześniejszych typów broni, znający tajniki ukrytych technologii, będzie w stanie zaoferować Amerykanom i Brytyjczykom niewyczerpane źródło prototypów w walce z komunistyczną hydrą. Będzie miał asa w rękawie, argument przetargowy, wobec którego ci pozbawieni intuicji i wyobraźni Anglosasi nie pozostaną obojętni. Należy tylko umiejętnie rozegrać z nimi kolejną partię pokera, ukryć asa w rękawie, podmienić jedną z kart, w odpowiednim momencie uniemożliwić im powiedzenie sprawdzam, a kolejna partia będzie wygrana. Niemcy znowu rozdawać będą karty na stole wokół którego rozsiądą się wygodnie, tym razem w poczuciu bezpieczeństwa, wszyscy sąsiedzi. Należało będzie tylko w sposób umiętny dozorować całą tę pokerową partię, wykorzystać w swojej strategii wiernych sobie graczy, pozostałych przy życiu i umożliwić im zajęcie wpływowych stanowisk. Nie będzie to łatwe, niemniej jest to możliwe, jak najbardziej możliwe – utwierdzał się w swoich postanowieniach. Należało będzie co wydaje się rzeczą najtrudniejszą odzyskać dawną moralną pozycję w Europie. W ramach transakcji związanej odkupić winy, płacąc za nie twardą walutą. Zrzucić z siebie brzemię dokonanych zbrodni, jednocześnie nie w pełni się do nich przyznając, a cedując je na państwa kolaborujące i państwa na terytoriach których zbrodnie te zostały dokonane. Z narodu agresywnego przedzierzgnąć się w naród łagodny i przyjazny. Nacjonalizm i faszyzm zastąpić liberalnym kosmopolityzmem, ducha wojowniczego militarystyki dobrodusznym pacyfizmem. Należało będzie w zamian za pozbywanie się mniejszości, czerpać je z zewnątrz, ażeby uzupełnić ubytek substancji narodowej. Czystość rasową i wyższość rasy nordyckiej przewekslować na wieloetniczność i multikulturowość i co przyjdzie z najwyższym trudem zamienić antysemityzm na filosemityzm, gdyż bez zabiegu tego nie uda się zbudować wiarygodnej pozycji w powojennym świecie. Nim zasnął stworzył w wyobraźni nowe ideowe credo, jakim kierować się powinien w nakreślaniu ram funkcjonowania nowych Niemiec. Wystarczy poprzez organizacje utworzone i finansowane z niewyczerpanych zasobów złota i dewiz, umiejętnie wspierać budowę nowego, europejskiego ładu pokojowego z przewodnią rolą nowych Niemiec i bez znaczenia pozostaje fakt że on, jego nadzorca, jego podwładni będą daleko stąd. Przypomniawszy sobie teraz, ukrywaną przed nim naradę z hotelu Maison Rouge w Strasburgu odbywającą się 10 VIII 1944 – go roku, pod przewodnictwem wysokich władz Rzeszy za aprobatą Himmlera z udziałem największych niemieckich, przemysłowych potentatów. Właśnie oni mieli stać się zalążkiem powstania nowego niemieckiego imperium, zbudowanego metodami pokojowymi. Zlecono im nawiązanie kontaktów z zagranicznymi firmami i częściowe przeniesienie tam działalności, by po finansowym okrzepnięciu, inwestować zyski w powojennych Niemczech. Kolejnym etapem miał być bezpieczny transfer miliardowych rezerw walutowych i ton złota do szwajcarskich i południowoamerykańskich banków, dokonanych pod pretekstem rozliczeń pomiędzy firmami, mający stanowić kapitał założycielski IV – ej Rzeszy. Umieszczenie we wpływowych państwach uspioionych agentów, zobowiązanych do wywarcia wpływu na ich rządy, akceptujących powrót faszystów do władzy. Ostatnim

postanowieniem miało być wykorzystanie powiązań przedsiębiorstw tych z bankami i zapewnienie olbrzymich kredytów na odbudowę i rozwój nowego, niemieckiego państwa. Wówczas nie godził się z treścią narady, nie mógł też skutecznie się jej przeciwstawić, chcąc to uczynić musiałby najwyższe władze, wraz z Himmlerem wysłać do obozów koncentracyjnych. Teraz dopiero może docenić przemysłowość tamtych decyzji, w pełni je zaaprobować, podpisać się pod nimi oboma rękami. Zasnął, a płynąca w niewielkim zanurzeniu łódź podwodna ochoczo pruć zimne wody Morza Północnego. Zbudziły go czyjeś kroki, pogłos których rozniósł się echem, na długich podłogach U – boota.

- A to pan kapitanleutnant von Bylov, która może być godzina?
- Jest dziewiętnasta czterdzieści pięć mein fuhrer, za moment będziemy serwować kolację.
- Czy na pewno nie jest to za piętnaście ósma rano?
- Z całą pewnością nie, meni fuhrer. Mnie też się wydaje że czas biegnie szybciej. Odkąd ogłoszono bezwarunkową kapitulację, możemy płynąć w częściowym wynurzeniu, w przybliżeniu trzy razy szybciej niż dotychczas. Jeżeli nic nie zakłóci naszej podróży pojutrze będziemy w Rues, mein fuhrer.
- A gdzie jest moja żona.
- Ośmielam się zauważyć że śpi na łóżku obok.
- Ach racja, najwidoczniej nie zdążyłem jeszcze dostatecznie się wybudzić z długiego snu.
- Najpewniej tak właśnie się stało mein fuhrer. Zapraszam na kolację ze świeżych produktów.
- Dziękuję za propozycję, ale dzisiaj nie będę jadł kolacji. Proszę mnie obudzić gdy będziemy w Rues. Zamierzam nie żałować sobie snu i odespać wszystkie nieprzespane wojenne noce.
- Tak jest mein fuhrer. Kapitanleutnant von Bylov wyprostował prawą dłoń w nazistowskim pozdrowieniu, zasalutował i odwrócił się w kierunku centrum dowodzenia.

Adolfa Hitlera z głębokiego snu wytrąciły wysokie, metaliczne dźwięki dobywające się z zewnętrznych poszyc kadłuba U – boota. Przenikając do wnętrza, przenosiły się na drgania wszelkich metalowych przedmiotów, od rur i zaworów począwszy aż po emaliowane kubki. Pogłos ów z minuty na minutę stawał się nieznośniejszy, sięgał granicy pasm najwyższych dźwięków, jakie zdolne jest odebrać ludzkie ucho. Adolf Hitler odczuł ciarki biegnące po plecach i odnosił wrażenie, że dźwięk ten przenika ciało i powoduje drżenie kości. W miarę narastania hałasu wrażenie ustępowało miejsca przekonaniu że drgające kości oddzielają się z wolna od tkanki miękkiej, ta z kolei dzieli się na mięśnie, żyły i ścięgna, a wszystko to z osobna podąża wraz z przesuwającymi się po podłodze śrubokrętami, śrubami, pustymi puszkami po konserwach, zapleśniałymi cytrynami i kromkami niedojedzonego, zieleniejącego chleba. Dźwięk ten wydawał się odgłosem wydawanym przez monstrualnych rozmiarów bestię, zamieszkującą pierwotne, oceaniczne głębiny, w kształtach nawiązującą do Ichtyozaurów bądź też Plejzozaurów. Z całych sił zatkał uszy obojgiem dłoni, lecz wówczas epicentrum nieznośnego hałasu przeniknęło do kanałów słuchowych i stało się jeszcze bardziej napastliwe.

- Co tu się dzieje kapitanleutnant von Bylov, zstąpiliśmy do piekieł, bo koncert Wagnera z pewnością to nie jest.
- Napór ciśnienia wody na ściany okrętu, mein fuhrer, dzieje się tak zwykle przy zanurzeniu poniżej dwustu pięćdziesięciu metrów, zmuszeni zostaliśmy zejść na taką głębokość, by bezpiecznie przepłynąć cieśninę Gibraltarską, pomimo końca wojny wciąż patrolowaną przez brytyjskie niszczyciele.
- Dopłynęliśmy już do Gibraltaru?
- Tak jest mein fuhrer, zgodnie z pańskim życzeniem nie budziliśmy pana.
- Gdy w końcu miniemy tę przeklętą brytyjską ziemię i uda mi się zasnąć, zgodnie z moim życzeniem obudźcie mnie dopiero w Reus.
- Tak jest mein fuhrer.

Ośmiokilometrowy przesmyk gibraltarski, nawet przy niewielkiej, zwanej przez marynarzy cichej prędkości, niewykrywalnej dla systemów akustycznego namiaru, nie okazał się przeszkodą trudną do pokonania w warunkach pokojowych. Wraz z komendą szasowania i usunięciem wody ze zbiorników balastowych i szybkim podnoszeniem się okrętu, uporczywy hałas począł tracić na intensywności, jeszcze przez kilka minut morską wodę przenikały jego echa, aż w końcu przestał być zupełnie słyszalny. U- 476 znajdował się już na hiszpańskich wodach terytorialnych, radiooperator i nasłuch informował o przepływaniu nad okrętem niewielkich jednostek, najpewniej kutrów patrolowych hiszpańskiej straży przybrzeżnej. Pojawiały się one nagle, a wkrótce potem emitowane przez nie dźwięki rozplywały się wraz z rozbijającymi się o siebie falami. Statków przepływających ponad pokładem, załoga U – boota po raz pierwszy nie musiała traktować jako zapowiedzi ostrzału bombami głębinowymi czy też pociskami raketowymi typu „Jeż”, lecz w razie potrzeby mogła liczyć na pomoc, nieformalnie sojuszniczej hiszpańskiej marynarki wojennej. Podążając na północ wybrzeża okręt wypłynął na powierzchnię, otworzone włazy zassały do wnętrza kłęby podzwrotnikowego powietrza, wyparło ono na zewnątrz zalegające w maszynowniach, pomieszczeniach mieszkalnych, toaletach, kambuzie - złogi ciężkiej, zbutwiełej zawiesiny. Kilkadziesiąt godzin wystarczyło by zaczerpnięta nad Atlantykiem bryza, przemieniła się w zatęchły odór. Członkowie załogi zachłannie wdychali i wydychali świeży wiew, delektowali się nim jak amatorzy fajek aromatem najprzedniejszego tytoniu. Bez trudu

uruchomione silniki Diesla zagrały przyjaznym warkotem, teraz mogli już w poczuciu bezpieczeństwa, wyszedłszy na mostek kapitański w blaskach słońca wysuszyć zawilgocone mundury i w niczym nie ograniczony sposób, napełniać płuca śródziemnomorską bryzą. Po lewej burcie, wraz z nastaniem godzin popołudniowych na odległym, ledwie rysującym się pograniczu lądu i morza, stały się dostrzegalne wątle aureole światła. Wyznaczały wyraźne obrysy większych miast i mniejszych kurortów, występujących jedno obok drugich w niewielkich odległościach. Mijana właśnie Costa del Sol z każdym kwadrantem nabierała wyrazistości. Pagórki, wzgórza i wypełniające je równiny, połyskiwały elektryczną iluminacją. Zmierzali w pełnym wynurzeniu, całą na przód północnym kursem. Dieslowskie zawory rytmicznym klekotem napawały radością najpierw obsługę maszynowni, później roznosząc się otwartymi włazami na cały pokład, przebywających tam marynarzy, wydobywając się na mostek zaś, stojących tam oficerów. Wytrącona z długiego snu, powiewem świeżego powietrza Ewa Hitler, powstała z metalowego łóżka, obrzuciła najbliższe otoczenie sennym jeszcze i zamglonym spojrzeniem.

- Adolf, Adolf zbudź się, teraz już nie musisz wdychać stęchłego zaduchu. Usiłowała zbudzić męża, dotykając go nieśmiało prawą dłońią.
- Fuhrer polecił zbudzić się dopiero w Reus, oznajmił wyłaniający się z włazu kapitanleutnant von Bylov.
- Mógłby chociaż zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Obawiam się że zbudzony przedwcześnie mógłby popaść w niekontrolowany wybuch złości.
- Ma pan rację, panie von Bylov, a czy ja mogłabym wydostać się na zewnątrz, chociażby na kilka minut ?
- Ależ naturalnie pani Hitler, zapraszam tędy, powiedział wskazując dłońią okrągły właz, dalej proszę za mną. Ewa Hitler wykonała pierwszy krok na drabinie prowadzącej na mostek kapitański, pokonanie kilku kolejnych pozwoliło jej wystawić głowę ponad pokład statku, po raz pierwszy od ośmiu dni.
- Czuję się jak nowo narodzona, powiedziała do spostrzeżonych właśnie oficerów.
- Zapraszamy, pani Hitler, czy może w czymś pomóc, zaproponował jeden z oficerów.
- Najmocniej dziękuję, gdyby tylko któryś z panów podał mi dłoń, buty na obcasie nie są najwłaściwszym obuwiem do chodzenia po drabinach. Jeden z marynarzy podciągnął Ewę Hitler na wyciągniętej, prawej dłoni.
- Jakie wrażenie zrobiło na pani Morze Śródziemne? Zapytał wyłaniając się z włazu kapitanleutnant von Bylov.
- Niezapomniane, podoba mi się niezmiennie odkąd po raz pierwszy widziałem je we Włoszech. Ma nawet ten sam zapach co wtedy. Kapitanleutnant von Bylov czy mogłabym, tutaj na zewnątrz, zapalić papierosa?
- Zgodnie z regulaminem zakaz palenia obowiązuje na terenie całego okrętu, włączając w to również mostek kapitański, lecz dla tak pięknego gościa mogę zrobić wyjątek, proszę tylko uważać by niedopałek nie wpadł na pokład, pobłażliwym tonem zaznaczył kapitanleutnant.
- Może się pan nie obawiać, najmocniej dziękuję, kapitanleutnant, ostatniego papierosa wypaliłam z sekretarkami i stenotypistkami fuerhera w ogrodzie kancelarii Rzeszy, mówiąc to wydobyła z białej paczki, długiego i wąskiego papierosa. Jak pan sądzi, dzisiaj jeszcze zdążymy dopłynąć do Reus?
- Jeżeli tylko nic nie stanie na przeszkodzie, bez wątpienia, zapewne jeszcze przed północą. Doskonale się składa, nie będziemy musieli czekać do rana na przeokrętowanie . Domyśla się pani, w czasie dnia taka operacja byłaby zbyt ryzykowna, biorąc wzgląd na charakterystyczny wygląd pani męża. Wystarczyłoby jedna, niepozorna wizyta postronnego przechodnia, wiadomość przekazana zostałaby z ust do ust, a następnego dnia we wszystkich katalońskich gazetach zaryłoby się od artykułów na wiadomy temat.
- Ma pan rację, kapitanleutnant von Bylov.
- Musi pani przyznać że wobec uroku U-boota płynącego w pełnym wynurzeniu nie można pozostać obojętnym.
- Jestem pełna zachwytu.
- Powiedzenie o trzech najpiękniejszych rzeczach na świecie, statku pod pełnym żaglami, koni na nieboskłonie, pięknej kobiety z rozwianymi włosami, poszerzył bym jeszcze o idący w pełnym wynurzeniu U – boot.
- Byłoby to w pełni uzasadnione, dodała Ewa Hitler.
- Wiatr zmienia się na porywisty, niesie z sobą krople wody. Proponuję udać się na pokład, w przeciwnym razie przemokniemy do suchej nitki.
- Pozwolą panowie że zejść jako ostatnia, dopalę jeszcze papierosa.
- Jak pani sobie życzy, pani Hitler.

Ewa Hitler jeszcze przez moment pozostawała na mostku kapitańskim. Zapadający zmierzch wyostrzył jeszcze bardziej światła nadmorskich kurortów. Ich połyskliwość rozlewała się teraz na rozległe obszary przybrzeżnych wód. Po przeciwnej stronie burty, gdzieś pomiędzy wzburzonych fal, a czerwonej poświaty rozciąganej na cały horyzont przez zachodzące słońce, dobiegał klangor ptaków przemierzających nadmorskie przestrzenie w nieznanym kierunku. Ewa Hitler uniosła do góry głowę w poszukiwaniu szybkich ptasich skrzydeł. Nie dostrzegłszy żadnego z nich, wrzuciła do morza niedopałek papierosa po czym kurczowo trzymając się poręczy, zeszła na pokład okrętu. Ujął ją, niezauważalny dotąd, od-

rażający zapach przenikający każdy sprzęt i urządzenie, snuł się po podłogach, wypełniając szczelnie przestrzeń pokładu. Spojrzała na nieruchomo spoczywającego męża, nadal spał, zgodnie z jego zaleceniem postanowiła go obudzić dopiero u kresu pierwszego etapu podróży.

- Mein fuhrer, mein fuhrer, powtórzył donośniej głosem kapitanleutnant von Bylov, jesteśmy już w Reus, proszę się zbudzić, dopłynęliśmy do portu przesiadkowego.

Z rozbieganych i przymrużonych oczu, podnoszącego się z koi Adolfa Hitlera przenikało zdziwienie i zubożenie. Dopiero z każdą sekundą wyostrowający się wzrok, nabierał właściwej sobie drapieżności i przenikliwości, na działanie której wystawiona została tym razem postać von Bylova. Przemierzał nim jego sylwetkę od stóp do głów. Błędny wzrok fuhrera utknął na twarzy mężczyzny, chcąc najwyraźniej skojarzyć ją z kimś sobie znanym, doszukując się podobieństwa z dowódcą U – 456, poznanym przed kilkoma dniami na redzie w Hamburgu. Po ciele von Bylova przebiegł przenikliwy dreszcz, jak gdyby spaść miał na niego nieuchronny wyrok, ferowany za wybudzenie kanclerza Niemiec z najgłębszej fazy snu.

- Tak, mówi pan że jesteśmy w ..., dokąd dopłynęliśmy?

- Dopłynęliśmy już do Reus, mein fuhrer.

- Teraz rozumiem, kapitanleutnant von Bylov - powracająca świadomość podsunęła mu logiczną odpowiedź - musimy już opuścić statek?

- Niczego nie musimy dokonywać w pośpiechu, U – 996 oczekuje na sąsiedniej redzie, jest w trakcie uzupełniania prowiantu, sprzątanego pokładu, tankowania i przeglądu silników.

- Chciałbym w międzyczasie zaczerpnąć świeżego powietrza, czy jest taka możliwość kapitanleutnant?

- Ależ naturalnie, mein fuhrer.

- Droga na mostek kapitański wiedzie tedy, wskazał dłonią prawą stronę. Wskazany byłoby założenie chociażby marynarskiej czapki dla prowizorycznego kamuflażu.

- Trafna myśl, kapitanleutnant.

Von Bylov podał fuhrerowi granatową, marynarską czapkę, znajdującą się w którejś z przegród drewnianej szafki.

Adolf Hitler spojrzał na dystynkcje.

- Zdegradował mnie pan, kapitanleutnant von Bylov z funkcji zwierzchnika sił zbrojnych do stopnia marynarza - oznajmił żartobliwie - czym sobie na to zasłużyłem?

- Nie miałem takiego zamiaru, mein fuhrer, kapitanleutnant von Bylov nie zdobył się na podzielenie żartobliwego nastroju fuhrera.

- Niech się pan niczego nie obawia, to był tylko żart.

- Adolf Hitler chwiejnym krokiem pokonywał kolejne metry pokładu zasłanego przedmiotami nieznanego mu pochodzenia i nieokreślonego przeznaczenia. Starając wspomóc się lewą dłonią, wspierał się na niej, pokonując kolejne włazy. Przy nieznacznej asekuracji niesprawną dłonią wspierał się na drabinie, prowadzącą na mostek kapitański, z trudem postawił najpierw lewą, silniejszą nogę, wsparł na niej ciężar ciała, podciągnął się na prawym przedramieniu, podciągnął prawą nogę i odzyskując utraconą równowagę stanął na obu już nogach na wąskim, poziomym podłożu mostka. Aromatyczna woń morza śródziemnego przeniknęła jego nozdrza, wtargnęła ożywczo wiewem do receptorów węchu, a stamtąd przekazała nerwowy impuls do odpowiedzialnych za zmysł ten, ośrodków mózgu. Wywołało to natychmiastowe skojarzenia z częstymi wizytami u wiernego towarzysza broni Mussoliniego, ich wspólne eskapady nad śródziemnomorskie wybrzeże, w okolicy Fiumicino, przybrzeżne rejsy jachtem Duce. Kolacje na tarasie rezydencji obsadzonej kilkoma gatunkami palm, drzewami mirtowymi, cyprysami, późniejszy powrót opancerzonym Mercedesem do Rzymu i mniej już komfortowe realia negocjacji militarnych. Z towarzysza wypraw musiał zmieniać się wówczas w stanowczego negocjatora, wszelkimi znanymi sobie sposobami wpływać na rozmówcę, zmuszony był przekonywać go do konieczności wystawienia liczniejszych i lepiej wyposażonych sił w Afryce Północnej. Nakazywał Mussoliniemu wyrzucić presję na dowódców armii, by zbyt pochopnie nie poddawali całych dywizji, stosowali się do wzorców waleczności żołnierzy niemieckich. Dokładnie pamięta jak niepokonany atak furii wywołała w nim propozycja Duce, o zamknięciu frontu wschodniego i przetrzuceniu stamtąd wszystkich niemieckich sił do Afryki Północnej. Jak usilnie i długotrwale perswadować musiał bezwzględny brak takiej możliwości. Pomimo że sojusz z Duce kosztował go niebywałą ilość utraconej cierpliwości, do końca jego dni zachował w stosunku do niego, niesłabnący sentyment. Zdobył się nawet na ryzykowne przedsięwzięcie uprowadzenia kompana z alianckiej niewoli, przetrzymywanego w hotelu Campo Imperatore na górskim zboczu Apeninów w brawurowej akcji pod kryptonimem Eiche, dowodzonej przez Otta Skorzenyego. Duce cały i zdrowy odleciał samolotem do Wiednia, a stamtąd wyruszył w odwiedziny do Wilczego Szańca. Śledząc treść swoich rozmyślań na ustach Hitlera ukazał się dyskretny uśmiech, najpewniej wywołany świadomością powodzenia kolejnej próby przechytrzenia wrogów. Choć od czasu tego miało nieść dwa lata, czas ten wydał mu się niezwykle już odległy. Zapewne nie na skutek przyspieszenia swojego biegu, lecz przez wzgląd na niedoświadczone dotąd zagęszczenie faktów i zdarzeń, o nieprzewidzianych skutkach, wraz z

najbardziej przygnębiającą i paraliżującą koniecznością pogodzenia się z przegraną wojną. Stał nieruchomo zapatrzony w korony wysokich palm, porastających w równomiernych odległościach, nadmorski bulwar. Pozostawał w niesłabnącym zachwycie nad urokiem nocnego krajobrazu śródziemnomorskiego miasta, lecz mogłoby być to inne dowolne miejsce na świecie, a jego zachwyt, rozbudzony tygodniowym pobytem w morskich głębinach, w niczym by nie ustąpił wrażeniom doznany na kapitańskim mostku. Przeszedł go zimny dreszcz na myśl że mógłby podobne krajobrazy stracić nieodwołalnie z oczu, gdyby dojsz do skutku pierwotne zamierzenia o popełnieniu samobójstwa. Ponad trzy i półmiesięczny pobyt pod powierzchnią ziemi i morza wyostrzył zmysł dostrzegania niepowtarzalności i unikalności wszystkiego co unosi ziemską powłoka, wraz z unikatowością istnienia jej samej. Stał zapatrzony w światło portowych latarni, przechadzających się w jego blasku hiszpańskich marynarzy. Dostrzegł cywilnych przechodniów rozmawiających i gestykulujących, siedzących na ławkach w cieniu drzewiastych juk, rozłożystych agaw i kolczastych opuncji. Ludzi żyjących zgodnie z rytmem cywilizacyjnych zasad pokojowego współistnienia, poszanowania praw swoich i praw bliźnich. Podziwiał teraz spójność i harmonię wszystkich tych części ziemskiego porządku, lecz ani przez chwilę nie przemknęła myśl że wszystko co czynił przez ostatnie sześć, siedem lat czynił by porządek ten zburzyć. W zamian pojawiły się myśli dotyczące tego co czynił przed ośmioma, dwunastoma laty, gdy zamierzał porządek ten udoskonalić i bardziej jeszcze wyidealizować. Kolejne myśli biegły wokół zamysłów, zamierzeń i planów, sięgających swoją historia dwudziestu, a może nawet dwudziestu dwu lat, gdy w imię tworzenia nowego porządku, podjął się przeprowadzenia nieudanego, monachijskiego puczu. Wszystko to jednak; zamysły, plany, czyny, wydawać się mogło trwale dokonania, na przestrzeni ostatniego roku ulotniły się jak gaz z zapalnika, niepowodującego zamierzonej eksplozji. Dlaczego to nastąpiło? Z powodu odwrócenia się od niego wszystkich, dotąd sprzyjających mu starogermańskich Bogów, odwróciła się od niego także większość wiernych mu dotąd ludzi. Do kalejdoskopu nieszczęśliwych wypadków dołączył nieprzewidziany wzrost potęgi wrogów, szczególnie Amerykanów, z którymi teraz historyczna konieczność zmusza go do współpracy. Bez wątpienia też dwie kolejne przyczyny, niekorzystna koniunkcja planet i spełnienie się przepowiedni jego nadwornego profety o upadku III - ej Rzeszy po dwunastu latach istnienia.

Stał oparty przedramionami o reling mostka kapitańskiego i obserwował nocne życie śródziemnomorskiego, wojennego portu. Silniejsze porywy wiatru podwiewały marynarską czapkę, unosiły do góry czarny daszek i dostawały się pod kurtkę munduru, powodując doznanie ożywczej świeżości. Przedłużający się stan melancholii przerwał głos kapitanleutnanta von Bylova.

- Mein fuhrer za kilka minut będziemy przeokrętowywać się na U - 996. Jeśli fuhrer wyraża takie życzenie może fuhrer tam pozostać, łatwiej będzie panu zejść na trap.

- Oczywiście że pozostanę, nie posiadam przecież żadnych osobistych rzeczy, jak na prawdziwego bezinteresownego ojca narodu przystało. Jedyne co posiadam to szczoteczka do zębów i grzebień, te zabierze ze sobą moja żona.

Chciał chociażby przez kilka kolejnych minut nasycić wzrok ziemskim krajobrazem, zanim ponownie na długie tygodnie skryć się będzie musiał pod powierzchnią morza. Zachłannie rozglądał się wokół, starał się zarejestrować w pamięci każdy kadr widzianego wycinka ziemi, by później długo sycić się nim, gdy zabraknie już stabilnego gruntu pod nogami. Całą objętością płuc chłonał rozrzedzone wiatrem, morskie powietrze. Zmrużywszy oczy docierał do najodleglejszych zakątków oświetlonego lądu, starał się wyobrazić co skrywają pagórki lub może góry, obsypane jaskrawymi punktami świateł, podążającymi łańcuchem iluminacji za ich pofałdowaną linią dolin i szczytów. Rozbiegany wzrok zatrzymywał się w bliższej perspektywie na rozłożystych jubeach, rozrosłych agawach, wybujałych palmach kanaryjskich, w odleglejszej koncentrował się na światłach kasyn, koszarów, magazynów broni. Baza wojenna serdecznego przyjaciela Francesco Franco. Po raz kolejny uchylił mu swoich podwoi, odwołał też przyjazd z Madrytu na spotkanie z gościem incognito, najpewniej z powodów czysto asekuracyjnych, ujawnienie przyczyn nieplanowanej wizyty w Reus. grozić mogłoby rozpętanem kampanii medialnej, o europejskim, a być może światowym zasięgu. Ten szczywany, faszystowski lis wie co robi, nie ryzykując wizyty w wojennej bazie. Będę miał jeszcze niejedną okazję do spotkania się z nim na płaszczyźnie czysto przyjacielskiej. Nie wykluczone że też ideologicznej, jako jednym z nielicznych epigonów i pogrobowców faszyzmu w najczystszej postaci. Tak.... niewielu nas pozostało Duce nie żyje, oddany do końca Antonescu pojmany przez Rosjan, przetrzymywany jest w Moskwie. Wierny Chorwat Ante Pavelić nie ma przed sobą szerokich perspektyw, lecz znając jego spryt i bliskość Watykanu zapewne wymknie się wymiarowi sprawiedliwości. Jaki los czeka norweskiego sojusznika Vidkuna Quislinga – nikt nie jest tego w stanie przewidzieć, zdrajcy Miklosa Hortyiego nie brałem w rachubę, odkąd w 43 – im negocjował zawieszenie broni z aliantami. Jedynie ja Franco, Peron i już nikt ponadto. Smutny bilans górnołotnych ideałów triumfu faszyzmu nad zachodnimi demokracjami, komunizmem, monarchiami parlamentarnymi i wszystkimi pomniejszych i podleglejszymi systemami sprawowania władzy. Nadejdzie jednak dzień że role się odwrócą, to oni znowu polerować będą mi buty, kalać się u moich stóp bym zaniechał wysyłania wojsk, zatrzymał w koszarach kolejne dziesiątki, a może setki dywizji, fanatycznie poddanych mi żołnierzy. Nie wyruszał na walną rozprawę z nimi wszystkimi, jego myśli zawisły gdzieś pomiędzy refleksją, a hamowaną złością. Pozostawał w nieruchomej pozycji, gładząc się prawą dłonią po odrastającej bro-

dzie, obficie pokrywającej już owal twarzy. Spod marynarskiej czapki wydobywała się rozwichrzona śródziemnomorskim wiatrem, gęsta, czarna czupryna, co jakiś czas zarzucał ją nieporadnie w kierunku lewego ucha.

- Mein fuhrer na mostek wchodzi właśnie pańska małżonka, czy nie zechciałby fuhrer podać jej swojej dłoni?

- Pytanie tylko której?

- Prawej, oczywiście prawej, mein fuhrer.

Do diaska, ci spostrzegawczy marynarze bez wątplenia wiedzą o moim niedomaganiu w lewej ręce – pojawiła się nagle, głośno niewypowiedziana konkluzja. Nic to, nie takie przeciwności losu zdołałem pokonać, pokonam z czasem i niedowład lewej dłoni. Szczwane lisy, pomimo wszystko lepiej że Kriegsmarine posiada takich oficerów aniżeli miałyby być obsadzona zniewieściałymi marynarzykami Royal Navy, w odpowiednim momencie także oni okażą się przydatni, a może nawet niezbędni.

- Pańska małżonka mein fuhrer, nie wiem w jaki sposób to wyrazić....., chciałaby porozmawiać z fuhrerem po kilkudniowym niewidzeniu się z panem. Nie wiem czy wyraziłem się w sposób adekwatny do okoliczności? Chciałbym też zapytać czy wywiązałem się z powierzonej mi powinności dowodzenia tak odpowiedzialną misją, obawiałem się że nie będę w stanie jej sprostać.

- Niech się pan nie sumituje, kapitanleutnant von Bylov, sprostaj pan, wyznaczonej panu przez historię Niemiec misji w stopniu bardziej niż zadowalającym. Mógłbym nawet targnąć się na stwierdzenie że wręcz wzorcowym. Gdyby wszyscy synowie naszego narodu byli tak sumienni i oddani jak pan, sytuacja Niemiec nie przedstawiałaby się tak tragicznie. Pańskie zasługi nie zostaną zapomniane, kapitanleutnant von Bylov. Zostanie pan udekorowany którymś z tradycyjnych odznaczeń lub może którymś z nowych, opracowanych na potrzeby IV - ej Rzeszy.

- Wdzięczny jestem za docenienie moich starań na rzecz przetrwania naszych nieśmiertelnych idei. Nieprzemijających wyzwań stawianych przez germańską cywilizację.

- Oby więcej takich oficerów w służbie naszego kraju, jak pan kapitanleutnant von Bylov. Ostatnią prośbą jaką mógłbym do pana skierować byłoby wskazanie nam drogi na pokład U – 996, nieśmiało zapytał Adolf Hitler obejmując żonę prawym ramieniem.

- Ależ mein fuhrer pańska prośba jest dla mnie rozkazem, proszę tedy.

Adolf Hitler wraz z żoną postąpili kilka kroków na przód, weszli na trap, a po nim bezpiecznie zstąpili na nabrzeże hiszpańskiego portu. We wskazanym przez von Bylova kierunku wykonali kilkadziesiąt kroków. Porywisty wiatr podwiewał czarny daszek marynarskiej czapki Krigsmarine. Krok fuhrera z każdym metrem nabierał większej pewności, postępował już bez zachwiania na przód w kierunku zacumowanego U – 996, wraz z nim, nie mniej zdecydowanym krokiem podążała Ewa Hitler. Minęli walcowaty kształt kei zbliżając się do trapu prowadzącego wprost na pokład U – 996.

- Są to ostatnie chwile wspólnie spędzonego czasu, mein fuhrer – oznajmił łzawym tonem kapitanleutnant von Bylov. Od-tąd pieczę nad pańskim bezpieczeństwem i bezpieczeństwem pańskiej małżonki przejmuję korvettenkapitan Georg Olbricht dowodzący U- 996 typu XXI, nie mniej doświadczony oficer Krigsmarine. O, właśnie, ten mężczyzna podążający w państwa kierunku.

Kapitanleutnant von Bylov wskazywał wyciągniętą, prawą dłonią wysmukłą sylwetkę wyłaniającą się zza trapu. Wysoki mężczyzna, spełniający wszelkie kryteria nordyckiej rasy, w granatowym mundurze Krigsmarine, nienagannie wyprasowanym i dopasowanym, sprawiał wrażenie nie ulegania traumie ostatecznej kapitulacji, wyprostowany kroczył pewnie na przód. Wypastowane, marynarskie buty odbijały blask portowych latarni. Na widok Adolfa Hitlera, rozpoznanego pomimo naciągniętej na głowę marynarskiej czapki, zasalutował.

- Do usług, mein fuhrer.

- Zanim wymienimy honory, chciałbym ostatni raz podziękować kapitanleutnat von Bylov za bezpieczną podróż.

Adolf Hitler, co nie zdarzało się mu zbyt często odwrócił się w kierunku Von Bylova i zasalutował.

- Moje słowa wciąż pozostają w mocy, w obecności mojej małżonki zobowiązuję się dotrzymać wszelkich zobowiązań i zapewnić pana, że zasługi poczynione na rzecz naszej narodowosocjalistycznej sprawy zostaną wynagrodzone z nawiązką.

- Cały zaszczyt po mojej stronie, mein fuhrer. Zapewnił salutując von Bylov. Pozostaje mi żywić nadzieje że starania korvettenkapitana Olbrichta nie okażą się mniej żarliwe i fuhrer wraz z małżonką szczęśliwie osiągnie cel swoje podróży, sieg heil

- Sieg heil. Zasalutował Adolf Hitler.

Podtrzymując pod ramię żonę oboje zstąpili z redy na wąski trap prowadzący na pokład U – 996.

Korvettenkapitan Georg Olbricht był doświadczonym podwodniakiem, znającym doskonale atlantyckie wody oblewające Amerykę Południową, dokąd wraz z załogą wypływał na wojenne patrole. Jeżeli miałyby określić ściśle, czasowe ramy owych oceanicznych awantur, to był to okres od mają '42 - go roku poczynając, na lutym roku '45 - go kończąc. Z równie celującym skutkiem znał budowę i zasady działania U- boota typ XXI, zważywszy że wyprodukowano ich zaledwie 118 sztuk. Były to umiejętności unikatowe, które w połączeniu ze szczęśliwą passą jaka towarzyszyła mu podczas oceanicz-

nych rejsów - co warte zaznaczenia, nigdy nie powrócił z najmniejszym choćby uszkodzeniem - zdecydowały że wytypowano go jako dowódcę, niespotykanej dotąd na tym kursie, podwodnej misji.

- Jestem korvettenkapitan Georg Olbricht i przypadł mi zaszczyt eskortować fuhrera na odległym oceanicznym kursie. Załogę stanowią najbardziej sprawdzeni i wiarygodni marynarze, o nieskalanej przeszłości i sprawdzonej w wielu akcjach psychice. Przysięgali na nazistowski sztandar, wizerunek fuhrera i pozostałe relikwie narodowego socjalizmu. Gdyby nawet poddawano ich najwymyślniejszym torturom, więziono do końca życia, gwarantuję za ich milczenie. Żywię też nadzieje że dowodzony przeze mnie okręt okaże się, jako nowa konstrukcja, bardziej komfortowy od wysłużonej „siódemki”. Małżeństwo Hitlerów w asyście korvettenkapitana i kilku niższych stopniem oficerów przechodziło korytarzami U – 996. Fuhrer, idąc jako pierwszy, trzęsącą się lewą dłoń, podtrzymywał dłonią prawą, przed sobą. Znalazłszy się natomiast z jakiegoś powodu na tyłach grupy, wypróbowanym zwyczajem chował ją za siebie. Pierwszym wrażeniem jakie się narzucało był zupełnie niewyczuwalny fetor, tak dojmujący w przypadku U – 456. Najwyraźniej tamtejsze przepocone koje i materace, butwiejąca żywość poniewierająca się w szczelinach i zakamarkach pokładu, zastygłe na podłogach maszynowni plamy oleju, tutaj jeszcze nie dały znać o sobie. Przestronniej też prezentowało się samo wnętrze.

- Korvettenkapitan Olbricht pański okręt zestawiony z U – 456, wygląda jak sala konferencyjna berlińskiej kancelarii w porównaniu z jej podziemnym bunkrem. Warunki sanitarne także bez zarzutu.

- Nie tylko wygląd ma tutaj znaczenie mein fuhrer, osiągi i możliwości są najistotniejsze. Zdolny jest zejść na ponad 300 metrów, prędkość w wynurzeniu 15 i pół węzła, w zanurzeniu 17 węzłów, uzbrojenie 23 torpedy, dwa podwójne działa. Najistotniejszą jego właściwością jest wyposażeniu w chrapy, dzięki nim nie musi się wynurzać, by płynąć na napędzie spalinowym, do dwudziestu metrów pod powierzchnią wody, ładując przy tym akumulatory o niezwyklej mocy.

- Wiem, wiem korvettenkapitan Olbricht, osobiście zatwierdzałem do produkcji prototyp przedstawiony przez admirała Doenitza, okręt ten miał odmienić bieg zdarzeń na Atlantyku.

- Niechybnie tak by się stało mein fuhrer, gdyby wyprodukowano ich chociażby setkę więcej, a wojna potrwałaby dłużej.

- Proszę się nie obawiać korvettenkapitan Olbricht zdążymy jeszcze wykorzystać ich osiągi. Mógłby pan wskazać gdzie znajdują się nasze miejsca noclegowe?

- Oczywiście proszę za mną, znajdujemy się właśnie w ich pobliżu. Olbricht wskazał dłonią na dwie solidne koje przysłonięte zwiewnym parawanem.

- Prezentują się wcale okazale. Chciałbym już teraz zaznaczyć że będzie to najczęściej uczęszczane przeze mnie miejsce na całym okręcie. Mój organizm po wojennym wyczerpaniu domaga się niewyobrażalnych ilości snu. Niech więc pana nie dziwi gdy nie będę uczestniczył we wszystkich posiłkach, a tylko w wybranych, zadowalają mnie także w zupełności odgrzewane potrawy. Dzisiejszej kolacji również nie zamierzam spożywać.

- Wszyscy wiemy o wegetariańskich nawykach fuhrera.

- Ze względu na wyjątkowe okoliczności, na okręcie postanowiłem nie przestrzegać mojej diety. Zamierzam też wkrótce udać się na spoczynek, choć wiem że zbudzą mnie przenikliwe dźwięki, schodzącego na dużą głębokość okrętu, w cieśninie gibraltarskiej

- Pragnę zapewnić, mein fuhrer, że nic podobnego nie będzie miało miejsca. U – 996 zanurza się do 300 metrów bez wyczuwalnych drgań, zgrzytów i wstrząsów, niemniej będzie to najniebezpieczniejsze miejsce na mapie całej wyprawy. Gdybym spał, a zaszłyby jakiekolwiek nieprzewidziane zdarzenia, proszę mnie oczywiście zbudzić.

- Zapewniam fuhrera że nie będzie takiej potrzeby

- Tak więc do zobaczenia gdy tylko ustąpi pierwsza fala senności, moja żona również chętnie mi potowarzyszy, prawda Ewo?

- Naturalnie Adolf, moje miejsce jest u twojego boku.

- Gdy tylko zajdzie potrzeba znajdą mnie państwo w centrum dowodzenia. Heil Hitler zasalutował Olbricht.

- Heil Hitler, oddał pozdrowienie fuhrer, niedbałym gestem prawej dłoni, przerywając czynność zdejmowania kurtki munduru.

Adolf Hitler powiesił mundur na wieszaku zamontowanym na bocznej ścianie szerokiej koi, ułożył się na wygodnym materacu, zanim zapadł w sen zdążył jeszcze powiedzieć żonie dobranoc.

- Dobranoc, Adi.

Sen w jaki zapadł fuhrer był głęboki i przepastny, skutecznie spowalniał procesy życiowe jego wycieńczonego organizmu. Rozregulowany tryb życia swymi początkami sięgał jeszcze pierwszych niepowodzeń na froncie wschodnim, datującymi się na grudzień '41 – go roku, jakie pojawiły się podczas nieudanego oblężenia Moskwy. Późniejsze jego pogłębienie na skutek częstej zmiany kwater, nocnych wizytacji, nieprzewidzianych godzin lotu, zwieńczenie którego stanowił trzymiesięczny pobyt w berlińskim bunkrze, gdzie przestał odróżniać dzień od nocy, spowodowały że bez trudu potrafił odwrócić cykl dobowych czynności. Umiejętność ta miała swoje pożądane znaczenie, doskonale wpasowywała się w tryb życia na okręcie podwodnym. Nieregulowany podziałami na pory doby, nie ograniczany przyzwyczajeniami – sen - sprawiał, że

złudzenie szybciej mijającego czasu, połączone z dużą prędkością idącego w wynurzeniu U – 996 nakładały się na siebie i powodowały, że odległość dzieląca Reus od Wysp Kanaryjskich, mijając byłemu kanclerzowi Rzeszy niepostrzeżenie. Do poczucia tego przyczynił się także fakt bezpiecznego opuszczenia cieśniny gibraltarskiej, patrolowanej tylko, jak wykazały nasłuchy, przez brytyjskie samoloty. U – 996 bez korekt kursu, pokonujący atlantycką toń z niezłomną wytrwałością i maksymalną prędkością siedemnastu węzłów, przybijał właśnie do brzegów kanaryjskiej wyspy Fuerteventura. Rozpędzony okręt, zbliżając się na odległość kilku kilometrów, wytracał prędkość. Będąc już u nabrzeży skalistej wyspy, na pobliskim płaskowyżu, oczom nawigatora ukazały się najpierw zarysy czerwonego dachu, a wkrótce okazały budynek. Był to punkt orientacyjny, wskazujący na pobliską obecność podwodnego korytarza, prowadzącego wprost do podnóża willi, mogącego pomieścić kilka okrętów podwodnych. W tym celu też zaadaptowana została podwodna jaskinia, wybudowano w niej przystań dla pięciu U - bootów.

U – 996 zszedł na głębokość kilku metrów i wpłynął pod nawis skalny, zamykający od góry łagodny szelf. Wynurzył się pośrodku rozległej, podwodnej jaskini na wprost pięciu pustych przystani. Nie ograniczony wyborem, zajął miejsce w doku znajdującym się na wprost dziobu, nieznacznie odchylił się na prawy bok, ażeby symetrycznie ulokować się w przestrzonym basenie. Zaczekał.

- Mein fuhrer, może się pan zbudzić, dopłynęliśmy już na Fuerteventurę. Mein fuhrer, korvettenkapitan kilkakrotnie potrząsnął dłonią ramię Adolfa Hitlera.

- Tak, gdzie, dokąd,? Rozbudzony Hitler z wolna odzyskiwał pełnię świadomości.

- Na Fuerteventurę, Wyspy Kanaryjskie mein fuhrer. Życzeniem fuhrera było zobaczenie tutejszej bazy wojennej. Ściślej rzecz ujmując jesteśmy na półwyspie Jandia, w pobliżu miasteczka Moro Jable.

- Ach tak, przypominam sobie. Co aktualnie robi moja żona?

- Oczekuje na zejście na ląd, mein fuhrer.

- Za pięć minut również będę gotowy, korvettenkapitan Olbricht.

- Poczekamy wszyscy by fuhrer mógł honorowo zejść jako pierwszy.

Wkrótce Adolf Hitler postawił pierwsze kroki na mostku kapitańskim, tuż obok niego stanęła Ewa Hitler, za nimi ustawiła się pozostała część dwunastoosobowej załogi. Jeden z marynarzy przerzucił trap na płaski, skalny chodnik. Fuhrer wykonał kilka niepewnych kroków, trzymając obie dłonie splecione z przodu tułowia. Za nim postąpiła żona bez trudu utrzymując równowagę, w następnej kolejności podążał korvettenkapitan Olbricht i pozostała część załogi. Wszyscy stanęli na dwumetrowej szerokości chodniku, wykutym w litej skale, u podnóża łagodnie opadającej grani. Wokół nich roztaczał się krajobraz typowy dla podwodnej groty, dużych rozmiarów. Zaczekał U – boota oblewały turkusowe wody, o przejrzystości sięgającej kilku metrów. Światło dzienne dostające się do wnętrza groty poprzez opływające je płytkie wody, pulsowało na jej powierzchni, rozrzucając na skalnych ścianach błędzące refleksy. Padały one wprost na białe stalaktyty, ociekające kroplami słonej wody. Światło rozpraszało się na pofałdowanych sklepieniach jaskini i długimi smugami opadało na jej ściany. Załoganci zanim udali się we wskazanym przez Georga Olbrichta kierunku, przez kilka minut obserwowali świetlny spektakl z niesłabnącym zainteresowaniem. Zataczali coraz szersze spojrzenia wokół nieregularnych kształtów podmorskiej groty.

- Możemy już chyba powoli wydostawać się na powierzchnię, w tej temperaturze nie wytrwamy zbyt długo, słowa Olbrichta nabrały donośności, jak gdyby spotęgowane były przez tubę megafonu.

Załoga podążając za idącym na przód Olbrichtem wykonała kilkadziesiąt kroków, po czym skręciła w lewo, wchodząc do skalnego szybu, wysokiego na kilkanaście metrów, o precyzyjnie ociosanych ścianach. Dowódca U - boota, nacisnął przycisk, zamontowany na niewielkiej żeliwnej tablicy, doskonale wpasowanej w wykutą w skale wnękę. Po upływie kilkunastu sekund u stóp załogi otworzyły się drzwi obszernej, wykonanej z kwasoodpornego metalu windy.

- Zapraszam do środka, zwrócił się do małżeństwa Hitlerów dowódca, wskazując prawą dłonią wnętrze windy. Ta winda niestety nie należy do najszybszych, w zamian posiada ogromny udźwig, wykorzystywany do celów przeładunkowych. Musimy wjechać na czwartą, ostatnią kondygnację, proszę więc o cierpliwość.

- Nie mamy zamiaru jej tracić, wręcz przeciwnie, im dłużej będziemy jechać tym lepiej. Przejazd nią wywołuje miłe skojarzenia z windą w alpejskiej rezydencji Kelgstein. Znajduje się tam identyczny tunel wydrążony pośród litej skały, oznajmił fuhrer obserwując miernik wysokości.

- O ile mi wiadomo tutaj częściowo wykorzystano naturalny tunel lawowy. Zdaje się że jesteśmy na górze, na wyświetlaczu ukazała się cyfra 4, zauważył korvettenkapitan.

Załoganci opuścili obszerną windę, tuż za nimi zatrzasnęły się automatyczne drzwi. Stanęli na skalistym gruncie, zza ich pleców, z podnóża nabrzeżnych skał dobiegał łoskot fal, rozbijających się o skalisty klif. Szyje i głowy wtulili w kołnierze kurtek, marynarek i płaszczy, wokół nich przeciągały fale porywistego wiatru, niosące z sobą pisk przelatujących wokół albatrosów. W miarę przemieszczania się wytyczoną drogą, skaliste nabrzeże poczęło ustępować miejsca urodzajnemu krajobrazowi tropikalnej wyspy. Pobocza dróg porastały palmy daktylowe, zza nich wyłaniały się rozłożyste bananowce,

dalszą perspektywę porastały rozkrzewione opuncje, drzewa mandarynkowe i cytrynowce. Wspięli się na kolejne wzniesienie, zza bujnych figowców poczęły wylinać się czerwone połacie okazałego, willowego budynku. W odleglejszej perspektywie, na płaskowyżu, w otoczeniu pni strzelistych palm uwidoczniały się jednolite zabudowania, równomiernie rozlokowane na rozległej przestrzeni. Wprawniejszy ogląd mógł obraz ten, rozczłonkować na mury koszar, dachy pokryte czerwoną ceramiczną dachówką, słupy ogrodzeniowe, druty kolczaste składające się na całokształt wojskowej bazy.

- Dużo się tutaj zmieniło, nieprawdaż Ewo, od czasu naszego ostatniego pobytu? Zagadnął fuhrer trzymając żonę pod ramię.

- Pamiętam gdy w towarzystwie Francesco Franco siedzieliśmy na tarasie willi, ja nazywałam się jeszcze Ewa Braun, wokół roztaczał się dziewiczy widok, nietknięty dłonią człowieka, dzisiaj to niedokończony plac budowy. Pamiętam też zdjęcia z tamtej wizyty, opublikowane przez Allgemeine Zeitung, dopowiedziała wchodząc na pierwsze stopnie budynku Ewa Hitler .

Okazała budowla, od nazwiska jej niemieckiego architekta nazywana willą Wintera, w opinii małżeństwa Hitlerów pozostała w niezmienionej postaci. W dominującej części jednopiętrowa, rozłożysta budowla opatrzona dwuspadowym dachem, wspierała się na trójkondygnacyjnej wierzy. Niewielkie okna zdobiły piaskowcowe biforia, stylizowane na romańskich. Załoganci obeszlą od południowej strony willowy, rozległy dziedziniec, otoczony niskim krużgankiem.

- Dla utrzymania statusu incognito obecności fuhrera na wyspie, prosiłbym o niezdejmowanie marynarskiej czapki. Wybaczy fuhrer że ośmielałam się cokolwiek sugerować, ale wskazanym byłoby także ukrycie opadającej na czoło grzywki, i opuszczenie daszka nieco niżej, wszystko to dla powodzenia całego przedsięwzięcia. W prawdzie służba zatrudniona w willi jest pochodzenia hiszpańskiego i najpewniej nie kojarzy fuhrera z konkretnym wyglądem, nie mniej dla zachowania względów bezpieczeństwa należy unikać wszelkiego ryzyka, oznajmił przybliżywszy się do Adolfa Hitlera korvettenkapitan Olbricht.

- Rozumiem dobre intencje, nie zamierzam też oponować, zareagował fuhrer, wykonując sugestie korvettenkapitana.

- Buenos dias, senor Valques, korvettekapitan powitał wychodzącego z pomieszczenia na wprost, starszego mężczyznę, kłaniającego się nisko na widok grupy niemieckich oficerów.

- Buenos dias herr Olbricht, odpowiedział starszy mężczyzna, podając prawą dłoń.

- Wykonujemy właśnie próbny rejs nowym typem łodzi podwodnej, chcielibyśmy spędzić jedną noc w willi, jutro wracamy do Hiszpanii, oznajmił korvettenkapitan, nie zastanawiając się długo nad podaniem zastępczego powodu wizyty.

- Do usług herr Olbricht. Dla ilu osób mam posłać łóżka.

- Dla dwudziestu senor Valques. Kolację również proszę przygotować dla dwudziestu osób.

- Si, senor. Wszystko według rozkazu, zapewnił starszy, korpulentny mężczyzna o oliwkowej opaleniznie, znikający za półkoliście zwieńczonymi drzwiami.

- Miałbym jeszcze ostatnie życzenie, prosiłbym o nadmierne nieoddalanie się od willi, a w szczególności o niezapędzanie się w pobliże bazy wojennej. Nasz garnizon, znajdując się na terytorium neutralnego i zaprzyjaźnionego państwa, nie musiał oficjalnie poddawać się, ani też opuszczać jego terytorium. Któryś z przechadzających się niemieckich żołnierzy mógłby bez trudu rozpoznać fuhrera, oznajmił Olbricht łagodnym tonem.

- Wszystkie pańskie sugestie korvettenkapitan Olbricht są jak najbardziej trafne i niezwykle przez nas doceniane. Wysłuchuję pańskich słów z najwyższym uznaniem, ja ze swojej strony proszę o nietytułowanie mnie podczas pobytu na wyspie formułą mein fuhrer, słowa te mogłoby dobiec niepożądanych uszu, odpowiedział Adolf Hitler.

- Tak jest, zasalutowali wszyscy marynarze.

Wieczór spędzony na Fuertewenurze, rozpoczął się obfitym kolacją, przyrządzoną w zgodzie z hiszpańską tradycją kulinarną, gdzie dominowały owoce morza, w tym krewetki i langusty, lekkie pszenne pieczywo i białe, wytrawne wino. Całości wykwintnej kolacji dopełnił szeroki wachlarz barwnych owoców. Stanowiło to znaczące urozmaicenie monotonnej, marynarskiej diety. Fuhrer wraz z żoną zasiedli na tarasie willi, w tym samym miejscu gdzie wraz z niedawnym zwycięzcą hiszpańskiej wojny domowej, oddawali się roztaczaniu wizji o nieograniczonych perspektywach faszystowskich podbojów. Typowali na mapie świata państwa jakie stać się mogą ostatnimi redutami stawiającymi opór brunatnej ekspansji. Wskazywali państwa mogące wiązać najdłużej ekspedycyjne siły, zdolne stawić czoła wrogowi pod każdą szerokością geograficzną. Analizowali strategiczne położenie kontynentu azjatyckiego ze względu na bezcenne obszary roponośne, bogate złoża metali szlachetnych, potencjał prędzej czy później ujarzmionych Chin, przy udziale imperialnej armii japońskiej. Azja wraz Rosją sowiecką ujęta w niezłomne kleszcze wraz z cesarzem Hirohito, nie mogłaby długo stawiać skutecznego oporu. Indie po klęsce Wielkiej Brytanii w wojnie powietrznej, przeprowadzonej kilkoma uderzeniami sił Luftwaffe, pod dowództwem wiernego kompana dawnej niedoli Goeringa, szybko wypowiedziałyby posłuszeństwo królowi i dobrowolnie przeszły na stronę osi. Być może zostaliby tam utworzone kadłubowe państwa na wzór zamorskiej guberni - problem ten pozostawał wciąż otwarty. Wkrótce potem podporządkowane azjatyckie ludy, wprężnięte w aparat służby na

rzecz wzrostu potencjału Japonii i Niemiec, Włoch i Hiszpanii, wypracowałyby bajeczne bogactwo i militarną potęgę, której w żaden sposób nie mogłyby zagrozić wszystkie pozostałe państwa razem wzięte. Kolejnym etapem podbojów byłaby Afryka. Armia niemiecka wraz z włoską uchwyciwszy przyczółki w Egipcie, Libii, Algierii, Tunezji, Maroku posuwałyby się na południe. Przekroczyłyby subsaharyjskie obszary, wdzierając się na terytoria zamieszkane przez czarnoskórą ludność. Ciężkie uzbrojenie byłoby tam najzupełniej zbędne, czołgi i artyleria mogłaby pozostać w Libii i Egipcie. Wystarczyłoby kilkadziesiąt samolotów zwiadowczych i nie więcej niż kilkaset ciężkich karabinów maszynowych MG – 34, w starciach z tubylcami osobista broń żołnierzy w zupełności by wystarczyła. W zamian niezbędna mogłaby się okazać praktyka wyniesiona z afrykańskiego teatru działań I – ej wojny światowej, wypróbowane metody zapobiegania chorobom tropikalnym, insektom, nadmiernej wilgotności, wysokiej temperaturze. Nie musieliby też podbijać wszystkich napotykanym na swojej drodze państw. Włochy już wcześniej najechały Abisynię. Były niemieckie kolonie w Afryce wschodniej i południowo – zachodniej, z pewnością przyłączyłyby się do faszystowskiej krucjaty, pomne niegdysiejszego ładu i dobrobytu, jaki zaprowadziła tam niemiecka kultura. Australia poddałaby się wraz z kapitulacją Wielkiej Brytanii, wraz z nią Nowa Zelandia. Poważny problem stanowiłaby natomiast Ameryka Północna. Kanada, wiedząc o parasolu ochronnym jaki rozciągnąć może nad nią USA, z pewnością nie podda się wraz z pozostałymi dominiami brytyjskimi – tego już wówczas był pewien i pewnością tą dzielił się z zasłuchanym w roztaczane wizje, Franco. USA nigdy jeszcze niedoświadczone inwazją, oblana wodami dwóch oceanów, choć militarnie słabe, dysponowały nieograniczonym potencjałem, i gdyby tylko zdały sobie z niego sprawę – jak już wówczas twierdził – najdoskonalsza nawet flota i lotnictwo nie zdołałyby ich pokonać. Uznał wtedy że zdobyte doświadczenia nadchodzących kampanii, podsuną gotowe rozwiązania i nawet to, z pozoru niewykonalne przedsięwzięcie dojdzie kiedyś do skutku. Być może też stworzy cudowną broń w oparciu o ostatnie dokonania Nielsa Bohra w badaniach nad właściwościami rozszczepienia atomu, a wówczas żaden wróg nie będzie mógł czuć się bezpieczny. Dostrzegał wówczas błysk w oczach Franco, wyobrażającego sobie już podział łupów, ostatecznie jednak ociągał się on z formalnym przystąpieniem do osi, a z czasem okazało się że zdecydował się tylko na moralne i materialowe wsparcie. Ewa wówczas jeszcze Braun przysłuchiwała się wywodom kochanka z zapartym tchem. Siedzieli jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, zapatrzeni to w rozgwieżdżone niebo, to w pofałdowaną strukturę atlantyckich fal, ukazujących spienione grzbiety w księżycowym blasku.

- Jakże to było dawno – powiedział zamyślony fuhrer.

- Tak dawno że nie rozpoznaję się już na wielu fotografiach z tamtego okresu. Zmieniłam fryzurę, styl ubierania się, stosuję odmienny makijaż, odpowiedziała Ewa Hitler.

Wstali zza opustoszałego już stołu, doszli do wniosku że pozostali na tarasie równie długo jak wówczas, przed laty. Obeszli taras dookoła, raz jeszcze obrzucili wzrokiem górzystą okolicę. W oddali jaśniały światła niemieckiej bazy wojennej. Nocną ciszę przerywały raz po raz dochodzące stamtąd wytłumione odległością i trudne do określenia dźwięki. Oboje spojrzeli w tamtym kierunku.

-Pamiętam gdy zatwierdzałem projekt budowy pobliskiej bazy wojennej. Pamiętam sprawozdanie tego zdrajcy Canarisa z negocjacji z jej projektantem Gustawem Winterem, zatwierdzone przez Franco. Zobowiązałem się do dostarczenia niewolniczej siły roboczej z Niemiec, on z Hiszpanii.

- Niewolniczej siły roboczej? Zapytała z pobrzmiewającym w głosie zdziwieniem, Ewa Hitler.

- To znaczy,.....więźniów osadzonych w obozach resocjalizacyjnych, szpiegów, sowieckich kolaborantów, małwersantów mienia publicznego i wszystkich innych przestępców w niebieskich pasiakach, działających na szkodę narodu niemieckiego - starał się zatuszować swoją niedyskrecję Adolf Hitler.

- Ach tak i przywieziono ich aż tutaj? - w swoich dociekliwych pytaniach Ewa Hitler wydawała się być nieustępliwa.

- Ażeby wiedzieli że przed nazistowską sprawiedliwością nie ma ucieczki, że nie ma na ziemi takiego miejsca gdzie nie poniósłszy kary za swoją zbrodniczą działalność, można czuć się bezpiecznym.

- Co się później z nimi stało?

- Po osiągnięciu resocjalizacyjnego celu, powrócili do domów. Nie mówmy już o tym Ewo, podziwiamy w zamian uroki nocy na środkowym Atlantyku.

- Prawda, tak rozgwieżdżonego nieba w otoczeniu bezkresnej morskiej toni, jeszcze nigdzie indziej nie widziałam.

Ponad dwa kwadrans małżeństwo Hitlerów poruszało się po tarasie willi z zadartymi do góry głowami, wymieniając spostrzeżenia na temat kolejnej z rozpoznanych gwiazd. Wiatr, targający dotąd parasolami przeciwsłonecznymi nagle ustał, a w chwilę po nim odgłosy dobiegające z pobliskiej bazy. Wbrew zmiennym nastrojom otoczenia, nadal przecinali wzdłuż i w szerz kamienną posadzkę rozległego tarasu. Dopiero teraz docenili możliwość swobodnego poruszania się. Przemieszczania się w sposób nieograniczany niskimi stropami okrętu podwodnego, jego wąskimi korytarzami. Możliwość postawienia po raz pierwszy od dziesięciu dni nóg na stabilnym gruncie, była jedynym w swoim rodzaju doświadczeniem. Powracali do czynności tej z pewną obawą, czy na pewno osiągnięta równowaga okaże się trwała, czy nie zakłóci jej nagle drżenie i pochył ziemi na któryś z boków, jak miało to miejsce w przypadku rozchwianych burt okrętu.

Adolf Hitler wraz z żoną zapadali w sen wyzbywając się obaw o wystąpienie niespodziewanych bocznych turbulencji, o narastanie ciśnienia we wnętrzu schodzącego w głębinę okrętu, objawiającymi się utratą równowagi, bólami organów słuchowych i uciskiem organów wewnętrznych.

Zbudził ich gong zapraszający na śniadanie, tuż po nim korvettenkapitan Olbricht poinformował załogę siedzącą pod przeciwsłonecznymi parasolami o konieczności rychłego powrotu na okręt, jak twierdził wszystkie prace załadunkowe i konserwacyjne zostały już zakończone, uzupełniono też paliwo.

- Jeżeli mają państwo ochotę możemy w drodze na okręt, tym razem idąc plażą odwiedzić cmentarz więźniów, zmarłych na skutek niewolniczej pracy przy budowie bazy wojennej.

- Jacy więźniowie, jaki cmentarz. Przecież mówiłeś Adolf że szczęśliwie wrócili do domów, zagadnęła zdziwiona Ewa Hitler.

- Najwidoczniej niektórzy z nich zapadli na nieuleczalne, tropikalne choroby.

- Niekiedy odnoszę wrażenie Adolf, że ukrywasz przede mną wiele faktów.

- Niczego nie ukrywam. Korvettenkapitan Olbricht nie widzę żadnego sensu w zwiedzaniu cmentarza resocjalizowanych pracowników. Najlepiej będzie gdy do podwodnej przystani wrócimy poprzednią drogą.

- Tak jest, odpowiedział oficer.

Podobne zachowanie męża nie po raz pierwszy już wzbudziło zainteresowanie Ewy Hitler. Przypominała sobie gdy podczas pobytu w Berchtesgaden Heinricha Himmlera, Reinharda Heydricha, Martina Bormanna, podczas gabinetowych spotkań wymieniali pomiędzy sobą jakieś szacunkowe liczby, opiewające na kilka milionów. Podawali konkretne obszary Europy skąd owe miliony miałyby pochodzić. Przez długi czas kojarzyła je z milionami marek, mających trafić stamtąd do budżetu Niemiec, jednakże jej orientacyjne zaznajomienie z finansami państwa, nie pozwalało uznać szacunków tych za prawdziwe - liczby te były zbyt niskie. Wszelkie próby bliższego przysłuchania się rozmowie czołowych przywódców państwa, kończyły się ich milczeniem lub też podjęciem tematu zastępczego. Pytany o przyczyny podobnego zachowania Adolf zasłaniał się klauzulą tajności, poufnością tajemnic militarnych, wspominał o milionach sztuk rzeźnych zwierząt, niezbędnych do zaaprowidowania dziesięciomilionowej armii. Milionach ton płodów rolnych, milionach baryłek ropy naftowej, niezbędnej do napędzenia rozpędzonej maszyny wojennej. W podobnych sytuacjach wpadał w nieuzasadniony amok, stał się porywczy i nieobliczalny. Przypomina sobie gdy podczas rozmów z Adolfem Eichmannem wymieniali również pięć, sześć milionów szacunki. Adolf wówczas dopytywał ile kolejnych set tysięcy może zostać dostarczonych z wypowiadających sojuszy, Węgier. Jej ukochany wciąż nie był zadowolony, pokrzykiwał, gestykulował starając się wymusić na Eichmannie większe liczby. Nie zdobyła się wówczas na żadne pytania, stan ukochanego zdradzał wiele niepokojących objawów groźnych chorób, armie sojusznicze zbliżały się już do granic Niemiec, podobne pytania mogłyby wywołać tylko kolejne napady szału. Rozpoczął się okres w którym kontakt z ukochanym stawał się z każdym dniem bardziej ograniczony, nakładały się na niego kłopoty Adolfa ze słuchem, po zamachu w Wilczym Szańcu, kiedy to pękł bębenek w jego uchu. Wszystkie te przeciwności sprawiły że zachowała milczenie, wbrew wszystkim wątpliwościom i wnioskowi. Także podczas pobytu w berlińskim bunkrze, siedzący w gabinecie fuhrera, za politurowanym stołem Adolf, Martin Bormann i Josef Goebels wymieniali kilkumilionowe liczby. Goebels szczekliwym głosem przypisywał sobie zasługi zmylenia opinii publicznej, zapewniał że nawet Niemcy zamieszkali w najbliższym sąsiedztwie miejsc resocjalizacji nie widzą nic o dokonywanych tam praktykach. Na jej widok, wchodzącej do gabinetu Adolfa, praktykowanym zwyczajem wszyscy zamilkli, a później dla odwrócenia uwagi dopytywali, co będzie dzisiaj serwowane na podwieczorek. Wówczas również okoliczności nie sprzyjały podejmowaniu podobnych tematów, a stan ten utrzymał się do teraz.

Załoganci opuścili chodnik prowadzący do willi Wintera i skierowali się ku górzystym nabrzeżom oceanu. Powolna winda sprowadziła ich do podmorskiej groty. Zainteresowanie jej fenomenem, od momentu znalezienia się w niej po raz pierwszy w niczym nie osłabło. Z nieprzemijającym zachwytem podziwiali ten unikatowy twór natury. Później ich uwagę przykuły przelatujące tuż nad głowami nietoperze, zbudzone z dziennego snu, niespodziewanym wtargnięciem nieznanych im istot. Po raz pierwszy też mogli z większą uwagą i wnikliwością przyjrzeć się doskonale opływowym kształtom łodzi podwodnej najnowszej typu, jednemu z ostatnich przełomowych wynalazków pod sztandarem III – ej Rzeszy.

- Jeżeli mamy zgodnie z planem minąć równik musimy już wypływać, oznajmił wojskowym tonem korvettenkapitan Olbricht.

U – 996 nadal posuwał się na przód w pełnym wynurzeniu, pozostawiając za sobą smugę spienionej wody. Kilkugodzinny pobyt na tropikalnym słońcu wywołał u Adolfa Hitlera jeszcze gwałtowniejszy przypływ nagłej senności. Tuż po znalezieniu się w koi, zapadł w kataleptyczny sen, z którego nie zdołały go wybudzić usilne starania żony. Na nic się zdały próby oznajmienia faktu. krótkiego postoju w porcie Mindelo, na wyspie Vicente, jednej z kilkunastu wysp archipelagu wysp Zielonego Przylądka. Ewa Hitler za zgodą dowódcy, na mostku kapitańskim wypaliła długiego, wąskiego papierosa, obserwując zza kłębów tytoniowego dymu, górzysty krajobraz, zamykający z trzech stron świata, półkolisty port. Regenerujący siły fuhrer, dał się zbudzić dopiero podczas przekraczania równika, namawiany do wypicia zwyczajowego przy tej okazji,

toastu. Powstał z koi tylko po to, by oświadczyć że nie pija mocnych alkoholi, by zjeść odgrzewaną kolację i zapytać o przewidywany czas zacumowania w argentyńskim Mar del Plata. Na wymijającą odpowiedź dowódcy, że tak odległej podróży nie sposób szczegółowo przewidzieć ani też wyliczyć, zareagował z niedowierzaniem. Spojrzał zamglonymi oczyma na korvettenkapitana, poglądził się po okazałym już zaroście na twarzy i oznajmił niewyraźnym głosem że znowu, wzorem generałów w schyłkowym okresie wojny, nikt nie chce powiedzieć mu prawdy na temat aktualnej sytuacji. Na powrót jest zwodzony i omamiany i gdy tylko nadarzy się możliwość, całą załogę odeśle na front wschodni. W chaotycznych groźbach i gestykulacjach rozkazywał by przybić do najbliższego portu, ażeby mógł się wydostać na upragniony ląd i oszczędzić sobie dalszych trudów podróży łodzią podwodną. Na zapewnienie Olbrichta że najbliższym portem jest Stanley na brytyjskich Falklandach Malwiny, gdzie mógłby zostać niepostrzeżenie wysadzony, oburzył się jeszcze bardziej i stanowczo zabronił zawijania tam. Wyznał ma pograniczu jawy i snu że obawia się brytyjskiego internowania i odesłania do Europy, gdzie z pewnością wytoczono by mu sfingowany proces i skazano za niedocenione czyny, dokonane na rzecz dobra ludzkości. Wypytywał korvettenkapitana czy w czarnej, gęstej brodzie skrywającej wąski wąsik, nadal jest podobny do wizerunku znanego świata? Zaczesał włosy na przeciwną stronę, próbował ułożyć je w dwie równe połowy z wyraźnym przedziałkiem pośrodku, wypytywał też jak wyglądałby ogolony zupełnie na łyso? Georg Olbricht starał się wyperswadować fuhrerowi zamiysł zupełnego zgolenia włosów, zapewniał że zapuszczona broda odmieni jego wizerunek w sposób wystarczający, doradzał mu co najwyżej założenie okularów, ażeby mógł wyzbyć się ostatnich, nieuzasadnionych obaw. Uspokojony zapewnieniami Olbrichta, zapadł w kolejny senny letarg, donośnie chrapiąc.

Korvettenkapitana Olbrichta zaintrygowało, wyraźnie zauważalne, polepszenie się kondycji fizycznej fuhrera. Wyblakła, pergaminowa skóra na twarzy nabrała sprężystości i głębokiej cielistej barwy, skórne nawisy pod oczami wchłonęły się, zmarszczki wygładziły, cera nabrała rumieńców. W dalszej kolejności uwagę Olbrichta przykuła lewa dłoń fuhrera, dotąd bezwiednie trzęsąca się, teraz ustabilizowana, podporządkowująca się woli umysłu. Nie musiał już chować jej za siebie, czy też podtrzymywać. Zauważalne stawało się jeszcze nieznaczne drżenie, lecz nie odbiegało już ono znacząco od drgań obserwowanych u większości ludzi, szczególnie na skutek większego wysiłku. Wygląd fuhrera nasuwał teraz Olbrichtowi skojarzenia z pełnymi ekspresji przemówieniami z lat trzydziestych, twarz nabrała równie apodyktycznego wyrazu, a ciało dawnej gibkości i sprężystości. W uznaniu dowódcy długotrwały sen wywierał swój uzdrowicielski wpływ. Wycieńczony organizm fuhrera odzyskiwał dawną vitalność. Po długotrwałym okresie narkotyzowania się przebywał naturalną terapię dotoksykacyjną, antynarkotykową kwarantannę. Krótkotrwałe wybudzenia z kilkudniowego snu, fuhrer przeznaczał na zaspakajanie narosłego głodu. Pochłaniał wielodaniowe posiłki bilansujące porcje kalorii i witamin. Obfitsze porcje od serwowanych marynarzom, poparte zwiększoną ilością warzyw, powodowały że każde z wybudzeń stawiało przed załogantami postać fuhrera pełniejszego wigoru, człowieka o wzrastającej, życiowej ekspresji. Najbardziej zadowolona z poprawy stanu męża Ewa Hitler, po wielokroć dziękowała korvettenkapitanowi za wspaniałe warunki podróży, doskonale zbilansowane pożywienie, przemyślany dobór składników. Spostrzegłszy u męża spadek agresji, żyła nadzieją że nareszcie ich związek nabierze znamion normalności. Tuż po kolejnym, cyklicznym wybudzeniu kiedy to zapewniał że stworzą najszybszą parę w Ameryce Południowej, mówił o konieczności wychowania następczyni ukochanej Blondi, zapewniał o zakupie i ofiarowaniu żonie oryginalnej, inkaskiej biżuterii wykonanej ze złota i malachitu na powitanie południowoamerykańskiej ziemi, Georg Olbricht oznajmił że zbliżają się do nabrzeży argentyńskiego portu Mar del Plata.

- Mein fuhrer za kilka godzin wpłyniemy do doków Mar del Plata, jeśli fuhrer ma życzenie poprzez centrum radiolokacyjne mógłbym zawiadomić o naszym przybyciu kwaterę główną niemieckiego wywiadu na Zachodniej Półkuli w Nazistowskim Instytucie Iberoamerykańskim bądź Iberoamerykański oddział Niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Nie zachodzi taka potrzeba, korvettenkapitan Olbricht, nie życzę sobie by o naszym przybyciu stało się głośno w całej Argentynie. Wystarczy że na moje powitanie przybędzie rodzina Eichhornów i w dowód wdzięczności za ofiarowanie im pierwszego Mercedesa w Argentynie, użyczą nam swojej gościny w początkowym okresie naszego pobytu.

III

Berlin 2. V. 1945 roku, bunkier pod Kancelarią Rzeszy, godziny nocne.

Martin Bormann zatrzasnął za sobą drzwi jadalni opustoszałego bunkra pod Kancelarią Rzeszy. Nerwowymi gestami dłoni upewniał się czy na swoim miejscu, w kaburze, znajduje się wysłużony Luger wzór '09. Sprawdzał stan magazynka, pełen załadunek dziewięciu naboji wzmógł w nim poczucie bezpieczeństwa, do kieszeni wsunął dwa rezerwowe magazynki, po-

winno wystarczyć – uznał. Na ramieniu zawiesił znaleziony na korytarzu, oparty o ścianę MP 40, bez rezerwowych magazynków – zachnął, w razie potrzeby na pewno znajdą się w trakcie ucieczki. Do czarnego skórzanego pasa przypiął pochwę bagnetu do karabinu Mauser, na wypadek walki wręcz. Na głowę nałożył stalhelm, jeden z wielu porzuconych w pomieszczeniach bunkra. Przeładował pistolet maszynowy, upewniając się czy pierwszy nabój został wprowadzony do lufy. Większego poczucia bezpieczeństwa już nie jestem sobie w stanie zapewnić - stwierdził. Przesunął dłonią po mankietcie munduru chcąc przekonać się, że zaszyty tam testament Adolfa Hitlera znajduje się na właściwym miejscu. Opuścił salon, nie zamykając za sobą drzwi. Wilgotnym korytarzem skierował się ku wyjściu, jego uszu dobiegły dwa głuche wystrzały. Zapewne generałowie Burgdorf i Krebs popełnili planowane od kilku dni samobójstwo – wywnioskował. Pokonał pierwszy załom schodów, zakręcający pod półpełnym kątem, przed kolejnym, betonowym ciągiem betonowych stopni. Wymijał właśnie dwóch pijanych esesmanów, dla pewniejszego uchwycenia równowagi, obejmujących się za barki, gdy usłyszał za sobą znajomy głos oznajmiający, „Marin idę z tobą”. Odwrócił się, ujrzał zdesperowany wzrok doktora Stumpfeggera, drugiego lekarza fuhrera.

- We dwójkę będzie różniej, dodał tamten.

Przemierzył myślami na wskroś cały plan ucieczki, obecność kogokolwiek dodatkowego mogła zdekonspirować całość przedsięwzięcia. Nie mógł też zachowaniem swoim wzbudzać podejrzeń. W przypadku gdyby odrzucił propozycje wspólnej ucieczki, a Stumpfegger przeżyłby ją, bez wątpienia poinformowałby o tym fakcie opinię publiczną i wyszłoby na jaw, że on Martin Bormann, a w szczególności jego losy nie potoczyły się zgodnie z biegiem nakreślonym przez oficjalną historię.

- Trzymaj się mnie Ludwig, cokolwiek miałoby się nie wydarzyć podążaj tuż za mną.

- Gdyby któryś z nas,...wiesz co mam na myśli, ten który przeżyje musi zawiadomić rodzinę.

- Wiem co masz na myśli, jeśli nie chcesz by spotkało nas cokolwiek złego, lepiej na przyszłość nie wypowiadać podobnych wniosków głośno, oznajmił sekretarz fuhrera, stawiając pewnie kroki na kolejnych stopniach prowadzących wwyż.

- Racja Martin.

- Jeżeli gdziekolwiek znajdziesz porzuconą broń, podnieś i miej gotową do strzału.

Mówiąc to oboje pokonywali kolejne załomy schodów, prowadzących na powierzchnię ziemi. Zdania jakie wypowiadał Martin Bormann powstały niejako w zastępstwie myśli domagających się natychmiastowej werbalizacji, a dotyczących pozbycia się przy najbliższej, nadarzającej się okazji, niepożądanego towarzystwa doktora Stumpfeggera, jednocześnie nie znajdując sposobu na wybrnięcie z niezręcznej sytuacji. Nie mógł też w żaden sposób wzbudzać podejrzeń co do rzeczywistego celu opuszczenia bunkra, gdyby jakakolwiek informacja przedostała się do opinii publicznej, bądź też alianckich środków przekazu, jego dalsze losy mogłoby potoczyć się w nieprzewidywalny sposób.

- Musimy się nawzajem asekurować, powiedział do podążającego tuż za nim doktora.

- Oczywiście Martin, w tym właśnie celu przecież wypiliśmy hektolitry wódki.

Zamieszanie powstałe na skutek informacji o samobójczej śmierci fuhrera wraz z żoną, sprawiło że nikt nie zauważył momentu wymknięcia się z bunkra pod Kancelarią Rzeszy Maritna Bormanna, wraz z towarzyszącym mu Ludwigiem Stumpfeggerem. Wyszli betonowym włazem, uchylonym od kilku dni, wprost na ulicę targane podmuchami eksplozji. Sekretarz fuhrera wysunął się na czoło, Stumpfegger podążał w nieznacznym oddaleniu, nie tracąc z oczu krępej sylwetki Bormanna, oświetlanej raz po raz przez łuny wybuchów. Przemieszczali się wolnym krokiem, odruchowo pochylając się na dźwięk każdego, rozrywającego się pocisku, nawet tych upadających w dużej odległości. Uważnie nasłuchiwali i bacznie obserwowali możliwy do objęcia wzrokiem, krąg ruin. Przed nadlatującymi ze wszech stron pociskami kryli się za wrakami wypalonych, sowieckich czołgów, za ich odstrzelonymi kopułami, za gąsienicami wrytymi w ziemię. Z okien mijanych budynków wzywał ogień, smagający twarze biczami rozrzegwionych płomieni, trawiących drewniane elementy architektury. Przedzierając się pośród ruin wtulali ogorzałe twarze w kołnierze, przysłaniaли je zwisającymi połami mundurów. Nadlatujące pociski obniżały kąt lotu, rozrywały się pośród ruin okalających dawne, uliczne prospekty. Ich gwizd był na ogół groźniejszy od samych skutków ich wybuchu, powodował z niczym innym nieporównywalne uczucie zagrożenia i niepewności. Eksplozje zwykle okazywały się mniej groźne od wyobrażeń o nich, wstrząsały ziemią w znacznie bardziej odległym miejscu niż dotyczące ich przewidywania. Jeden z pobliskich wybuchów ogłuszyła Bormanna, podmuch fali uderzeniowej powalił go na kolana, na długo pozostawiając w uszach przenikliwy, niski ton, zagłuszający wszelkie inne dźwięki. Po upływie kilku minut sekretarz fuhrera z wolna odzyskiwał świadomość i poczucie rzeczywistości, odwrócił się za siebie, w kierunku miejsca skąd dobiegł go głos Stumpfeggera.

- Ludwig jesteś tam.

Ponowił pytanie. Nie uzyskując odpowiedzi wsparł się na pistolecie maszynowym, powstał i udał się w kierunku gdzie słyszalny był głos Stumpfeggera. Ominął szeroki krater po wielko kalibrowym pocisku, uchylił twarz przed sterczącymi prętami żelbetowej konstrukcji, chwycił równowagę po osunięciu się stóp na zwałowisku cegieł. Dostrzegł wystające zza wraku czołgu, czarne, oficerskie buty - podszedł bliżej. Wsparcie o gąsienice czołgu leżały nieruchomo zwłoki Ludwiga Stumpfeggera, jego mundur na piersiach i nogach postrzępiony i rozerwany, wskazywał na znalezienie się w najbliższym

sąsiedztwie eksplozji. Najpewniej podmuch wybuchu rzucił go na burtę czołgu, dodatkowo jeszcze ugodziły odłamki – wysnuwał wnioski, obserwując zakrwawione zwłoki towarzysza. Z narastającym smutkiem patrzył na okaleczone ciało, znali się przecież długie lata, sięgając myślami do przeszłości, przetoczył wzrokiem po ruinach okolicznych ulic. Nie czas na sentymentalne uniesienia, nie może ulegać tkliwym wspomnieniom, wojna trwa nadal, on w równym stopniu narażony jest na skutki ostrzału – powiedział w duchu. Poległemu kompanowi w niczym już nie może okazać się pomocny, nie miałby przecież dokąd przetransportować zwłok, ani też gdzie ich ukryć. Zmuszony jest martwić się o swoją skórę. Stmp-feggerowi nic już nie zwróci życia, ja przynajmniej pozbyłem się kłopotliwego towarzystwa - doszła do głosu myśl, długo dryfująca na powierzchni świadomości. Odzyskiwał z wolna słuch, zanim wykonał kolejny krok, starał się określić kierunek lotu świszczących ponad ruinami pocisków, usiłował zlokalizować miejsce ich wystrzeliwania. Bateria artyleryjska musi stacjonować na północy, na którejś z ulic dzielnicy Pankow. Korzystny zbieg okoliczności, zmierzając do dworca Lehrter musi udać się w tamtym właśnie kierunku, a więc w kierunku przeciwnym do miejsca gdzie wybuchają pociski ostatnich salw – uznał. Wojenny instynkt wytyczał najbezpieczniejsze przejścia pomiędzy nastroszonymi zwałowiskami betonu i metalu. Pomimo niewielu punktów odniesienia jakie przechowywała jego pamięć, które teraz przeistoczyły się w osypujące się zgłiszczca, nadal zachował orientację w berlińskiej topografii. Z obranego kierunku zbaczał w sposób świadomy, wywołany koniecznością wyminięcia groźących zawałem wypalonych ścian, stromych osuwisk nawarstwionego gruzu. Posuwał się wolno lecz z uwzględnieniem wszelkich zasad przebywania w mieście ogarniętym działaniami wojennymi. Mógł teraz wcielić w życie opowieści oficerów ewakuowanych spod Stalingradu, przedstawiających ze szczegółami specyfikę frontu, przebiegającego wzdłuż ulic, traktów kolejowych, magistrali. Gdzie szaniami nie do zdobycia okazywały się pospieszenie ufortyfikowane gmachy fabryk, domów handlowych, mieszkalnych bloków. Uliczne barykady zbudowane naprędce z płyt chodnikowych, wagonów tramwajowych, powalonych drzew, samochodowych wraków. Wyminął osuwisko gruzu stanowiące do niedawna którąś z secesyjnych kamienic przy Wilhelmstrasse, ukazujące czeluść dwukondygnacyjnej piwnicy. Widzialną perspektywę oświetlał pożar sąsiedniego apartamentu. Wzrok, utkwiony dotąd w niestabilnym gruncie, uniósł ku górze. Pośród nieregularnych, postrzępionych fasad zburzonych budynków, dostrzegł ruiny stacji metra Lehrter, opatrzone ocalałymi metalowymi tabliczkami, oznaczającymi kolejne z peronów. Zbliżył się do oznakowań toru czwartego przy peronie trzecim, w odległości kilkudziesięciu metrów dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Na zmianę, krył się on instynktownie za fasadą ruin dworcowej poczekalni, to wychodził na otwartą przestrzeń peronu. Bormann ostrożnym krokiem podszedł bliżej, w prawej dłoni mężczyzny dostrzegł zwiniętą w rulon gazetę. Znak rozpoznawczy wydawał się bardziej niż przekonujący. Nabral ufnosci, postąpił kilka kroków na przód.

- Guten abend, - wykrzyknął głośne słowa powitania, chcąc zagłuszyć echa eksplozji. Będąc już w odległości kilkunastu kroków, zapytał – Berliner Zeitung?

- Berliner, wydanie sprzed dwóch miesięcy, niczego nowego się pan z niej nie dowie, lecz w zamian nie pomyli mnie pan z nikim innym, oznajmił równie głośno mężczyzna wymachując sfatygowaną gazetą.

- Niczego nie muszę się dowiadywać, posiadam wystarczającą ilość wiadomości z ostatniej chwili, powiedział Martin Bormann, wyciągając dłoń na powitanie.

- Mam panu do przekazania kilka rzeczy i kilka informacji. Nieznajomy człowiek podał mu skórzaną torbę podróżną.

- Tutaj są wszystkie niezbędne instrukcje, tysiąc dolarów amerykańskich, dokumenty umożliwiające przedostanie się na południe Niemiec, umundurowanie pracownika służby leśnej - oznajmił nieznajomy z dającym się wychwycić obcym akcentem. Przyzwyczajony jest pan do noszenia munduru, nie będzie więc czuł się pan w nim nienaturalnie i tym samym nie wzbudzał podejrzeń. Służbową czapkę, mogącą uchodzić za wojskową, zamieniliśmy na kapelusz myśliwski. Przebrać się pan może w poczekalni dworcowej, należy się jednak spieszyć, awangarda oddziałów frontu ukraińskiego będzie tutaj najpóźniej dzisiaj nad ranem, lepiej ażeby nie zastali pana w tym mundurze. Z Berlina najbezpieczniej wydostać się tunelami metra, należy się kierować na południowy zachód.

- Dziękuję za tę wskazówkę, przez całe życie nie jeździłem berlińskim metrem.

- Jak wynika z wcześniejszych uzgodnień, oficjalnie udaje się pan do miejscowości Mittenwald w Bawarii, lecz za dalszą część ucieczki nasza organizacja nie bierze już odpowiedzialności, oznajmił rzeczowo nieznajomy.

- O dalszą część ucieczki zadba już inna, równie skuteczna organizacja. Za udzieloną pomoc czuję się szczególnie zobowiązany, nie posiadam niestety przy sobie z wiadomych powodów żadnych dowodów wdzięczności, zareagował Bormann.

- Pańską wdzięcznością były lata pracy na naszą wspólną rzecz, odpowiedział mężczyzna z każdym słowem, z coraz bardziej wyczuwalnym obcym akcentem. Na mnie już czas, powodzenia.

Nieznajomy mężczyzna nie odwracając się zniknął w podziemnym przejściu pomiędzy peronami. Martin Bormann uniósł lekką walizkę, pospiesznym krokiem skrył się w dworcowej poczekalni. Zdecydowanym ruchem dłoni odpiął klamry walizki, wydobył z niej zielony mundur rozwiesił na poręczu ławki. Przeszukał zawartość kieszeni noszonej przez siebie marynarki, znalezione tam dokumenty wraz z legitymacją partyjną położył na siedzisku. Zdjął z siebie brązowy uniform, odpruł mankiet i wydobył z niego testament fuhrera, po czym zwinął go w rulon i umieścił obok. Testament umieścił pod

wkładką na dnie kapelusza. W kilku pospiesznych ruchach ciała wzuł na siebie myśliwski strój, kolejno zamienił buty i nakrycie głowy. Sięgnął do bocznej kieszeni podróżnej walizki, zwitek zielonych banknotów wsunął do wewnętrznej, prawej kieszeni marynarki. Nim nowe dokumenty tożsamości umieścił w kieszeni po przeciwnej stronie, otworzył na czołówce książeczkę z napisem Personalausweis. Nazywał się teraz Johann Staubke, zamieszkały w Potsdamie, przy ulicy Erlenstrasse 5. Był pracownikiem Lasów Państwowych podległym Ministerstwu Lasów Rzeszy i myśliwym w jednej osobie – kolejny dokument stwierdzał przynależność do potsdamskiego koła łowieckiego. Następną stronę przedzieloną była kartką z maszynowym zapisem informującym że w przypadku kontroli, jako powód podróży może podać ucieczkę przed Rosjanami do leśniczówki w okolicach miejscowości Mittenwald w Alpach bawarskich, ostatniego miejsca pełnienia służby, co potwierdzało niewielkie zaświadczenie. Na dole kartki widniał zapis „Po przeczytaniu zniszczyć”. Kartkę tę dołączył do pliku dokumentów wydobytych z kieszeni wojskowego munduru. Wyprostował się i wykonał kilka gwałtownych ruchów ramionami, mundur wydawał się być szyty na miarę. Upewnił się czy rozmiar butów nie okazał się przypadkiem zbyt mały, przeciwnie, były co najmniej o numer większe. Są bardziej przewidujący niż sądziłem, wystarczyło podać używany numer, a profilaktycznie podesłali z bezpiecznym zapasem – stwierdził z satysfakcją. Stał na równe nogi, przytupnął obcasem o płytę chodnikową by stopa wygodniej ułożyła się na twardej podeszwie. Doskonale – uznał, wyglądam jak Goring podczas polowań w lasach okalających jego Carinhall, byleby tylko teraz odszukać właściwą drogę. Oparł o ławkę pistolet maszynowy, bagnet położył na siedzisku. Ujął pod pachę zrulowany mundur SS, w dłoni zacisnął plik zbędnych już dokumentów, pustą walizkę porzucił tuż przy ławce – mógł ją pozostawić któryś z wystraszonych wybuchami podróży – cicho dopowiedział. Rozglądając się wokół opuścił budynek dworca, przechodząc na drugą stronę kolejowej trakcji, zatrzymał się przy dopalających się żagwiach drewnianej butki dróżnika. Zdecydowanym gestem wrzucił do ognia mundur i jeden po drugim, trzymane w prawym nadgarstku dokumenty. Upewnił się że wszystkie z nich objęły płomienie, odcinające się od ściany ciemności jaskrawą linią konturów. Języki ognia trawiły z właściwą sobie wytrzymałością kolejne partie uniformu, posyłając w niebo kłęby smolistego dymu. Książeczka partyjna NSDAP, dowód tożsamości, zaświadczenia stwierdzające posiadanie przyznanych odznaczeń, ostatni rachunek za prąd opiewający na nazwisko Bormann, szybko przemieniały się w czerwone zarzewie, a strzępy ich ulatywały wraz z podmuchami wiatru, przenikającego na wskroś zwałowiska ruin. Ostatni raz spojrzął na wysłużony mundur tytularnego generała SS, na patki z runicznym zapisem dwu błyskawic, z jednej strony i trzema, długimi liśćmi dębu po stronie przeciwnej. Spoglądał z rozrzuwaniem na naramieniki z generalskimi dystynkcjami, zwęglane siłą potężnego żywiołu. Patrzył na nazistowskie odznaczenia znikające w płomieniach podsycających żar, dopalających się, drewnianych krokwi. Nawet najwnikliwsze ekspertyzy nie stwierdziłyby zawartych tam informacji – zamyślił się obserwując resztki swojej dawnej tożsamości. Tamten człowiek istnieje już tylko w mojej świadomości i jeśli mam przetrwać musi tam pozostać na zawsze – powziął postanowienie, obrzucając wzrokiem po raz ostatni przygasający ogień.

Sprężyste kroki skierował ku podziemnemu przejściu, pokonując kolejne schody nie mniej pewnym krokiem, zniknął w podziemiach, pozostawiając za sobą stukot obcasów wysokich myśliwskich butów, podkutych metalem. Odszukał zachowaną w nienaruszonym stanie tablicę informacyjną o kierunkach i godzinach odjazdów pociągów, chcąc przedostać się na południe Berlina musi skierować się w prawo do stacji Alexanderplatz, w następnej kolejności podążać zgodnie z kierunkiem południowo zachodnim do stacji Uhlandstrasse lub też Dahlemdorf, - dochodził do przekonania. Jeżeli nie napotka na drodze zawału w późnych godzinach rannych powinien znaleźć się na rogatkach miasta – uznał po szacunkowym określeniu odległości pomiędzy stacjami metra na mapie, umieszczonej w sąsiedniej gablocie. Przeszedł chodnikiem peronu kilkadziesiąt metrów, gdy ten kończył swój bieg, szedł wprost na kolejowe szyny. Starał się wydłużyć krok do rozmiarów stosowanego na defiladach, by każdy z nich obejmować mógł dwa kolejowe podkłady. Zanim jeszcze osiągnął odległość sąsiedniej stacji, osiągnął znaczną precyzję w wyciągniętym, defiladowym kroku. Bezbłędnie nakrywał stopą powierzchnię całego podkładu, nie zdarzyło się by podeszwa wysokiego buta omsknęła się po betonowym obrzeżu. Zbliżając się do kolejnej stacji dobiegły go odgłosy licznej grupy ludzi. Przystanął za łagodnym załomem ścian tunelu, przywarł całym ciałem do muru, z wolna posuwał się naprzód uważnie nasłuchując. Istniało prawdopodobieństwo że któryś z rosyjskich oddziałów zwiadowczych dotarł do najbliższej stacji metra, by uchwycić przyczółek w tej części miasta. Kroczył ostrożnie na przód, w rezonującym pogłosie urywanych dialogów, niosącym się tubalnym echem w zamkniętej przestrzeni, doszukał się zniekształconego brzmienia języka niemieckiego. Zbliżył się znacząco, mógł już wychwytywać znaczenie pojedynczych słów. Wyzbył się wszelkich obaw, to najpewniej cywilna ludność Berlina schroniła się przed ostrzałem w podziemiach metra, zgodnie z praktyką przyjętą podczas alianckich nalotów bombowych, na przestrzeni ostatnich lat, lecz wówczas służyły w tym celu specjalnie zaadaptowane schrony, teraz najwyraźniej zdesperowani ludzie, w popłochu, zbiegali do każdego napotkanego zejścia do podziemi. Pewnym krokiem zbliżył się do pierwszej gromady cywili rozlokowanych szerokim półkolem na terakotowych posadzkach peronu, przez chwilę obserwowali się w milczeniu. Takim samym obojętnym milczeniem powitaliby zapewne sowieckich żołnierzy wymierzających w nich lufy pistoletów maszynowych – pomyślał – ich zobojetnienie wydawało się być ostateczne i gotowe na przyjęcie każdej ewentualności. Ich brud-

ne i wycieńczone twarze, oberwana garderoba, ściskane w dłoniach resztki skromnego dobytku, rozrzucone dziecięce wózki wypełnione wszystkim, co w pierwszym odruchu chciałoby się zabrać ze sobą w podróż bez powrotu, stanowiły teraz karykaturę odbicia, dokonaną w krzywym zwierciadle historycznej prawidłowości. Skazującej dumny do niedawna naród na egzystencję wydziedziczonych wygnańców. Obwiał wzrokiem szerszy obszar stacji. Całą poczekalnię, ławki i chodniki wypełniały ściśle przylegające do siebie skupiska wygłodniałej i skrajnie wycieńczonej ludzkiej zbiorowości. Ze strzępów okrywających ich pierzyn wyzierały białe pierza, zabrudzone powłoki kleiły się do jeszcze brudniejszych ciał i ubrań. Ich spojrzenia mierzące zażywną postać Bormanna, odzianego w czysty, zielony mundur wydawały się wyrażać niemą prośbę o użyczenie im czegokolwiek do zjedzenia, wspomżenia czymkolwiek co podtrzyma ich kolejny dzień przy życiu. Martin Bormann przyspieszył tempo marszu. Pokonując podkłady kolejowe w tempie co drugi, spojrzał na czyste spodnie myśliwskiego munduru, na starannie wyprasowane poły marynarki. Jak na warunki pogrążonego w wojnie miasta wyglądam zbyt elegancko, mogę wzbudzić podejrzenia wprawnych alianckich ekspertów i psychologów, wychwytyjących spośród tłumu uciekinierów współpracowników upadającego reżymu – szybko pojawiły się trafne wnioski, nawet Brytyjczycy i Amerykanie z pewnością nikomu z nas nie przepuszczą zbrodniczej przeszłości. Przystanął, przesunął dłonią po śrubach łączących szyny z podkładami kolejowymi, osiadły pomiędzy palcami wilgotny smar wtarł w spodnie i marynarkę munduru, resztkami przybrudził twarz i włosy. Mógł już stanowić podobnie jak wszyscy mieszkańcy Berlina, dotknięci wojenną pożogą, integralny element jego wojennej estetyki. Przyspieszył kroku, kolejna stacja odsłoniła przed nim swoje wnętrza, zaadaptowane na potrzeby wojennego szpitala polowego. Na prowizorycznych pryczach zbitych ze skrzydeł drzwi, kilku desek wspartych na ceglach, dworcowych krzeseł zestawionych z sobą siedziskami, spoczywali obandażowani żołnierze, cywile, członkowie Volksturm i nieletni chłopcy w mundurkach Hitlerjugend. Amputowane kikuty rąk i nóg podwieszone na prowizorycznych temblakach, obficie krwawiły, nasączając bandaże karmazynową czerwienią. Spośród łóżek polowego lazaretu zwisały wężyki kroplówek, na posadzkach poniewierały się zwoje zużytych bandaży. Strugi krwi wyciekały spod sterty amputowanych kończyn. Kilku lekarzy wraz z personelem pomocniczym dokonywało pośpiesznych zabiegów i operacji, przedłużające się krzyki i pojękiwania dobitnie zaświadczały że dokonywane amputacje, zakładane szwy, przeprowadzane operacje dokonywały się bez znieczulenia, zapewne też bez udziału alkoholu. Niektórzy mniej ranni rekonwalescenci, z obandażowanymi głowami, podpierając się kulami przemierzali wzdłuż i wszerz chodniki dworcowej poczekalni. Potykali się raz po raz o ławki, porozrzucane hełmy, wojskowe pasy i wszelkie inne przedmioty będące na wyposażeniu oddziałów militarnych jak i dostarczone przez cywilów w przekonaniu uratowania ich przed grabieżcami w beżowych szynelach z czerwoną gwiazdą na czapkach. Nie mający nigdy wcześniej do czynienia z podobnie wstrząsającymi scenami Martin Bormann przyspieszył kroku, miał wrażenie że mijane podkłady kolejowe pozostawia za sobą z prędkością rozpędzonego pociągu. Rzucane na pobocza spojrzenia wydawały się doszukiwać analogii w obserwacjach czynionych w odległych już czasach, podczas jazdy pociągami dalekobieżnymi, jednakże tamte dokonywane były ze znacznie wyższej wysokości, co częstotliwość umykających podkładów czyniło bardziej spowolnioną, a znacznie większą prędkość, mniej odczuwalną. Nie miał zamiaru dłużej zastanawiać się nad prawami fizyki, przed nim roztaczał się horyzont znacznie bardziej doraźnych wyzwań. Zakładając że uda mu się bezpiecznie dotrzeć do południowych rogatek Berlina, zapewnić sobie musi bezpieczny transport na południe Niemiec, na same krańce alpejskiej Bawarii, zajęte już przez wojska amerykańskie. Posiada w prawdzie wiarygodne dokumenty, cel wyprawy także nie powinien wzbudzać podejrzeń, jednakże nie może przewidzieć jednego, od czego żaden człowiek nie może poczuć się wolny, niesprzyjającego biegu wypadków, niekorzystnego zrządzenia losu, gdzie z pozoru pobieżna kontrola, jedno przenikliwsze spojrzenie żandarma w jego twarz, nasunąć może szereg podejrzeń, skutkujących postępującą po sobie, lawiną nieprzewidzianych skutków. Nie pozostaje mu nic innego jak żywić nadzieje o wyminięciu podobnych przeszkód, na tych samych zasadach życiowego farta, jakie uchroniały go dotąd przed wszelkimi zagrożeniami, pozwoliły dostąpić zaszczytu pełnionych funkcji, a teraz zapewnić muszą bezpieczne dotarcie w miejsce, które wyznaczy mu nowe życiowe przeznaczenie. Wojskowym, marszowym krokiem pokonywał odległości pomiędzy kolejnymi stacjami metra, tabliczki informacyjne oznajmiały nazwy kolejnych z nich Dahlem Dorf, Krumme Lanke. Pozostawił za sobą tabliczki z napisem Eingang, kręte schody kierujące swój bieg ku berlińskim ulicom i ledwie dostrzegalne bliki dziennego światła. Niezmiennym tempem przemierzał się na przód. Ciemność podziemnego tunelu wydawała się rzednąć, miał złudzenie że rozprasza ją światło, wdzierające się do podziemi coraz większymi strumieniami. Nie uzyskał jeszcze pewności czy jest to rzeczywisty obraz, czy może złudzenie powstające za przyczyną zmęczenia, wywołanego zdarzeniami ostatnich dni. Zza mijanego zakrętu, wydostawał się, na wydawać by się mogło, nie mającą końca -prostą. Teraz mógł uzyskać już niezbity pewność że odbijające się od ścian tunelu bliki światła posiadały swoje źródło w dalekiej perspektywie, w półkoliście zakończonym wjeździe do podziemnego tunelu. Jeszcze jakieś dwa, może trzy kilometry, szacunkowo określił odległość dzielącą go od wydostania się na powierzchnię miasta. Nie mógł już bardziej przyspieszyć kroku pomimo że perspektywa powrotu na ziemskie łono tchnęła w niego dodatkowe siły. Wkrótce też niespodziewanie nadeszło opamiętanie, nie posiada przecież najmniejszego wyobrażenia co do miejsca w którym przyjdzie mu zachować pełną orientację, ustrzec się przed czyhającymi zewsząd zagro-

zeniami. Bez względu na fakt że była to część stolicy jego własnego kraju, jego ukochana ziemia której nigdy dotąd nie ważyłby się zamienić na jakąkolwiek inną, teraz jawiła się jak obca i nieprzyjazna, poprzez bolszewicki najazd, bezpowrotnie zhańbiona. Uczuł narastające działanie adrenaliny, przesączonej do krwi w sytuacjach równie nieprzewidywanych jak obecna. Czemukolwiek co miałoby go spotkać, najbardziej nawet nieprzychylnym zdarzeniom, za wszelką cenę musi skutecznie stawić czoła. Z opresji w jakiej się znalazł on i wszyscy państwowi decydenci musi wyjść cało, gdyby nawet miał być to tylko on jeden - powziął nieodwracalne postanowienie. Wraz z każdym krokiem światło drążyło większy wyłom w mrocznych ścianach tunelu, po pokonaniu odległość celnego karabinowego strzału, przenikało do jego wnętrza w sposób niczym nie ograniczony. Mógł już patrzeć pod nogi i nie ograniczać się tylko do wyćwiczonego ruchu bioder, ściśle regulującego długość każdego stawianego, kroku. Ściany tunelu rozszerzały się w postępie już nieproporcjonalnym do pokonywanej odległości, wydawały się skracać i rozszerzać szybciej niż jeszcze kilkadziesiąt przeszło wcześniej, zza półkolistych wrót wylaniać się poczęły kolejne kadry zburzonego miasta. Zszedł z trakcji na pochylnię, prowadzącą ku szerokim chodnikom. Wprost pod nogi spadła błękitna przysłona bezchmurnego nieba. Doznał uczucia porównywalnego tylko z porannym przebudzeniem, gdy słoneczne światło rozprasza ciemność zarannego zmierzchu i czyni jasnymi najmroczniejsze nawet myśli, blakające się o tej porze na powierzchni świadomości. Postawił pierwsze kroki na przeoranych wybuchami chodniku. Latarnie oświetlające perony dworca, przełamane podmuchami eksplozji, przylgnęły do kolejowej trakcji. W kilku miejscach wraz z szynami, betonowymi podkładami, w rozległych lejach, tworzyły nieprzebrniane kłębowisko. Wyrwane wraz z szynami zwrotnice i semafony sterowały wysoko nad ziemią, pochylając się nad drzewcami peronowych ławek. Gdzieś spomiędzy dworcowej poczekalni, a korytarza prowadzącego do podziemnego przejścia dobiegły Martina Bormanna podniesione głosy, przekrzykujących się mężczyzn. Zbliżył się na bezpieczną odległość. Byli to żołnierze Wehrmachtu, najpewniej gotowiący się do pospiesznej ewakuacji.

- Odpaliliście już tę przekłętą ciężarówkę?

- Tak jest herr hauptmann, musimy jeszcze zapakować kanistry z benzyną i przetoczyć z nieodległego wraku dwa koła zapasowe.

- Spieszcie się, za pół godziny będą tu Rosjanie.

- Tak jest herr hauptmann.

Martin Borman zbliżył się do hauptmanna wydającego krzykliwym, podniesionym tonem rozkazy kilku podwładnym. Trzydziestokilkuletni mężczyzna o blond włosach, ubrany w letni mundur Wehrmachtu spojrzał na niego z nieskrywanym zdziwieniem, zatrzymując wzrok na myśliwskiej czapce.

- Nie znalazłoby się jedno wolne miejsce w ciężarówce, wybieram się w tym samym kierunku, zapytał onieśmiałony przedłużającym się, krytycznym oglądem jego osoby.

- Przykro mi ale my nie wybieramy się na polowanie.

- Ja także nie herr hauptmann.

- Nie ma mowy, mamy komplet pasażerów, nie wiem czy ten gruchot wszystkich nas uwiezie, odpowiedział nerwowo hauptmann, obserwując poczynania podwładnych.

- Mam do zaoferowania coś na widok czego z pewnością zmieni pan zdanie, mówiąc to Martin Borman sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wydobywając stu dolarowy banknot. W oczach kapitana pojawił się błysk zdziwienia, towarzyszący możliwości nieprzewidywanego, łatwego zarobku.

- Prawie tak zielone jak mój mundur. Przy takiej ilości pasażerów, jedna osoba mniej czy więcej nie będzie stanowić różnicy.

- Dobrze ale siedział pan będzie pod plandeką i nikomu o prezencie ani słowa. Oznajmił pospiesznie hauptmann wpychając banknot do kieszeni spodni.

- Po panu także spodziewam się milczenia.

- Jedziemy na południowy zachód, tam pierścień sowieckiego okrążenia jest najcieńszy. Liczne kanały wodne, jeziora, gęste lasy stwarzają szansę na przebicie się, przy odrobinie szczęścia wydostaniemy się z okrążenia. W dalszej kolejności planujemy przebić się do ostatniego bastionu obrony w Alpach, gdyby się to nie udało, w ostateczności poddamy się Amerykanom.

- Przecież mówiłem że jedziemy w tą samą stronę.

- Dobrze już dobrze, niech pan wsiada, za kilka minut odjeżdżamy.

Martin Borman zbliżył się do ciężarowego Opla Blitz. Trzej żołnierze w pośpiechu montowali do obejm koła zapasowe, trzej inni podawali czwartemu żołnierzowi pełne kanistry, ten ustawiał je obok siebie na platformie pod obwisłą plandeką.

- Wsiadać, wszyscy wsiadać, zakomenderował hauptmann.

Jeden z szeregowców podał Bormannowi dłoń, pomagając mu w ten sposób dostać się na platformę. Silnik zawył na wysokich obrotach. Ciężarówka zatrzęsła się najeżdżając na rozrzucone po chodniku cegły i większe kawałki gruzu. Jeżeli tym gratem wydostaniemy się z Berlina to będzie prawdziwy cud, powiedział jeden z żołnierzy.

Za podwiązanej plandeki wyłaniały się kolejne sekwencje obrazów charakterystycznych dla zburzonego miasta. Jadąca wolo ciężarówka zamaszystymi wymijała zwalone na chodniki i pobocza jezdni konary drzew, sterty granitowej kostki rozrzucone eksplozjami, powstałe na ich skutek głębokie leje. Zgarniała zderzakiem na pobocza jezdni kłęby przewodów trakcji elektrycznej, słupy kierunkowskazów, cokoły miejskich latarni. Przejeżdżała obok rozkładających się trupów koni, dopalających się wraków wozów, samochodowych karoserii. Ciężarówka, donośnym sygnałem klaksonu rozpędzała na pobocza kolumny cywilnych uciekinierów, tuż po jej przejeździe spajające się w ciasne szeregi. Wszędzie wokół pojawiał się zawodzący dźwięk nadlatujących rosyjskich myśliwców, wypatrujących ostatnich bastionów obrony. W czasie gdy dźwięk ten się nasilał, kierowca zjeżdżał na pobocze, zatrzymując samochód w bezruchu, do czasu gdy niepokojący pogłos oddalał się. Ciężarówka pokonywała półkoliste mosty nad uregulowanymi dopływami rzeki Haveli, zburzone balustrady mostów wystawały ponad powierzchnię wzburzonej, zanieczyszczonej bitewnym pyłem, wody. Ich nurt spławiał wszystko w co mogła go zasilić wojenna zawierucha - na wpół spopielone drewniane krokwie i legary zburzonych budynków, wywleczoną z domostw pościel, zawartość szuflad i szaf, sterty nasiąknięch wodą papierów, pozostałości mebli, nabrzmiałe zwłoki psów i wszelkie inne, niemożliwe do rozpoznania niezatapialne atrybuty przetaczającej się przez miasto – wojny totalnej.

Możliwość pokonywania tak trudnego terenu, ciężarówka zawdzięczać mogła tylko wysokiemu zawieszeniu i dużemu prześwitowi. Taranowane przedmioty najróżnorodniejszego pochodzenia i przeznaczenia, składające się na uliczne zatory, znikwały pomiędzy jej kołami jak pod gąsienicami czołgu, lecz w przeciwieństwie do niego, mogła wjeżdżać na lekkie mosty nad śluzami i groblami, pokonywać jazy łączące przylegające do siebie jeziora w zachodniej części Berlina. Zjazdy z nich wiodły wprost do zadrzewionych obszarów, z jednej strony łączących się z rozległymi parkami z innych zaś, przepłatającymi się z duktami gęstych, liściastych lasów. Podczas wjazdu na jeden z nich, Opel Blitz dostał się pod silny, móżdżerowy ostrzał, rozłokowanej najwyraźniej w niedużym oddaleniu sowieckiej baterii. Pociski granatników wybuchły w kilkudziesięciometrowym oddaleniu, stale się przybliżając. Żołnierze siedzący na ławkach naczepy bez chwili zastanowienia, odruchowo położyli się na podłodze, jeden obok drugiego. Gwałtownie nabierający prędkości samochód, zbliżający się do lizjery lasu, najwyraźniej uniemożliwiał ustalenie namiarów i kontynuowanie ostrzału, a gęsta knieja zamknął za ciężarówką, drzewiastą kurtynę półmroku. Kierowca mógł już wytracić niebezpieczną dla wyeksploatowanej ciężarówki, prędkość. Poruszał się równomiernym tempem po szutrowej nawierzchni, raz po raz zmuszony przyhamować przed masywnymi odnogami korzeni, wystającymi ponad powierzchnię leśnego duktu. Minawszy je gwałtownie przyspieszył, z szoferki dobiegały niepokojące odgłosy, nerwowych komend. Wciąż nabierająca prędkości ciężarówka wprawiała w turbulencje naczepę, wraz z jej metalową konstrukcją. Drgające pręty podtrzymujące plandekę, sprawiały wrażenie urywania się z klamer mocujących je do obu drewnianych burt. Koła, wpadające w zagłębienia drogi, podskakując na wystających korzeniach, powodowały złudzenie, że rozbujana plandeka w każdej chwili może odłączyć się od ciężarówki i znaleźć się na wyboistym duku. Wokół rozległ się odgłos serii z pistoletów maszynowych, po chwili zawtórował mu podobny, nieco niższy w donach, dochodzący z innego kierunku. Po upływie kilkunastu sekund leżący na podłodze platformy żołnierze, bez trudu określali kiedy rozlegają się wystrzały z niemieckiego MP40, a kiedy magazynki opróżniają rosyjskie PPSZ-e. Leśną ciszę przeszywał gwizd lecących wzdłuż plandeki pocisków na przemian z metalicznym stukotem dziurawionej blachy w przedniej części karoserii. Pasażerowie bardziej jeszcze przywarli do drewnianej podłogi, podwoziem targnął krótki, urywany wstrząs, a po chwili zapanowała cisza. Stłoczeni na podłodze żołnierze podnieśli się i skierowali wzrok ku tyłowi, na widzianą zza uchylonej plandeki umykającą drogę. Pozostawiali za sobą staranowany szlaban sowieckiej kontroli i trupy trzech żołnierzy w jasnobrązowych drelichach i zielonych hełmach. Z lasu wybiegło jeszcze czterech czerwonoarmistów, ich ruchy zdradzały stan upojenia alkoholowego. Nieporadnie trzymane pistolety maszynowe rozsiewały urywane serie na konary i gałęzie, wysoko ponad dachem ciężarówki, gdy zdolali oni skoordynować ruchy i wziąć na cel oddalający się pojazd, magazynki automatów były już puste. Żołnierze Wehrmachtu zajęli miejsca na ławkach wzdłuż obu burt. Głośno dyszący Bormann wziął kilka głębszych wdechów powietrza – nie wile brakowało, wyszeptał cicho.

Dwie sowieckie armie, tworzące w pośpiechu pierścień okrażenia na zachodnich rogatkach miasta, nie zdążyły jeszcze wystarczająco ufortyfikować zajętych pozycji. Jako jeden z prowizorycznych punktów kontrolnych wykorzystali przedwojenny niemiecki szlaban, zagradzający prywatnym samochodem wjazd do tej części lasu – snuł przypuszczenia Martin Bormann, utkwivszy wzrok w znikający w oddali, rozbity szlaban sowieckiej kontroli. W miarę pokonywania kolejnych kilometrów wyboistego, leśnego duktu, gęste poszycie lasu poczęło się z wolna przerzedzać. Ku niebu pięły się najwyższe i najstarsze drzewa, pomiędzy których prześwitywały otwarte, zieleniące się przestrzenie podmiejskich łąk i pastwisk, zagrodzone drewnianymi barierkami o omszałych i zmurszałych żerdziach. Był to ostateczny dowód na potwierdzenie przypuszczeń o wydostaniu się poza rubież miasta. Kierowca rozpędzonej ciężarówki nie bacząc na trzęsące się podwozie i silne boczne turbulencje, pokonywał utwardzone drogi podberlińskich wsi. Spod kół rozpryskiwały drobne kamienie, wraz z wzbijającym się w powietrze pyłem, opadały na trawiaste pobocza. Utwardzone kamiennym tłuczniem, drogi łączyły się

na dłuższych odcinkach z drogami o asfaltowej nawierzchni. Zwarta wiejska zabudowa rozciągała się na dłuższych dystansach, z rzadka dotrzymując towarzystwa przydrożnym słupom i wiekowym lipom. Szybko przemieszczająca się ciężarówka pozostawiała za sobą drogowskazy, rozstawione na skrzyżowaniach i rozstajach dróg, niemożliwe do odczytania, dla siedzącego na ławce, w tylnej części platformy, Bormanna. Tym razem musiał on powierzyć swój los w ręce, niższego stopniem, nieznanego sobie żołnierza - kierowcy co stanowiło nie mały dyskomfort dla nazistowskiego decydenta, przywykłego do wydawania dyspozycji niezliczonemu gronu podwładnych. Przyzwyczajonemu do stosowania się do rozkazów padłych tylko z jednych ust, ust samego Adolfa Hitlera. Pozostawało mu tylko żywić nadzieję że hauptmann trzyma w kabinie, na kolanach otwartą mapę Niemiec i wskazuje kierowcy właściwy południowo zachodni kierunek jazdy. Siedzący na ławkach naczepy, obok siebie żołnierze Wehrmachtu w stopniach od gefreitra do oberfeldwebela nie wymieniali pomiędzy sobą żadnych spostrzeżeń. Nie dzielili się też wnioskami, nie przeklinali podczas nagłego ostrzału, gdy musieli kłaść się na podłódze, siedzieli pogrążeni w zupełnym milczeniu, unikając wzajemnej obserwacji. Czy działo się tak w reakcji na hałas, skutecznie zagłuszający każde najgłośniejsze nawet wypowiedane słowo, czy może w wyniku paraliżującego strachu i stresu? Najpewniej z obu tych przyczyn jednocześnie – snuł domysły obserwujący żołnierzy, Bormann. Jedyną czynność na jaką się zdobywali, było wzajemne częstowanie się papierosami, palonymi zachłannie w przekonaniu uśmierzania narastającego niepokoju, i oddalenia go wraz z wydychanym dymem.

Najpewniej pomimo młodego wieku i niewielkiego na ogół wojennego stażu doskonale zdawali sobie sprawę co oznaczać może sowiecka niewola. Nieprzestrzeganie konwencji genewskich, deportowanie jeńców wojennych do obozów przymusowej pracy, najczęściej za kołem polarnym, rozstrzeliwanie słabych i wycieńczonych. Nie wiedzieli wszakże o jednym, o okrucieństwie z jakim potraktowano trzy miliony sowieckich jeńców dostających się do niemieckiej niewoli podczas ofensywy z '41-go roku. O zamykaniu dziesiątek tysięcy na małym obszarze za kolczastym drutem, gdzie zmuszani byli do kopania prowizorycznych ziemianek, głodzeniu ich i skazywaniu na epidemie śmiertelnych chorób. Gdyby dowiedzieli się o skazywaniu ich na eksperymenty z udziałem gazów trujących, o zagazowaniu grupy sześciuset sowieckich jeńców podczas pierwszej próby jednej z komór gazowych Auschwitz, ich spojrzenie na los niemieckich żołnierzy dostających się do rosyjskiej niewoli zapewne uległo by zmianie. Patrząc na młodych żołnierzy siedzących naprzeciw, rozważał ich szanse na przetrwanie w rękach wschodniego wroga, gdyby miało nigdy nie dojść do niemieckich aktów bestialstwa. Czy hordy azjatyckiego barbarzyństwa jakie wlały się na terytorium Niemiec, zdolne były traktować jeńców w sposób cywilizowany? Czy zdolne byłyby ustrzec się gwałtów i przemocy wobec ludności cywilnej? Z pewnością nie, tak więc nie ma powodów do posypywania sobie głowy popiołem, skutki sowieckiego najazdu byłyby w obu tych przypadkach identyczne. Rozważaniom tym towarzyszyło baczne obserwowanie mijanych tablic drogowych, próby odczytania ich treści. Największe z kierunkowskazów zezwalały na odczytanie nazw większych miast, przemukały napisy Magdeburg, Halle. Bacznie je obserwując znużony monotonią podróży Martin Bormann kontynuował swoje rozważania i dochodził do wniosku, że błędy popełnione wobec trzymilionowej armii sowieckich jeńców mogły zaważyć na dalszych losach prowadzonej wojny. Wystarczyło tylko spełnić ich gorejące życzenia i przebrać ich w niemieckie mundury, poddać niemieckiemu dowództwu od szczebla oficerskiego wzwyż, już wówczas w '41-ym stworzyć pomocniczą armię, na wzór utworzonej później Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej pod dowództwem Kamińskiego, czy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej pod dowództwem Własowa, a losy kampanii moskiewskiej potoczyłyby się innym torem. Wzięliby krwawy odwet na znienawidzonym Stalinie. Wojna na wschodzie zakończyłaby się już w grudniu '41-go i nie doszłoby do rzezi milionów niemieckich chłopców w późniejszych walkach, chłopców w niczym nie różniących się od tych siedzących teraz wokół niego. Młodych ludzi, czujących strach i lęk, walecznych i odważnych lecz w granicach ludzkiego rozsądku. Z pewnością nie jak chciałby fuhrer, niezniszczalnych w beznadziejnym, śmiertelnym boju z którego nie powróciłby żaden ze Spartan Leonidasa, żaden z nieznanających uczucia lęku hinduskich Gurkhów, wcielonych do brytyjskiej armii, żaden z nieustraszonych Indian spod Little Big Horn. Tak, wystarczyło wtedy wykorzystać ten potencjał, lecz fuhrer zadufany w swojej nieomyślności, bezgranicznie ufający w niezniszczalność niemieckiego oręża odrzucał wszelkie sugestie. Już wówczas latem i jesienią '41-go niewłaściwie oceniał potencjał Wehrmachtu, możliwości zbrojeniowe, wierność sojuszników, zaopatrzenie w surowce mineralne, ogólny potencjał Niemiec podejmujących walkę z państwem ubogim wprawdzie w technologie, lecz bogatym w wszelkie zasoby siły ludzkiej i zasoby naturalne. Państwem rozległym, mogącym dyslokować na bezpieczne obszary tysiące fabryk i wszystko co zmieścić się może na kolejowe platformy. Już wówczas zaobserwował u fuhrera niepokojące objawy utraty kontaktu z rzeczywistością, lecz jakiegokolwiek próby wyperswadowania podobnych zachowań kończyły się w jeden tylko przewidywalny sposób, wybuchem nieposkromionej furii. Nie podejmował więc dalszych starań przekonania go, zmuszony był szukać innych sposobów na wybrnięcie z krytycznej sytuacji. Z przedłużających się rozważań wytrącił Bormanna szybko przemykający napis na jednym z drogowych kierunkowskazów, miał wrażenie że drogowskaz wskazywał drogę i odległość do Erfurtu, Weimaru, Jeny. Tak więc wszystkie obawy były bezpodstawne, zmierza we właściwym kierunku, żadna z rosyjskich dywizji nie mogła dotrzeć tak daleko na zachód.

Rozpędzona ciężarówka nie zmniejszała tempa jazdy, drgania i wibracje tylnego mostu przenosiły się na całą drewnianą

platformę. Trzęsący się wraz z pozostałymi pasażerami Bormann, dotychczasowe rozważania zamienił na słowa modlitwy. Wypowiadał szeptem wersy będące kompilacją kilku zapamiętanych litanii, zadziwiony potrzebą uciekania się do tym podobnych pocieszciskich gestów, niepraktykowanych od nie wiedzieć jak dawna. Zwracał się w nich z prośbami do opatrności boskiej, by egzemplarz Opla Blitz o numerach rejestracyjnych których nie zdążył zapamiętać, opuszczający fabrykę w Russelsheim nad Menem, zapewne przed kilkanaście laty, okazał się równie bezawaryjny jak większość niemieckich samochodów, posiadał niezawodny silnik i równie wytrzymałe zawieszenie. Ciężarówka niespodziewanie zahamowała z piskiem wszystkich sześciu opon, wstrząs wywołany nagłym zatrzymaniem się, zmiotł z ławek większość żołnierzy. Na wiele się zdały żarliwe modlitwy – pomyślał Martin Bormann, starając się uchwycić równowagę. Słyszał jak drzwi kabiny otwierają się i toczy się dialog przeplatany obco brzmiącymi słowami.

Z pewnością nie jest to rosyjski - powiedział jeden z żołnierzy- trochę go poznałem będąc na froncie wschodnim.

Urywane strzępy słów dobiegające z przodu samochodu nawiązywały do dokumentów, celu podróży, ilości przewożonych osób. Próby ich rozszyfrowania przerwał Bormannowi widok żołnierza w amerykańskim mundurze, wymierzającego w załogę ciężarówki karabin Garand, przez otwartą, tylną ścianę naczepy. Wszyscy żołnierze wraz z nim podnieśli ręce do góry.

- My wszyscy jesteśmy z Wehrmachtu, nie ma tu nikogo z SS, oznajmił łamaną angielszczyzną jeden z żołnierzy.

- Wszyscy wysiadać z podniesionymi rękami, rzućcie broń na ziemię i odepnijcie pasy, powiedział niemiecki tłumacz, wykonując zamaszty ruch prawą dłonią, nakazujący szybsze wykonywanie rozkazów.

Pojedynczo wysiadający żołnierze jeden po drugim, załomotali ciężkimi butami o gruntową, kamienistą drogę, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Wkrótce Martin Bormann stał ze splecionymi za głową dłońmi, w długim szeregu, wizytowanym przez tłumacza i dwóch amerykańskich oficerów w czarnych okularach, zasłaniających górną połowę twarzy.

- Oficerowie wystąp, rozbrzmiało przetłumaczone rozporządzenie majora, dowodzącego amerykańskim posterunkiem. Dwóch spośród stojących żołnierzy wykonało trzy kroki na przód. Dwaj Amerykanie i tłumacz zbliżyli się do stojącego na baczność Bormanna.

- A pan w tym mundurze wybrał się na polowanie na Rosjan, Brytyjczyków czy Amerykanów, zapytał w prześmiewczy sposób tłumacz, chcąc uprzedzić słowa towarzyszących mu oficerów.

- Nie zamierzam polować na nikogo z nich, odparł bez cienia żartobliwego tonu w głosie Martin Bormann.

- Wiemy, wiemy, wy wszyscy jesteście bez winy, a strzelacie tylko do kaczek i zajęcy.

- Jestem pracownikiem Ministerstwa Lasów Rzeszy i myślę w jednej osobie.

- Jeżeli okaże się to prawdą będzie mógł pan nadal oddawać się swojej myśliwskiej pasji, jeżeli nie podzieli pan los kompana z branży myśliwskiej, Goeringa. Pana i dwójkę oficerów zapraszam do namiotu, oznajmił w jednoznaczny tłumacz

- Martin Bormann wraz z dwoma oficerami Wehrmachtu udali się we wskazanym kierunku, zatrzymali się przed wejściem do półkolistego, polowego namiotu. Na polowych łóżkach leżeli zobojeźniali na wszystko wokół żołnierze, jak gdyby wojna od dawna się dla nich skończyła. Pistolety maszynowe Thompson stały oparte o polowe łóżka, w oddali na statywach karabiny Garand. Pod łóżkami poniewierały się puste butelki po coca – coli i pudełka po papierosach i zapalniczkach, opakowania po czekoladzie i gumie do żucia. Tylna część namiotu pełniła funkcję szpitala polowego.

- Came on, Came on, ponaglał jeden z dwóch amerykańskich oficerów, siedzących za niewielkim rozstawnym stołem, zaślany mapami, blankietami urzędowych druków, anglojęzycznymi gazetami, pełnymi popielniczkami. Obok nich stał tłumacz. Czekający przed namiotem postąpili kilka kroków naprzód, wyminęli dwóch wychodzących amerykańskich żołnierzy i stanęli naprzeciw stołu.

- Wasze papiery, oznajmił obojętnym głosem tłumacz. Trzej stojący mężczyźni sięgnęli do kieszeni kurtki, wydobywając z nich sfatygowane pliki dokumentów. Jeden z oficerów otworzył książeczki wojskowe żołnierzy Wehrmachtu, przetarł kciukiem zdjęcie i wnikliwie przyjrzał się twarzom ich wszystkich, po czym spojrzał pod światło na każdą z kartek dokumentów. Starszy stopniem oficer rzucił kilka szybkich słów w kierunku tłumacza.

- Zdejmijcie kurtki mundurów i podnieście lewe ramię do góry.

Oficerowie Wehrmachtu bez zwłoki wykonali polecenie. Starszy stopniem oficer niechętnie podniósł się zza stołu i powolnym krokiem zbliżył się do żołnierzy, z wyraźną niechęcią wykonując regulaminową procedurę. Uważnym wzrokiem przyjrzał się okolicom lewej pachy w poszukiwaniu wytatuowanego symbolu SS.

- OK, wyrzekł mruklwym głosem, po chwili siedział już za stołem i wydobywał z wygniecionej białej czerwonej paczki, papierosa Lucky Strice. Niedbałym gestem sięgnął do kieszeni po ciężką metalową zapalniczkę typu Zippo, podrzucił ją dwukrotnie w prawą dłoń po czym odpalił trzymany w kąciku ust papierosa. Niewyraźnym charakterem pisma wypełnił dwa z kwestionariuszy, uzupełniając je danymi zaczerpniętymi z książeczek wojskowych, na koniec podstemplował okrągłą pieczęcią i wypowiedział kilka słów do tłumacza.

- Możecie się ubrać, oznajmił tłumacz, zziębniętym oficerom. Uzyskaliście status jeńców wojennych. Do czasu przeka-

zania was do obozu jenieckiego zostaniecie umieszczeni w miejscu tymczasowej koncentracji. Odprowadzi was eskorta i pozostaniecie tam przez dwa, trzy dni. Oficerowie wsłuchiwali się w słowa tłumacza z niesłabnącym zainteresowaniem, starając się równocześnie nałożyć na siebie koszule i kurtki mundurów. Zanim jeszcze tłumacz zakończył swoją kwestię, obok dwójki Niemców pojawili się dwaj żandarmi wojskowi. Niemcy przemknęli wzrokiem po ich sylwetkach, zatrzymując wzrok na białych opinaczach butów i zielonych hełmach z wypisanymi białą farbą, literami MP. Drugi z oficerów amerykańskich skinął dłonią na stojącego nieruchomo Martina Bormanna, ten zbliżył się do stołu. Oficerowie na jego widok wymienili pomiędzy sobą kilka głośnych spostrzeżeń.

- Jakiej formacji mundur nasi pan na sobie, zapytał tłumacz.

- Jest to mundur pracownika służby leśnej, podległej Ministerstwu Lasów Rzeszy.

- Pańskie dokumenty, kontynuował tłumacz.

Bormann wydobyl z wewnętrznej kieszeni kurtki niewielkich rozmiarów legitymację i podał amerykańskiemu oficerowi.

- Jestem także członkiem potsdamskiego koła łowieckiego co stwierdza jeden z dokumentów, nie należę do żadnej organizacji militarnej.

- Starszy stopniem oficer otworzył dokument na czołowej karcie. Johann Staubke, zamieszkały w Potsdamie przy ulicy Er-lenstrasse 5. Oficer wraz z tłumaczem wymienili pomiędzy sobą krótki dialog.

- Z jakich powodów więc znalazł się pan pomiędzy Halle a Weimarem, nie przyjechał pan chyba na doroczne polowanie?

- Przede wszystkim nie chciałem mieć najmniejszego kontaktu z Rosjanami, nie odróżniających munduru leśnika od jakiegokolwiek innej formacji zbrojnej. Ponadto zamierzałem dostać się do podległej mi placówki w okolicach Mittenwald, leśniczówki o nazwie Altersberg w Alpach bawarskich, gdzie pełniłem służbę przez ostatnie trzy lata, albowiem poinformowano mnie że nieznane jednostki wojskowe, najprawdopodobniej SS, podczas mojego pobytu w Potsdamie, ukryły w jej pobliżu drewniane skrzynie z nieznaną zawartością.

Senny dotąd amerykański oficer na dźwięk słów tłumacza, wiernie oddającego treść wypowiedzi Martina Bormana, nagle się ożywił. W jego oczach zapaliły się iskry zainteresowania, a mięśnie twarzy nieznacznie zadrżały.

- Skrzynie? Niech go pan wypyta dokładnie co wie na ich temat - oficer wydał stanowczą komendę tłumaczowi. I proszę usunąć stąd tych Niemców, mogą się ubrać na zewnątrz - zwrócił się w podobnym tonie do funkcjonariuszy Żandarmerii Wojskowej, ci natychmiastowo zastosowali się do jego rozkazu.

- Co może pan więcej powiedzieć na temat ich ukrycia, skąd się pan o tym dowiedział?

- Podczas mojego pobytu w Potsdamie, gdzie oddelegowano mnie wskutek zbliżających się do południowej Bawarii wojsk amerykańskich, otrzymałem wiadomość telefoniczną od zamieszkałego w pobliżu leśniczówki drwala, o przewiezieniu i ukryciu tam, przez niewielki oddział SS, kilkunastu dużych skrzyń.

- Jakiej wielkości?

- Tego nie wiem - Bormann nieznacznie zająknął się - z tego co pamiętam mówił że niosło je dwóch żołnierzy - przyspieszył tempo wypowiedzi - tak doskonale sobie przypominam ten fakt, po czym zakopali je w okalającym leśniczówkę lesie, a miejsca ich ukrycia zamaskowano.

Amerykańscy oficerowie wymieniali szybko pomiędzy sobą nasuwające się spostrzeżenia. Gestykulowali i sięgali do leżących na stole raportów, zaprzeczali sobie i potakiwali niemal równocześnie, by wkrótce dojść do porozumienia, po czym skierowali potok słów w kierunku tłumacza.

- Czy byłby pan w stanie na podstawie relacji pańskiego znajomego wskazać to miejsce?

- Dokładnego miejsca mi nie zdradził, ale - tutaj Bormann na kilka sekund zawiesił głos - gdybym tylko - wyraźnie oddzielał słowa - mógł znaleźć się w tamtym rejonie, z pewnością uzyskałbym od niego bliższe informacje.

- Amerykańscy oficerowie usłyszawszy przetłumaczone informacje poruszyli się na składanych, parczanych krzesłach, wymienili pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia i kilka zdań z tłumaczem.

Martin Bormann dyskretnie obserwując ich zachowanie wiedział już że jego fortel powiódł się. Zanim jeszcze stawiał się w kancelarii Rzeszy, czytał raporty o powstaniu amerykańskiej siatki wywiadowczej na zdobytych terytoriach Niemiec, zajmującej się ustalaniem miejsc zdeponowania zrabowanych dzieł sztuki, złota pozyskiwanego w obozach koncentracyjnych, bankowych depozytów, szacowanych na sto miliardów dolarów. Zapoznał się z raportem o ewakuowaniu pociągami przed dwoma tygodniami, rezerw zbombardowanego Banku Rzeszy, szacowanych na 285 ton złota i pół miliarda dolarów. Zastyszał też o odnalezieniu go przez Amerykanów w jednej z bawarskich kopalń. Wiedział o zainteresowaniu aliantów ultranowoczesnymi technologiami wojskowymi, o poszukiwaniach planów najnowszych rodzajów napędu, stosowanych w awionistyce, o pozyskiwaniu prototypów, przejmowaniu chętnie poddających się naukowców z tajnych ośrodków badawczych. Wiedział o rekwiracji wszystkiego co wiązać się może z projektem niemieckiej bomby A, rakiet pionowego startu i wszystkich innych dokonaniach naukowych, wyprzedzających amerykańską myśl techniczną o co najmniej wiek. Wiedział także o ewakuowaniu precjozów do obszaru południowej Bawarii, deponowaniu tam dokumentacji najnowszych technologii, przyznaniu terenowi temu, statusu ostatniej obronnej reduty upadającej Rzeszy. Roztoczenie wizji ukrytych skrzyń

musiało podsyć wyobraźnię oficerów, z całą pewnością zaznajomionych z problemem tym, w trakcie pobytu w Niemczech. Podobne skrzynie mieściły na ogół sztabki złota, waluty wymienne, lub też zrabowane dzieła sztuki, takiej okazji żądni osobistych trofeów wojennych, amerykańscy żołnierze, zwykle nie przepuszczali. Gdyby nawet miały zawierać zdemontowane podzespoły tajnych rodzajów broni, wówczas nagrody i awanse z tytułu dokonania cennych odkryć, mogły być nie mniej drogocenne.

- Jest pan bezwzględnie przekonany że potrafiłby uzyskać bardziej szczegółowe informacje? Zapytał Bormanna zaintrygowany tłumacz.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości, spędziłem w tym rejonie kilka lat, odparł entuzjastycznie Bormann.

Tłumacz wymienił kilka zdań z zaferowanymi oficerami.

- Jeżeli okaże się to możliwe, mógłby pan jeszcze dzisiaj wybrać się w ten rejon?

- Nie posiadam osobistego środka transportu, a ciężarówka którą przyjechałem z pewnością dalej nie pojedzie, prowokacyjnie odpowiedział Bormann.

- Zapewnilibyśmy panu transport.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań, odpowiedział bez namysłu Bormann.

- Oficer skontaktuje się z najbliższym przedstawicielstwem kontrwywiady ażeby uzyskać zgodę, jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, dziś jeszcze byśmy wyruszyli. O jakim regionie Bawarii mówimy?

- Dawne pogranicze austriackie, najbliższa większa miejscowość na zachód to Garmisch Partenkirchen, odpowiedział bez namysłu Bormann.

- W międzyczasie może skorzysta pan ze skromnego poczęstunku?

- Z wielką chęcią, odpowiedział odczuwający głód Bormann

Podczas gdy amerykański oficer łączył się poprzez zaimprovizowaną centralę telefoniczną z placówką kontrwywiadu, Bormann otrzymał na metalowej tacy standardową porcję serwowanej właśnie kolacji. Uzupełnienie psennego chleba, stanowiła hermetycznie zapakowana miniaturowa kostka masła, kilka grubych plastrów wołowo – wieprzowej konserwy, kubek kawy instant z dodatkiem skondensowanego mleka. Bormann, nie mający nic w ustach od późnych godzin wieczornych poprzedniego dnia, z nieskrywaną łapczywością zabrał się do pochłaniania kolejnych kromek obficie omaszczanego chleba. Wzgardzana dotąd nadmiernie słodzona kawa, tym razem nabrała nieocenionych walorów smakowych. Nigdy też przez niego nie ceniona wersja instant, traktowana wśród jego współpracowników jako wojenny ersatz kawy naturalnej, parzonej zgodnie z należnym jej ceremoniałem, podawanej w zdobnej, miśnieńskiej porcelanie, teraz zyskiwała na uznaniu i długo ważył ją w ustach, nim na ściankach metalowego kubka, nie ukazał się jasnobeżowy osad.

- Co myśli pan o niecierzącym się najwyższym uznaniem amerykańskim jedzeniu? Zapytał przechodzący obok tłumacz.

- Doskonale. Nie dziwię się że dokonaliście tak znaczących postępów na froncie zachodnim, będąc tak obficie żywieni.

- Waszym wojskom także niczego nie brakowało. Uzupełnimy paliwo i wkrótce wyruszymy. Miał pan przy sobie jakieś rzeczy?

- Tylko to, co na sobie.

- O, zdaje się że właśnie najeżdża nasz samochód. Tłumacz wskazał na hamującego tuż przed nimi terenowego Willysa MB, potocznie nazywanego przez żołnierzy Jeppem. W pierwszym oglądzie rzucała się w oczy duża, biała gwiazda namalowana na masce samochodu, w dalszym niespotykana w Europie bryła nadwozia. Starszy stopniem oficer, mógł być to porucznik lub kapitan - Bormann nie potrafił rozpoznawać amerykańskich szarż - siedział obok kierowcy, najpewniej starszego szeregowca lub kaprała - wysondował po ilości belek. Niski w tonach pogłos silnika, zagłuszył dźwięk klaksonu. Do samochodu zbliżył się młodszy oficer, przesłuchujący właśnie pojmanych do niewoli, żołnierzy Wehrmachtu.

- Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem będziemy z powrotem za dwa, trzy dni, oznajmił tłumacz, zasłyszawszy opinię młodszego oficera. Możemy wsiadać – dodał, uchylając lewe, tylne drzwi.

Bormann wsiadł jako pierwszy, zajmując miejsce po prawej stronie. Cztery koła Willysa zabuksowały w grząskiej, wiosennej darni, po czym oderwały się od jej lepkiej powierzchni, wyrzucając w powietrze grudy gęstego błota. Zbliżwszy się do posterunku wartowniczego, oficer okazał wymagane dokumenty, wartownik wskazał na wygodnie usadowionego Bormanna. Udzielone wartownikowi niezbędne informacje na temat mężczyzny w zielonym mundurze, poskutkowały podniesieniem szlabanu. Opuścili obszar obozu, już wkrótce rozmiękły grunt zmienił się w utwardzoną betonowo-szutrową, nawierzchnię. Podskakujący na nierównościach Jeep, jadąc środkiem jezdni wymijał porozrzucane na poboczach pozostałości po wycofującej się, niemieckiej armii. Mknęli z prędkością utrudniającą rozpoznanie większości przedmiotów, ponieważjących się na drodze, w przydrożnych rowach i okolicznych polach. Martin Bormann starał się rozpoznać kształty większych z nich. Wyławiał wzrokiem zerwane, czołgowe gaśienice, spalone wraki transporterów opancerzonych, skrzynie po granatach i amunicji do karabinów maszynowych. Obserwował wojenny krajobraz Turyni, a przed oczyma stawały mu sielankowe pejzaże tych okolic, z czasów gdy przyjeżdżał tu na służbowe delegacje. W oddali majaczył masyw lasu, koncentrował wzrok na soczystej zieleni traw, porastających młodymi odroślami, pozostawione samemu sobie -

ugory. Przypatrywał się dzikim śliwom, obsypanym białym kwieciami, porastającym rozległe obszary pofałdowanego terenu, nie zmierzonego gołym okiem. Zmęczonym wzrokiem wodził po linii horyzontu, niezmiernych plenerach odpowiadających na zew wiosennej aury, nagłą eksplozją zieleni. W późniejszej kolejności utkwiał wzrok w nawierzchni drogi, rozstępującej się przed maską samochodu na dwie równe połowy. Wkrótce też postanowił przerwać zapadłą od dawna ciszę.

- Skąd zna pan tak dobrze język niemiecki? Zapytał siedzącego obok tłumacza.

- To mój język ojczysty.

- Bormann, spojrzał podejrzliwie na tłumacza.

- Z pochodzenia jestem niemieckim Żydem, zmuszonym do opuszczenia ojczyzny przez nazistów, tuż po uchwaleniu ustaw norymberskich.

- W tym momencie Martin Bormann użył wszystkich swoich mimicznych umiejętności, by ukryć błędzące po jego twarzy, podejrzliwe spojrzenie. Uczynił to w sposób, nie zdradzający, w najmniejszym nawet szczególe antysemickich poglądów..

- Ach tak uciekł pan przed prześladowaniami, zdezorientowany Bormann starał się tchnąć w swoje słowa jak największą dozę współczucia.

- Tak z całą rodziną. Wy płynęliśmy do Ameryki, gdzie wkrótce nas naturalizowano.

- Muszę wyznać to z żalem, ale byłem świadkiem wielu upokarzających scen poniżania żydowskiej mniejszości na ulicach Potsdamu i Berlina, niestety jako pracownik służby leśnej nie byłem w stanie im pomóc, w swojej dwulicowości Bormann, starał się być jak najbardziej przekonujący.

- Upokarzających scen poniżania? Nic pan nie wie o makabrycznych odkryciach, jakich dokonali nasi żołnierze podczas wyzwolenia Buchenwaldu, Dachau.

- Nic mi o tym nie było wiadomo. Wyraz twarzy Bormanna przybrał jeszcze bardziej wystudiowany grymas zdziwienia.

- Odkryli stosy ludzkich trupów, piece krematoryjne wypełnione ludzkimi szczątkami, ludzkie organa zatopione w formalinie, abażury lamp, okładki notesów wykonane z ludzkiej skóry, trofea z ludzkiej kości, a ci którzy przeżyli bardziej byli widmami człowieka niż jego wcieleniem.

- To nie wiarygodne co pan mówi.

- Na własne uszy słyszałem relacje świadków.

Arsenał aktorskich środków, jakim rozporządzał Martin Borman począł się z wolna wyczerpywać, nie był już pewien wiarygodności swojego zachowania. Ażeby nie wzbudzać podejrzeń nie mógł uciekać wzrokiem ani też starać się zmienić tematu, robił wszystko by nie przedłużać rozpoczętego dialogu.

- Czemu pan tak nagle zamilkł, zapytał zaniepokojony tłumacz.

Wstyd mi za moich rodaków dopuszczających się podobnych okrucieństw, na mojej niemieckiej ziemi, zdobył się na jeszcze jeden przejaw doskonałej w swej bezczelności – hipokryzji.

- Rozumiem, ma pan prawo, na pańskim miejscu także miałbym podobne doznania.

Martin Bormann nie mógł posiąść się z targającego nim wzburzenia, ani tym bardziej go okazać. On czołowy antysemita III – ej Rzeszy, zmuszony jest siedzieć obok niemieckiego Żyda, przez nazistowską naukę uznanego za gatunek podczłowieka, jaki zniknął z niemieckiej społeczności, wypędzony lub wymordowany. Co bardziej jeszcze upokarzające musi silić się na przytakiwanie i wyrzekać się wszystkiego, co do niedawna stanowiło o jego tożsamości jako niemieckiego nazisty. Człowieka o władniętym pasją wywyższenia Niemiec ponad poziom pozostałych narodów, nordycką rasę ponad wszelki inne. Choć ostatnimi laty jego poglądy uległy złagodzeniu, to nadal gdzieś głęboko w podświadomości tkwiła niechęć do wszystkiego, co wiązać się może z narodem wybranym, nie zezwalająca mu wyzybywać się w zupełności nawyków jakie go ukształtowały.

Dla uniknięcia ponownego skrzyżowania się spojrzeń i możliwości wyczytania w nich niepożądanych treści, Martin Bormann utkwiał wzrok w desce rozdzielczej terenowego Jeppa. Obserwował w milczeniu podziałkę szybkościomierza wyrażoną w milach i skaczącą po niej wskazówkę. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt mil - zastanawiał się ile to może być kilometrów. Sądząc po pędzie z jakim pokonywali proste odcinki drogi, po zawodzącym wokół bocznych drzwi wietrze, chcąc posłużyć się znanymi sobie wielkościami, przyjął że najmniej sto, sto dziesięć kilometrów na godzinę. Nie dobrze - uznał, przy takim tempie jazdy mogą dojechać w Alpy zanim jeszcze zapadnie zmierzch, a wówczas wyjdzie na jaw że nie zna położenia leśniczówki o której mówił Amerykanom, drwał rzekomo zamieszkały w pobliżu nie istnieje, a skrzynie są tylko tworem jego insynuacji. W podobnych okolicznościach zwrócić na niego baczniejszą uwagę, najpewniej skrepują jako podejrzanego, a wówczas jakakolwiek próba ucieczki może okazać się niemożliwa. Jedyna nadzieja w alpejskich wzgórzach, stromych podjazdach i serpentynach, tam nawet terenowy samochód będzie musiał zwolnić tempo jazdy. Być może też śnieg jeszcze nie wszędzie stopniał, co dodatkowo ograniczy szybkość. Pamiętał gdy podczas pobytu w Berchtesgaden na audyencji u fuhrera w których z majowych dni, będąc na tarasie podziwiał alpejskie łąki pokryte grubą powłoką śniegu. Pozostaje jeszcze jedna możliwość - ściśnięte dotąd rysy jego twarzy rozluźniły się, doznał czegoś w rodzaju ol-

śnienia, będąc w pobliżu wskazanego miejsca może przecież kluczyć, zasłaniać się brakiem orientacji w terenie, może twierdzić że dojeżdżając tutaj koleją, dostawał się w to miejsce od innej strony, nie zna wszystkich dojazdowych dróg, a wówczas zbawienny zmrok z pewnością już zapadnie. Obserwowana wskazówka nie opadała poniżej sześćdziesięciu mil, spojrzał nerwowo na zegarek, dochodziła osiemnasta.

- Spiesz się pan dokądś, głośno zapytał tłumacz.

- Nie mam się dokąd spieszyć, nie wiem nawet czy mam dokąd wracać. Nie mogę przejść do porządku nad szybko postępującymi po sobie zdarzeniami, dzisiaj rano byłem jeszcze w Berlinie, a w nocy będę w swojej ulubionej alpejskiej leśniczówce.

- Być może jeszcze późnym wieczorem.

- Nie rozumiem co pan mówi, głośno odpowiedział Bormann, chcąc przerwać niepożądany dialog.

- Mówię że być może jeszcze późnym wieczorem będziemy w Alpach.

- Przepraszam ale nie dosłyszę, berliński ostrzał uszkodził mi bębenki w obu uszach, ale im wcześniej tym lepiej - z przekonaniem, głośniej odpowiedział Bormann, głęboko skrywając swoje intencje.

Wybieg przyniósł oczekiwany efekt, tłumacz nie starał się już nawiązywać dialogu, a Martin Bormann w nieograniczony sposób mógł obserwować wahliwe ruchu wskazówki szybkościomierza. Radował się przy każdej okazji gdy opadała w dół, bądź to na ostrych zakrętach, bądź na uszkodzeniach dróg. Nieustannie przy tym starał sobie przypomnieć ile wynosić może w przeliczeniu na kilometry jedna mila lądowa. Niekiedy odrywał wzrok od podziałek deski rozdzielczej, kontemplanował zmieniający się wokół krajobraz, dostrzegał narastającą przewagę terenów pagórkowatych i górzystych, zwiastujących nieubłagane zbliżanie się do najwyższych masywów górskich Niemiec. Bormann starał się dostrzec panoramę któregoś z wielkich miast, dość licznych w tym rejonie, nie napotykałszy od początków podróży żadnego z nich, rozważał powody takiego stanu rzeczy – alianckie bombardowania nie mogły przecież zniszczyć ich do szczytu? Uznał że siedzący na przednim siedzeniu pasażera – kapitan - trzymający na kolanach rozłożoną mapę, starał się najpewniej wymijać większe miasta, wiedząc o utrudnionym transzycie pośród miejskich zgliszcz. Siedzący na przednich siedzeniach mężczyźni wymienili pomiędzy sobą kilka słów, obserwowana wskazówka szybkościomierza opadła w dół, hamujący Jepp skręcił na przydrożny parking.

- Przerwa na papierosa, oznajmił oficer, przeciągając się. Z kieszeni munduru wydobyl sfatygowaną paczkę Lucky Striceów, poczęstował gromadzących się wokół niego pasażerów, po czym sam zapalił zmiękzonego w palcach papierosa.

- Jak daleko od miejscowości Mittenwald znajduje się pańska leśniczówka, zapytał Bormanna amerykański oficer, wydychając długą smugę dymu, rozpraszana przez górski wiatr, a jego pytanie natychmiast przetłumaczył stojący obok tłumacz.

- Jakies cztery, pięć kilometrów, odpowiedział Bormann, starając się tak wyważyć słowa, by zachowały pozory wiarygodności.

- Wjedziemy tam naszym Jeppem?

- Co do tego pewności mieć nie mogę, nigdy nie wjeżdżałem tam samochodem. Z dworca kolejowego w Mittenwald odbierała mnie furmanka, zaprzężona w jednego, niekiedy dwa konie.

- Jeżeli wjechała tam furmanka, tym bardziej wjedzie tam Jepp, napęd na cztery koła, 2.200 centymetrów pojemności, 60 koni mechanicznych.

- Miejmy taką nadzieję, dodał Bormann chcąc podzielić entuzjazm oficera.

- W takim razie spieszmy się by dojechać jeszcze przed zmierzchem, zarządził kapitan, gasząc pod obcasem buta niedopałek papierosa. Wszyscy pasażerowie w pośpiechu zajęli swoje miejsca, zapuszczony silnik zawył metalicznym basem, buksujące w miejscu koła rozbryzgnęły na boki błotnistą zawartość kałuż i nabierający prędkości samochód wjechał na utwardzoną nawierzchnię dróg. Martin Bormann starał się teraz zwrócić większą uwagę na drogowe tablice, wskazujące odległość do większych miast. Wbrew temu, przemieszczający się bocznymi drogami Jeep napotykał na swojej drodze drogowskazy dotyczące odległości pomiędzy mniejszymi ośrodkami miejskimi jak Furth, Bamberg, Bayreuth, o ile też nie zostały zdewastowane przez wojenną nawałnicę, a ich miejsce zajęły przełamane, drewniane żerdzie. Z rzadka pojawiały się informacje o nieodległym sąsiedztwie Norymbergi, nie zawierały jednakże bliższych danych o odległości, dopiero na pochylonej tablicy informacyjnej powiśł się kierunek jazdy do Monachium. Natomiast wzrok kierowany ku podziałce szybkościomierza, odczytywał wciąż podobną wartość sześćdziesięciu, siedemdziesięciu mil. Zanim jeszcze zdążył oderwać spojrzenie od deski rozdzielczej, spostrzegł nienaturalne zachowanie kierowcy, zatrzymującego go z piskiem samochód. Spojrzał przez przednią szybę, z ostrego zakrętu wylaniała się krótka lufa czołgu w kolorze ciemnej zieleni. Kierowca zbliżał się z bezpieczną prędkością do pojazdu, stojącego w poprzek krętej jezdni. Wokół wraku amerykańskiego Shermana uwijało się kilkoro żołnierzy, starających się przytwierdzić do niego stalową, holowniczą linę. Wokół czołgu poniewierały się ogorzałe dymem fragmenty innych wojskowych pojazdów, sterty łusek amunicji małego i dużego kalibru. Na okolicz-

nych wzgórzach widniały czarne plamy znaczące miejsca wybuchów pocisków artyleryjskich, poszarpane korzenie oplatały rozerwane pnie drzew. Bormann przyjrzał się z bliska sylwetce pancernego pojazdu, nie widzianego jeszcze nigdy w plenerze. W pierwszej kolejności rzucała się w oczy krótka lufa i nadzwyczaj wysoka sylwetka. Objął wzrokiem całość jego gabarytów. W porównaniu z naszymi tygrysami królewskimi wygląda jak model kolekcjonerski wykonany ze sklejk i tektury, obok Tygrysa PzKpfw VI, a nawet Pantery prezentuje się jak nasz tekturowy, ćwiczebny model z wersalskich czasów, przemierzający poligony na rowerowych kołach. Że też przy użyciu czegoś podobnego wygrali wojnę, tutaj niestety znaczenie miała ilość nie jakość – snuł rozważania, obserwując próby przesunięcia czołgu, podpiętego do gasienicowego holownika.

Do Jeppa zbliżył się nadzorujący prace amerykański żołnierz, wymienił z kapitanem kilka zdań z których Bormann wywnioskował, że muszą poczekać do czasu zakończenia prac holowniczych lub też pojadą objazdem, co sugerował zamasysty gest dłoni żołnierza, zataczający szeroki okrąg. Siedzący w Jeppie Amerykanie wymienili kilka gestów zdradzających zniecierpliwienie, kapitan ze spokojem zapalił papierosa. Bormann, ażeby nie wzbudzać podejrzeń nie próbował nawet spoglądać na zegarek, starał się też nie okazywać wzbierającej w nim fali optymizmu, pozwalającego zachować nadzieję na opóźnienie się podróży i osiągnięcie celu już po zapadnięciu zmierzchu. Myśli Bormanna zataczały teraz coraz szersze kręgi wokół szczęśliwych zrzeczeń losu, jakich stał się udziałem przez dotychczasowe życie, podziwiał dotąd szczęście fuhrera, a sam także był dzieckiem szczęścia. Żadne z dziewięciorga jego dzieci nie zmarło we wczesnym wieku, wprawdzie przed kilkunastoma dniami we Włoszech zmarła żona, ale nie miał z nią w ostatnich latach najlepszych relacji. Mógłby zakończyć życie w sposób podobny do śmierci Stumpfeggera. Mógł zrewidować go siedzący teraz przed nim oficer, znalezienie testamentu Adolfa Hitlera, wykrycie bez mała tysiąca dolarów przy pracowniku służby leśnej, byłoby odkryciem wielce zastanawiającym i rzucającym długi cień podejrzeń na jego osobę. Uznał że fortuna sprzyja mu nadal. Nim jeszcze żołnierze zdążyli wypalić drugiego papierosa, obserwujący brak postępów w pracach kapitan, wydał rozkaz do dalszej jazdy. Zawrócony Jepp oddalał się od miejsca niedawno stoczony potyczki, spod kół tryskały krótkie salwy gliniastej mazi, przemieszane z kamienistym iłem. Pochyłym zboczem wspięli się na rozjazd i pomknęli w kierunku powrotnym. Górzysty krajobraz wyparł ostatecznie pagórki i wzniesienia, nagie konary dębów ustąpiły miejsca pączkującym bukom, okolicę zdominowały jodły i wysokopienne świerki. Na jednym z podjazdów minęli kolumnę amerykańskich ciężarówek, kierowcy pozdrowili się długim klaksonem. Kierowca zmuszony do częstszej redukcji biegów, wytracał dawną prędkość, tempo jazdy z każdym kilometrem malało, a przysłaniająca szczyty gór szara mgławica, opadała coraz niżej, ścieląc się wokół samochodu trudną do przeniknięcia zasłoną. W światłach Jeppa przemykały drogowskazy, ażeby odczytać ich treść i skonfrontować z mapą, kierowca musiał przy każdym z nich przystawać, a oficer bacznie przyglądać się obco brzmiącym i trudnym do wymówienia nazwom.

- W tym tempie nie zajedziemy nawet do północy, oznajmił kapitan przyglądając się mapie. Do celu pozostało co najmniej osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilometrów, w kilku słowach skomunikował się z tłumaczem, a ten przekazał wiadomość Bormannowi.

- Czy byłby pan w stanie poprowadzić dalej wyprawę? Zwrócił się do Bormanna tłumacz.

- Nie znam tych terenów, to jeszcze zbyt daleko od miejsca mojej pracy, poza tym w nocy każda droga i góra wygląda identycznie, a każdy kot jest czarny.

- Będziemy zatem musieli wynająć po drodze jakiś nocleg.

- W pobliżu znajdują się jakieś hotele, pensjonaty?

- Gasthofy, owszem z pokojami noclegowymi, sam niejednokrotnie korzystałem z podobnych usług. Skonstruowana na poczekaniu przez Bormanna odpowiedź zabrzmiała wiarygodnie.

- Zatrzymamy się w którymś z nich, oznajmił kapitan, nakazując kierowcy dalszą jazdę.

- Niestety nie posiadam przy sobie pieniędzy, oznajmił nieśmiało Bormann, a tłumacz w kilku słowach streścił jego wypowiedź.

- Niech się pan nie martwi, prześpi się pan na koszt amerykańskiej armii, z anglosaską niefrasobliwością powiedział kapitan.

Pod osłoną alpejskiej nocy nawet długie światła nie rozpraszały mroku w wystarczający sposób. Pole widzenia kończyło się za najbliższym zakrętem, a śliska nawierzchnia zniechęcała kierowcę do wykorzystania pełnej mocy silnika. Dodatkowe niebezpieczeństwo stwarzały obłamane bariery, przebiegające wzdłuż stromych, górskich zboczy i pojawiających się z nagle, urwisk. Kierunek dalszej drogi wyznaczały rozlokowane wzdłuż niej ludzkie domostwa, rozświetlone blaskiem okien, rozmieszczonych na kilku kondygnacjach. Na rozległych obszarach, gdzie nikły nawet te umowne drogowskazy, Jepp nieomal po omacku pokonywał wzniesienia i wolno zsuwał się z nich. Przed każdym niespodziewanie wyłaniającym się zakrętem, zmuszony był zatrzymywać się w miejscu, by określić dalszy kierunek jazdy. Skręcili w głęboką dolinę, oświetloną nikłym blaskiem wydobywającym się z okien, okolicznych domów. Tuż przed maską hamującego Jeppa, przez jezdnię przepędzano stado brązowych krów, pogrążających na zmianę to łańcuchami, to dzwonekami przytroczonymi do szyi.

Nim jeszcze przyspieszający samochód zdążył nabrać prędkości niezbędnej do pokonania najbliższego wzniesienia, tłumacz wskazał na stojący tuż przy drodze okazały, czterokondygnacyjny budynek i musnął siedzącego przed nim kapitana po ramieniu.

- Kapitanie, po prawej mamy pensjonat, warto by zapytać o wolne miejsca.
- Z pewnością są wolne miejsca, żaden Niemiec podczas wojny nie przyjeżdża na wczasy do amerykańskiej strefy okupacyjnej, trzeźwo zauważył kapitan.
- Racja kapitanie, zasięgnę więc ogólnych informacji, stwierdził tłumacz, uchylając drzwi.
- Zaczekaj pójdziemy wszyscy razem i bez względu na wszystko wynajmiemy cztery łóżka.

Stanęli przed wysokim, czterokondygnacyjnym budynkiem, o stromym dwuspadowym dachu, wzniesionym z drewna na kamiennym podmurowaniu. Nad wejściowymi drzwiami powiewał szyld z napisem „Zimmer”, z prawej strony zwisał łańcuch przytwierdzony do żeliwnego dzwonka. Tłumacz pociągnął za niego dwukrotnie. Drzwi uchyliły się ze zgrzytem, na podwórzu wyległa długa, świetlna poświata, zza nich dobiegło podejrzliwe spojrzenie właściciela.

- Guten Abend, chcieliśmy wynająć cztery łóżka na dzisiejszą noc, należność regulujemy w markach lub dolarach. Właściciel pensjonatu postąpił krok naprzód.
- Guten Abend, rozporządzam minimum dwuosobowymi pokojami, w cenę wliczone jest śniadanie.

- Decydujemy się bez zastanowienia.

Właściciel przeprowadził podróżnych do dwu, przylegających do siebie ścianami, niewielkich pomieszczeń, rozlokowanych na pierwszym piętrze. Bez dłuższych uzgodnień Martin Bormann zajął pokój wraz z tłumaczem, kapitan z kierowcą Jeppa.

- Śniadanie podajemy o ósmej rano, oznajmił schodzący na parter właściciel.
- Danke schon, wszystkie koszty uregulujemy rano, chyba że chciałby pan z góry?
- Policzmy się rano, Guten Nacht.
- Chciałem się jeszcze upewnić, do Mittenwald jedziemy we właściwą stronę, jaki to będzie kierunek? Zapytał Bormann starając się wzbudzić pozory zatroskania o odnalezienie celu podróży.
- Na południowy wschód, właściciel wskazał dłonią na przeciwną do wejścia ścianę.

Martin Bormann mając zaplanowany scenariusz zdarzeń na najbliższe godziny, zajął łóżko stojące bliżej drzwi. Obrzucił je uważnym spojrzeniem, uchylały się na zewnątrz, tym lepiej dla niego – uznał, gdy będzie je otwierał do wnętrza nie wedrze się podmuch przeciągu, co zmniejszy prawdopodobieństwo obudzenia się tłumacza. Rozstawił wzdłuż łóżka parę myśliwskich butów, zdjął marynarkę munduru i rozwiesił ją na poręczy łóżka, na niej położył kapelusz. Ułożył się pod podwójnie złożonym kocem i rozprostował nogi.

- Nie rozbiera się pan do snu? Zagadnął obserwujący go tłumacz.
- To przyzwyczajenie wyniesione z oblężonego Berlina, poza tym alpejskie, majowe noce bywają bardzo chłodne, panu też radzę zachować na sobie ubranie.
- Rozumiem, dziękuję za przestrozę.

Martin Bormann za wszelką cenę starał się przezwyciężyć senność, obejmując go trudnym do sparowania objęciem. Pojawiała się z nagłą, gdy tylko przymykane powieki nie zdążyły w porę odsłonić przekrwionych oczu. Lepka i gęsta senność przenosiła go ku zdarzeniom, kojarzonym z okresem największych triumfów Rzeszy, wywołującym wyłącznie przyjemne konotacje. Siłą woli przerywał krótkie okresy sennej maligny, wydostawał się na powierzchnię rzeczywistości i wzbraniał się przed zapadnięciem w niekontrolowany sen. Zmęczenie wywołane emocjami jakie niósł z sobą miniony dzień, bezsennością poprzedniej nocy, nie dawało za wygraną, lecz dobiegający gdzieś z podświadomości głos, oznajmiał jednoznaczny komunikat, jeżeli teraz zaśnie będzie to równoznaczne z obudzeniem się w jednym tylko celu, by udowodniono mu rzeczywiste personalia, oddano pod sąd i skazano na najwyższy wymiar kary. Świadomość tego, skutecznie oddaliła kolejne przyływy zmęczenia. Adrenalina przedostająca się do krwi, uruchomiła kolejną rezerwę czujności. Myśli o pogrążeniu się w zbawczym śnie odpłynęły gdzieś w mroczną przestrzeń, nie objętą racjonalnym rozumowaniem. Wiedział już że nie zaśnie i wyczekiwał momentu, gdy uczyni to leżący naprzeciw mężczyzna. Miał nadzieję że jest równie zmęczony jak on, że kamienny sen nie dozwoli mu usłyszeć szelestu zakładanej marynarki mundur, uchylania i zamykania drzwi, wymyknienia się chyłkiem z pogrążonego w mrokach nocy, pensjonatu. Usłyszał głośnie chrapanie śpiącego obok żołnierza, spojrzał na zegarek, dochodziła dwunasta, zbyt wcześnie – uznał. Musi poczekać jeszcze jakieś półtorej do dwu godzin, gdy ludzki sen staje się najgłębszy i najmniej czujny. Starał się ułożyć w głowie konspekt mających nadejść zdarzeń, w szczególności przedostania się przez dawną granicę niemiecko – austriacką, posiada w prawdzie pewny kontakt, nie może mieć jednak pewności czy granica nie została obsadzona przez alianckie patrole. Nieznane okaże się znanym we właściwym czasie, nie jest w sanie odgadnąć wszystkich niewiadomych, podobnie jak nie był w stanie przewidzieć sprzyjających mu zdarzeń dnia dzisiejszego – starał się pocieszać. Opuszczając nad ranem Berlin nie przewidywałby przecież że najbliższą noc spędzi w alpejskim pensjonacie.

Uznał że nadszedł właściwy moment, głośnie chrapanie nie ustawało od ponad godziny. Bezszelestnie odchylił koc, krótkim ruchem lewej dłoni sięgnął po kapelusz i marynarkę, ujął je w sposób pozwalający jeszcze uchwycić w niej, parę butów. Uniósł się bezszelestnie, nie chcąc by zgrzyt sprężyn łóżka przetoczył się echem po pograżonym w grobowej ciszy, pokoju. Całą uwagę skoncentrował na mosiężnej klamce, nacisnął ją miękko i zdecydowani, uchyliła się bezszelestnie. Przekroczył próg i pozostawił za sobą niedomknięte drzwi. Na schodach wzuł buty, narzucił marynarkę i nałożył kapelusz, będąc u wejściowych drzwi upewnił się czy nikt nie spostrzegł jego wyjścia. Wszyscy śpią w najlepsze – uznał po krótkim nasłuchiowaniu. Na ile tylko najciszej potrafił, przekręcił klucz w wejściowych drzwiach, zamek okazał się naoliwiony i duży poczerniały klucz, ocierający się o mechanizm spustowy, wydał tylko cichy jęk. Drzwi uchyliły się na oścież. Dosunął je do futryny i kilkoma długimi krokami osiągnął linię wysokich jodeł po przeciwnej stronie podwórza. Chcąc się upewnić że nikt nie podąża jego śladem, przemknął wzrokiem po frontonie pensjonatu, oświetlonego nikłym blaskiem naftowej lampy. Wszystko w porządku, nikt niczego nie zauważył. Znalazł się teraz sam na sam z wiosenną nocą, alpejskimi szczytami, z żywicznym zapachem jodeł i perspektywą zapewnienia sobie wolności. Zatoczył szeroki okrąg wokół pensjonatu i udał się w kierunku wskazanym przez jego właściciela. Podążając pewnym krokiem środkiem piaszczystej drogi, pod bezpieczną zasłoną nocy, mógł wyzbyć się obaw o wszczęcie pościgu. Musi teraz za wszelką cenę oddalić się na jak największy dystans od pensjonatu, zważywszy że wraz z nastaniem świtu zmuszony będzie podążać wzdłuż ruchliwych dróg. O ile w mundurze leśniczego pośród alpejskich lasów, nie wzbudziłby najmniejszego podejrzenia wśród kontrolujących go patroli, o tyle już napotkany przez załogę Jeppa, zostałby aresztowany i odesłany do punktu wnikliwej weryfikacji. Jego myśli przybierały na podejrzliwości. Wiedzą też gdzie szukać na mapie miasteczka o potrzebie podróży do którego, tak skutecznie ich przekonał. Mogą chcieć upewnić się czy skrzynie z mojej opowieści, gdzieś tam nadal się znajdują. Bądź też mogą doszukać się prawdy i uznać że był to rzeczywisty cel mojej podróży i oczekiwać tam na mnie, jako na podejrzanego uciekiniera. Wszystkie te wersje są dopuszczalne – uznał, lub też ta, w której najzupełniej nie obejdzie ich powód nocnego zniknięcia, jak dotąd nie wzbudzającego podejrzeń leśniczego i następnego dnia najzwyczajniej powrócą w okolice Halle. Przyspieszył kroku, gliniasty piach usuwał się spod podeszw, solidnie podzielowanych butów. Gałęzie mijanych jodeł równomiernie unosiły się w podmuchach alpejskiego wiatru i roztaczały woń wiosennej, żywicznej lepkości. Porastająca okoliczne pastwiska roślinność, rozpoczynała coroczny cykl wzrostu, oznajmiając fakt ten, wydzielaniem bukietu eterycznych zapachów. Przypomniawszy sobie ostatni pobyt w Berghof, wiosną '44 - go roku, gdy Alpy pulsowały podobnym bukietem aromatów w trakcie rozwijającej się inwazji w Normandii. Kiedy po raz kolejny starał się użyć całej swojej siły sugestii, aby nakłonić fuerhera, tracącego na długie dni kontakt z rzeczywistością, do obrania łagodniejszego kursu wobec aliantów i uratowania od zagłady jak największej części Niemiec. Podczas rozmowy dawał pomiędzy wersami do zrozumienia, że wojna jest przegrana, konieczne jest zawarcie rozejmu, jednocześnie musiał czynić to w sposób uniemożliwiający wywołanie u niego ataku furii, lub co gorsze amoku. Znanymi sobie sposobami ustrzegł się napastliwej reprimendy, lecz zamierzonego celu nie udało się osiągnąć.

Idąc nawierzchnią gruntowych dróg, odsączoną z wiosennych roztopów, jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Mijał pograżone we śnie domostwa, raz po raz w oddali ozywały się echa psich nawoływań. Świt, wyłaniający się spomiędzy pni drzew, obejmował mgławicową poświatą, najpierw serpentynę krętej drogi, później posturę wiekowych jodeł i świerków, aż z wolna czynił niedostrzegalnym firmament, zawisły ponad szczytami gór. Zaniepokojony Bormann zszedł na wąską ścieżkę, wijącą się wzdłuż leśnego traktu. Kilkugodzinny marsz i miarowy krok, jakim pokonywał kolejne wzniesienia, wyczerpały jego nadwątlone siły. Przystanął i rozejrzał się wokół, zza gęstwiny drzew wyłaniała się zwalista sylweta wysokiego domu. Wolnym krokiem podszedł w jego pobliże. Zawołał zza ogrodzenia.

- Guten Morgen.

- Guten Morgen, odpowiedział głos z wnętrza któregoś z gospodarskich pomieszczeń.

- Którędy do Mittenwald?

- Idzie pan w dobrym kierunku, odpowiedział starszy mężczyzna, wyłaniający się zza drzwi.

- Jak to jeszcze daleko?

- Jakies dwadzieścia kilometrów, górskimi, błotnistymi drogami, trudnymi do pokonania. Cały czas prosto, ale na cóż leśniczy będzie szedł na piechotę, jeżeli za pół godziny wyjeżdża transport drewna do tamtejszego tartaku. Pan leśniczy może wejść i odpocząć.

Bormann zaciekawiony propozycją uchylił furtkę i zbliżył się do mężczyzny.

- Pan leśniczy na służbie w tych rejonach?

- Właściwie....., przyjechałem objąć tu służbę, po ucieczce poprzedniego – na moment zawiesił głos – leśniczego.

Bormanna zadziwiła doskonale zachowana umysłowa refleksja, wbrew dotkliwemu zmęczeniu jakie odczuwał.

- A gdzie jeśli wolno spytać, w Wallgau, czy może w Krun.

- Dokładnie jeszcze nie wiem, najpierw muszę skontaktować się z ratuszem w Mittenwald, amerykańskie władze okupacyjne poszukują kogoś z doświadczeniem. Chciałem dojechać tam pociągiem, ale na skutek uszkodzenia torów pociąg za-

kończył bieg w Wallgau.

- Do Wallgau przecież nie dojeżdżają pociągi.
- Najwidoczniej nie jestem jeszcze dostatecznie dobrze zorientowany w terenie, jaki już wkrótce obejmę, jeżeli popełnię kolejną pomyłkę, proszę wyprowadzić mnie z błędu..
- Miał pan pewnie na myśli dworzec w Kochel am See?
- Tak właśnie.
- Tak czy inaczej, do miejsca gdzie zamierza się pan udać pozostaje szmat drogi, pan leśniczy usiądzie i odpocznie. Mężczyzna wskazał dłonią na masywny, drewniany stół stojący pod wykuszem spadzistego dachu. Może leśniczy napije się czegoś?
- Najchętniej wody, w tej sekundzie Bormann uświadomił sobie że nie pił niczego od prawie dwudziestu godzin. Mężczyzna postawił przed Bormannem pękaty dzbanek z wodą, ten zachłannie nalewał kolejne szklanki, opróżniając jedną po drugiej.
- Ciężarówka do tartaku odjeżdża zza tamtego pastwiska, oznajmił starszy mężczyzna.
- W takim razie będę już szedł, oznajmił Bormann podnosząc się zza stołu.
- Leśniczy nie musi się trudzić, transport przejeżdża obok mojego domu. Może jeszcze wody?
- Dziękuję już dość.

Zza najbliższej wyniosłości terenu, wyłoniła się wkrótce szara kabina ciężarowego samochodu, przystosowanego do przewozu kłód drewna. Masywne koła przesiewały drobne kamienie, wypłukane strużynami broczącej wody. Ubłocone opony nawijały na bieżnik, grudy lepkiej gliny. Długa naczepa zaturkotała na kamienistych wybojach, rozbrzmiewając metalicznym stukotem łańcuchów, mocujących grube polana do obu burt. Starszy mężczyzna zatrzymał ciężarówkę, nabierając prędkości na pochyłym stoku. Szofer otworzył drzwi, wymienili kilka słów, starając się przekrzyczeć narastający hałas.

- Niech pan wsiada, za pół godziny będzie pan w Mittenwald, poinformował starszy mężczyzna.
 - Jeszcze raz bardzo dziękuję, krzyknął Bormann na pożegnanie życzliwego mu człowieka.
- Kierowcą okazał się Bawarczyk w nieco młodszym wieku od leciwego właściciela alpejskiej zagrody, niemniej długie życie odcisnęło na jego twarzy wyraźne piętno zmęczenia.

- Widzi pan co przychodzi robić na starość, gdy wszyscy młodzi na froncie, w ziemi lub niewoli, kierowca starał się nawiązać rozmowę, głosem równie głośnym jak praca silnika.
- Widzę, widzę, ja także nie mogę pogodzić się z wieloma rozporządzeniami naczelnego wodza. Ciężarówka wjechała na utwardzony grunt, gdzie większa prędkość na niższych obrotach silnika, umożliwiła swobodniejszą wymianę myśli. We wnętrzu kabiny Martin Bormann poczuł się zupełnie bezpieczny, gdyby teraz ciężarówkę minąć miał znany mu Jepp, nikomu z jego załogi nie przyszkoloby do głowy poszukiwać uciekiniera we wnętrzu ciężarowego samochodu, zmierzającego do najbliższego tartaku.

- Miejmy nadzieję że po rychłym końcu, wszystko wróci do normy
- Będzie musiało minąć co najmniej dwadzieścia, trzydzieści lat, zanim nasz kraj powstanie z kolan.
- Wszystko przez jednego człowieka, radio Hamburg podało że popełnił samobójstwo, a wiele bym dał żeby zobaczyć jego proces, widzieć go wiszącego na stryczku. Z pogardą w głosie powiedział starszy mężczyzna, dając upływ swojej niechęci wobec fuhrera.

Martin Bormann na kilka sekund zawiesił wzrok, przemykając myślami po wydarzeniach ostatnich dni.

- Pan pewnie popierał jego politykę, starszy mężczyzna rzucił podejrzliwe spojrzenia.
- Nie, skądże znowu, posiadam o nim podobne zdanie jak pan.
- A już myślałem, że zdradziłem zakazane poglądy przed niewłaściwą osobą.
- Może już głosić je pan bez obaw, daleko jeszcze?
- Za najbliższym zakrętem może pan wysiąść. O widzi pan tamtą kopułę, to wieża kościoła w Mittenwald, Ratusz znajdzie pan przy głównym rynku, na prawo od kościoła.
- Bardzo panu dziękuję. Bez pana pomocy szedłbym pół dnia.

Martin Bormann zatrzasnął za sobą drzwi kabiny. Wspiął się stromą ulicą na szczyt pagórka, pokrytego ściśle przylegającą do siebie, zabudową. Minął fronton ratusza i skierował się w stronę nieodległego już kościoła. Odruchowo rozglądnął się za wciąż powracającym w myślach, amerykańskim Jeppem, czy przypadkiem nie wyłania się zza któregoś ulicznego załomu, pełen żandarmów, a dobrze zapamiętany kapitan nie wydaje rozkazu natychmiastowego aresztowania zbiega, najpewniej posługującego się fałszywymi personaliami. Szczęśliwie nie dostrzegł nigdzie wokół, rzeczywistych kształtów prześladowającego go widma. Stanął przed fasadą kościoła, objął wzrokiem wierzę zdobną w iluzyjne polichromie, przez moment zastanawiał się czy narożne piaskowcowe boniowania są efektem wysiłków kamieniarza, czy też malarskim zabiegiem. Ujął w dłoń masywną, brązową kołatkę po czym zastukał dwukrotnie we wrota, zdobne w ćwieki i metalowe okucia. Drzwi uchylił niski mężczyzna w podeszłym wieku, w przybrudzonej ubrani, wyglądający na pracownika gospodarcze-

go, w dłoniach trzymał długą, woskową świecę.

- Kris Got, czy mógłbym rozmawiać z proboszczem?

- Kris Got, proszę chwilę poczekać.

Bormann kolejny raz obrzucił badawczym spojrzeniem opustoszały rynek, zadziwił go doskonały stan zachowania wszystkich budynków, zupełnie jak gdyby miasteczko nie zostało potraktowane jako część Niemiec, lub też wojna rozgrywała się na terytorium innego państwa. Dębowe wrota uchyliły się powtórnie.

- Proszę wejść i nie wzbudzać podejrzeń, z wnętrza padły zachęcające słowa księdza. Martin Bormann postąpił kilka kroków naprzód, wchodząc do zacienionej kruchty. Stał naprzeciw siwiejącego mężczyzny, odzianego w luźną sutannę, nakrytą białą komżą.

- Kris God, jestem...

- Wszystko wiem, - przerwał mu proboszcz – oczekuję na pana od wczoraj. Nie chciałem by pozostawał pan zbyt długo na zewnątrz, ażeby mieszkańcy, znający się wszyscy nawzajem, nie snuli domysłów na temat pojawienia się nieznajomego, w szczególności już w tak charakterystycznym mundurze.

Obaj przeszli przez korpus nawowy, kierując kroki ku drzwiom zakrystii.

- Jedyne miejsce w mieście gdzie mogę mieć pewność że nikt nie dowie się o naszej rozmowie - oznajmił ksiądz, wyzbyty wszelkich obaw - niech słucha mnie pan uważnie. Wczoraj otrzymałem od łącznika, pańskie nowe dokumenty. Ksiądz sięgnął do szuflady sekretarzyka wydobywając z niej dwa, niewielkich rozmiarów dowody tożsamości. Wynika z nich że jest pan Austriakiem, zamieszkałym w Obernberg am Brenner w pobliżu granicy z Włochami. W wyniku anszlusu Austrii i zniesieniu granicy, pracującym od kwietnia 1939 -go roku w siedzibie koncernu IG Farben we Frankfurcie nad Menem. Na skutek zniszczeń, zwolnionym z pracy i powracającym najkrótszą drogą do rodzinnego miasteczka. Będzie panu towarzyszył przewodnik, wyposażony w podobne lecz oryginalne dokumenty, zamieszkały faktycznie w tamtym rejonie Austrii i rzeczywiście zwolniony z upadłej fabryki w Rzeszy. W przypadku kontroli powiecie że razem pracowaliście w tych samych zakładach i znacie się od czasu dzieciństwa, z dokumentów wynika że mieszkacie na sąsiednich ulicach. Największy obszar Austrii z północy na południe pokonacie na rowerach, jako najskuteczniejszym środkiem transportu na zablokowanych i zatłoczonych drogach, to jedynie czterdzieści kilka kilometrów. Szczęśliwie w te rejony nie dotarli czerwoni antychryści, a w zeszłym miesiącu zajęli je Amerykanie. Nie spotkał się pan nigdy z austriackim bądź tyrolskim akcentem, by w razie potrzeby spróbować naśladownictwa?

- Niestety nie.

- Nie powinno to być problemem, ich tłumacze na ogół nie wychwytyją różnic językowych pomiędzy Niemcami, a Austriakami. W moim uznaniu jedynym miejscem gdzie może wystąpić jakiekolwiek ryzyko, będzie amerykański punkt kontrolny na dawnej granicy niemiecko – austriackiej. Tam z całą pewnością kontrolowane są dokumenty, będzie się musiał pan zachowywać bardzo wiarygodnie.

- Wychodziłem cało z poważniejszych opresji.

- W miejscowości Vinaders na granicy z Włochami, skontaktuje się pan z proboszczem tamtejszego kościoła, to wszystko o czym poinformował mnie łącznik organizacji zajmującej się pańską ewakuacją. Wyruszą panowie jutro z rana. Byłoby wskazane ażeby już teraz przebrał się pan w dostarczone ubranie, a jeśli to możliwe nie opuszczał murów świątyni, pośród miejscowej ludności zdarzają się alianccy szpiedzy i donosiciele.

- Podzielał pogląd księdza, z uznaniem oznajmił Martin Bormann.

- Oto pańskie nowe ubranie.

Ksiądz pochylił się i sięgnął do drzwiczek zdobnego w rzeźbiarską ornamentykę sekretarzyka. Obok mosiężnych lichtarzy i posrebrzanych krucyfiksów przechowywał stłamszone i sfatygowane części męskiej garderoby.

- Dziwić może pana sposób w jaki potraktowałem pański strój?

- Czy ja wiem, niewiele jest już rzeczy mogących mnie zdziwić, mówiąc to spojrzał obojętnie na stertę nie najczystszych ubrań.

- To specjalne zalecenie łącznika organizacji o nazwie której mnie nie poinformowano, najpewniej pan wie więcej na jej temat niż ja.

- Wiem, naturalnie wiem, muszę jednak zachować względy bezpieczeństwa, nie posługując się nią.

- Rozumiem. Tak więc zgodnie z zaleceniami łącznika musi pan wyglądać jak robotnik, nie okazujący nadmiernego zainteresowania swoim wyglądem, ponadto pokonuje pan rowerem duże odległości. Przesadna elegancja byłaby bardzo podejrzana.

- Racja, racja, oznajmił Bormann uważnie przyglądając się niedbale rozrzuconym częściom garderoby. Wkrótce też się przebiorę.

- Nie będę przeszkadzał. W najbliższym czasie zapraszam na obiad.

- Bardzo dziękuję, z przyjemnością – odpowiedział wygłodniały Bormann.

Bormann bez większego pośpiechu zdjął z siebie mundur leśniczego, uważnie przyglądał się poszczególnym elementom nowej garderoby. Przez moment przerzucał w dłoniach używane, beżowe, wełniane spodnie, zapinane poniżej kolana, przybrudzoną jasną koszulę i kraciastą, wełnianą marynarkę. Na głowę nałożył znoszony kaszket z przełamanym na pół daszkiem. Niespiesznie przywdział spodnie, wciągnął długie getry. Niedbale nałożył koszulę, umyślnie nie zapinając jej na wszystkie guziki. Z niemałym trudem wcisnął na swoją korpulentną posturę nieco za małą marynarkę, na końcu wzuł skórzane, wysłużone buty na przetartym obcasie. Spojrzał po sobie – ostatni raz ubierałem się w coś podobnego we wczesnej młodości, zanim jeszcze wstąpiłem do NSDAP i nie zdążyłem jeszcze przywdziać munduru faszystowskich bojówek. Wydobyl z kurtki munduru zwitek dolarów i umieścił go w wewnętrznej kieszeni marynarki, w ten sam sposób postąpił z testamentem Hitlera wyjmując go zza poszycia myśliwskiego kapelusza. Usiadł na masywnym dębowym krześle, zdobnym w misterne, gotyckie motywy. Wyciągnął przed siebie swobodnie nogi, obserwując zmarszczki i spękania na wielokrotnie pastowanych butach. Nieprzespanie dwu nocy z rzędu, spowodowało powolne pogrążanie się w przedsennym letargu. Do rzeczywistego wymiaru sprowadził go równomierny stukot butów po kamiennej posadzce, niosący się głuchym pogłosem po niewielkim kościele. Zza uchylonych drzwi ukazała się szczupła sylwetka leciwego księdza.

- Zapraszam do refektarza na obiad.

Bormann ostatecznie wytrącił się ze stanu błogiej maligny, stanął na równe nogi i zatrzasnął za sobą drzwi zakrystii. Nieporadnie stawiane kroki w niedopasowanych butach, wymieniały się w regularnych cyklach z równomiernym chodem księdza, niosąc posadzkami kościoła dźwiękową polifonię. We wnętrzu refektarza na jednym z dwu stołów Bormann zastał dwa talerze wypełnione pieczenią wieprzową wraz z knedlem oblanym ciemnym sosem.

- Zwykle jadam w towarzystwie organisty lub kościelnego, jednakże dzisiaj, przez wzgląd na wyjątkowość sytuacji nie zapraszałem nikogo z nich, chcąc uniknąć niewygodnych pytań o cel pańskiej wizyty. Proszę się częstować.

Wygłodniały Bormann zabrał się z animuszem do pochłaniania obfitej porcji, popijając pienistym Warsteinerem z masywnego, litrowego kufła nakrytego ołowianą pokrywą. Nim ksiądz zdążył należycie przystąpić do konsumpcji, Martin Bormann dojadł właśnie ostatnie kęsy, próbując dopić resztki gromadzącej się na dnie kufła, piany.

- Doskonałe danie, nawet na samym Obersalzbergu w kwatrze fuhrera nie serwowano czegoś równie wybornego.

- Dochodząca z miasta kucharka raczy mnie tym podobnymi specjałami już od co najmniej ćwierć wieku.

- Dziwię się tylko że ksiądz nie przybrał mojej postury.

- Wstrzeźliwość drogi panie, grzech obżarstwa jest równie niedopuszczalny jak wszystkie inne.

- Ja już pogodziłem się z myślą o wiecznym potępieniu mojej duszy, chyba że Bóg uzna, jak zakładam, że wszystko co czyniliśmy, czynione było z myślą o boskiej chwale.

- Na oczyszczenie się z grzechów nigdy nie jest za późno. W każdej chwili jestem gotów służyć spowiedzią.

- Chętnie ale przy następnej okazji, obawiam się że ksiądz nie byłby jeszcze gotów na wysłuchanie wszystkich zwierzeń z czynów, jakich zmuszony byłem się dopuścić dla ratowania naszej wspólnej niemieckiej ojczyzny.

- Rozumiem, dla tego też nie nalegam.

- Nie będzie miał ksiądz nic przeciwko jeżeli udam się na poobiednią drzemkę, przez dwie noce nie zmrużyłem oka.

- W pomieszczeniu tuż za zakrystią znajdzie pan wygodną leżankę.

Wyczerpany Bormann pogrążył się w zapadającym z nagłą, przepastnym śnie. Zmęczony umysł nie rejestrował, pojawiających się zwykle przy tej okazji, projekcji sennych marzeń. Ciałem śpiącego nie targały podświadome impulsy, tkwił nie ruchomo w stanie niczym niezakłóconego spoczynku. Doglądający go ksiądz nie ośmielał się przerywać przedłużającego się, ponad miarę snu. Z niepokojem obserwował jak za szybą półkoliście zwieńczonego okna, niepostrzeżenie zapada wieczorny zmierzch. Postanowił zbudzić zapowiadanego gościa dopiero rankiem, gdyby okazać by się miało że przesypia umówiony termin odjazdu.

- Proszę pana, proszę wstawać, za godzinę musi pan wyruszać. Jest pan umówiony z przewodnikiem. Proszę pana, ksiądz nieśmiało potrząsał ramieniem śpiącego.

- Tak, gdzie wyjeżdżać? Która jest godzina?

- Za godzinę powinien pan wyruszyć do Vinaders - Bormann zrzucił z siebie ciężką powłokę senności – Już myślałem że stało się z panem coś nieprzewidzianego, przespał pan całe wczorajsze popołudnie i całą noc.

Tuż po śniadaniu do wrót kościoła zapukał mężczyzna, w pierwszym oglądzie mógł być rówieśnikiem Martin Bormanna. Siedział na rowerze z półkoliście podgiętą kierownicą, podobny rower podtrzymywał za siodło prawą dłonią.

- Guten Tag, będę pana przewodnikiem na trasie do Vinaders.

- Guten Tag.

- Wskazany byłoby żeby trzymał się pan jak najbliżej mnie, mówiąc kolarskim żargonem, siedział mi na tylnym kole. Trasa nie jest długa lecz kręta i dość stroma. Znam liczne skróty gdzie stoki są najłagodniejsze.

- Będę się starał dotrzymać panu kroku.

- Ruszamy.

Chris Got, rzucił na pożegnanie Bormann księdzu, stojącemu w drzwiach kościoła i zjechał tuż za przewodnikiem ulicami miasteczka, łagodnie opadającymi ku podnóżu wzniesienia.

- Do dawnej granicy z '38 – go będzie prawie cały czas z góry, radzę trzymać dłonie na hamulcach.

Nie korzystający od dawna z dwukołowych środków transportu Bormann, musiał na powrót zaznajamiać się z zasadami jazdy na rowerze. Zbyt silny i kurczowy chwyt kierownicy nie zezwalał na płynne wymijanie nierówności, upięte spinaczem poły spodni wkręcały się w łańcuch, co utrudniało koncentrację na kierunku jazdy. Piskliwy dźwięk opon, kontrolowanych hamulcami przyprawiał go o przenikliwy dreszcz. Z trudem utrzymywana równowaga, nie skoordynowane ruchy, nie zezwalały na zajęcie mu wskazanego przez przewodnika miejsca, tuż za tylnym kołem jego roweru. Ileż gotów był bym zaoferować, ażeby znowu znaleźć się na skórzanych siedzeniach służbowego Mercedesa, z kierowcą w białych rękawiczkach, otwierającym mu drzwi przy każdej wymagającej tego okazji – powróciły wspomnienia z nieodległej jeszcze przeszłości. Wszystkie niedomagania ustąpiły jednocześnie w momencie poinformowania go, przez oglądającego się za siebie przewodnika, o zbliżaniu się do punktu kontrolnego i konieczności szybkiego doszusowania na wskazane tuż za jego rowerem, miejsce. Na wieść o tym, uzyskane niegdyś lecz nie doskonałe umiejętności, zajęły teraz miejsce pośród tych kontynuowanych w sposób nieprzerwany i w jednej chwili rozpędzony Bormann dołączył do podążającego przed nim rówieśnika.

Rozstawiony najpewniej przed kilkoma dniami punkt kontrolny, wydawał się być aż nadto prowizoryczny. Funkcję szlabanu pełniła przeciągnięta w poprzek drogi linka holownicza, za wartownię posłużyła okazałych rozmiarów skrzynia po amunicji, pozbawiona wieka, ustawiona pionowo. Na widok dwójki zbliżających się rowerzystów wyłonił się z niej amerykański żołnierz, w doskonale znanym Bormannowi uniformie. Bez słowa wyciągnął prawą dłoń po dokumenty tożsamości. Obaj mężczyźni podali je niemal równocześnie. Wartownik przyjrzał się najpierw twarzy przewodnika, następnie Bormannowi, po czym udał się do zaparkowanego za wartownią Jeppa. Po upływie kilku minut powrócił i bez słowa zwrócił je właścicielom, wkrótce też zwolnił grubą, holowniczą linę. Mężczyźni mocniej nacisnęli na pedały. Nabierające prędkości rowery na wąskich zakrętach wygarniały spod wąskich opon, obłoki płowego pyłu. Kręta, splantowana do równości droga prowadziła wijącymi się serpentynami w dół do koryta doliny, zaznaczającej się w oddali głębokim, skalnym rozstępem. Alpejski masyw wypiętrzał się tutaj, osiągając wysokość prawie trzech tysięcy metrów. Wjechali na długi prosty odcinek, po obu stronach mieli pochyłe granie skalistych stoków, jazda mogła przybrać jednostajne, nienadwyżające sił, tempo.

- Możemy mówić o prawdziwym szczęściu oddając ten obszar Austrii pod dozór Amerykanów, gdyby dotarła tutaj rosyjska ofensywa spod Wiednia, nie przepuścili by nas tak łatwo.

- Wiadomo czego można spodziewać się po tych azjatyckich dzikusach, jedyna nadzieja dla Niemiec i Austrii we współpracy z Anglosasami, odpowiedział bez zastanowienia Bormann.

- Na podstawie swoich doświadczeń nie mogę na ich temat powiedzieć złego słowa.

- Oprócz tego że pobili nas w Normandii, Ardenach, nad Renem i całej reszcie Niemiec i zachodniej Europy, a oprócz tego zbombardowali wszystkie większe miasta, żartobliwie dodał Bormann.

- Obaj wiemy z jakich powodów, poważniej odpowiedział przewodnik.

Martin Bormann nie zamierzał dłużej podtrzymywać niewygodnego tematu, przyspieszył tempo jazdy, zanim rysujące się przed nimi wzniesienie, mogło je skutecznie ograniczyć. Stromy podjazd opłatał najbliższe, górskie grzbiety wstęgą krętych dróg, na podobnych odcinkach dalsza jazda stawała się niemożliwa. Prowadzone za kierownicę rowery podążały wzwyż za idącymi obok mężczyznami w tempie podobnym do morderczej, kołowej wspinaczki. Utracony na podjazdach czas nadrabiali na długich zjazdach, asekurując się przed rozwinięciem nadmiernej, trudnej do opanowania, prędkości. Majowe przedpołudnie sprowadziło na alpejskie szczyty aurę przejrzystego, wiosennego powietrza. Bormann, na ile tylko pozwalała mu podzielność uwagi, podczas łagodniejszych zjazdów, koncentrował wzrok na otaczających dolinę skalnych graniach. Szczyty, doskonale widoczne w najodleglejszej perspektywie, pokryte śnieżną powłoką, odbijały jaskrawe, słoneczne refleksy, te nakładały ciemne plamy mroku na utkwiony w nich wzrok. Zmęczone spojrzenia kierował wówczas ku porowatej powierzchni gołoborzy, osypujących się skalnym rumoszem w dół stromych zboczy, ku porośniętym koso-drzewiną niższym połaciom górskich masywów. Długie zjazdy serpentynami stromych dróg nie dozwalały już na dłuższe rozkoszowanie się urokiem krajobrazów. Bormann, w podziwianiu panoramy Alp wysokich znajdujący sposób na rozładowanie napięcia, nagromadzonego od kilku miesięcy, a w szczególności przez ostatnie dni, zmuszony był teraz całą uwagę skoncentrować na kierownicy roweru i następujących szybko po sobie zakrętach, wyłaniających się niespodziewanie zza skalnych zboczy.

- Czerwone dachy tam po lewej to Innsbruck. Przejechaliśmy więcej niż połowę drogi, oznajmił przewodnik odchylając w tył głowę.

Bormann spojrzał we wskazanym kierunku. Wijąca się w dole niebieska wstążka to najpewniej Inn, rzeka przepływająca

przez miasto narodzin fuhrera, uważałem że jest znacznie szersza – uznał po chwilowej obserwacji. Zaniechana przez lata kondycja fizyczna przypominała o sobie, pojawiającymi się cyklicznie falami gorąca, omiatającymi górne części ciała, długimi okresami zadyszki, zwiotczeniem, a później stwardnieniem mięśni nóg. Wiadomość o nieodległym już końcu wyprawy podziałała budująco na wyraźnie już zmęczonego Bormanna. Wyteżał wszystkie siły ażeby podążać jak najbliżej tylnego koła rówieśnika, a każde zbliżenie się na niewielką odległość traktował jako osobisty sukces, mając świadomość że pochodzący z serca Alp przewodnik posiada wrodzoną odporność na trudy wysokogórskiej wspinaczki. Nie zrażał się też na najtrudniejszych odcinkach, podczas gdy przewodnik oczekiwał na niego oparty wraz z rowerem o skalną stromiznę, bądź też o pień wysokopiennego świerku. Przewodnik dla udowodnienia swoich umiejętności, starał się jechać jak najbliżej oddychającego głośno Bormanna i prawą dłonią opartą na jego ramieniu popychał go na przód. Niepozorna pomoc okazywała się być znaczącym źródłem wsparcia, pokonywanie łagodniejszych podjazdów okazywało się możliwe bez konieczności przystawiania na dłuższy odpoczynek. Nie musiał też narażać na nadmierny wysiłek serca, przyspieszającego pracę do niepokojącego tempa. Na szczycie wzniesienia niczym nie różniącego się od wszystkich poprzednich, Bormann przestał liczyć je po podejździe na trzeciej z rzędu, asekurujący go przewodnik, wspierając obie dłonie na kierownicy roweru oznajmił.

- Dalej musi już radzić sobie pan samodzielnie, wjechaliśmy na ostaną pochyłą prostą, za najbliższym zboczem ukaże się Vinaders, po czym wyprzedził Bormanna i pomknął w dół środkiem utwardzonej drogi. Ten starając się dotrzymać mu tempa utkwiał wzrok w tylnym kole, jadącego przed nim roweru, równia pochyła wkrótce się skończyła i Bormann zmuszony był zdobyć się na niemały trud, by dystans między mężczyznami nie powiększał się. Rowerowa rywalizacja sprawiła że niepostrzeżenie znaleźli się pośród zabudowań Vinaders.

- Tutaj nasze drogi muszą się rozjeść.

Ujechali jeszcze wspólnie kilkuset metrów, zza kępy dębów wyłoni się sylweta kościoła.

- Muszę skręcić w lewo, oznajmił zdyszany przewodnik.

- Bardzo dziękuję, rozumiem że został pan należycie opłacony.

- Niech się pan nie obawia, aż za dobrze.

Bormann mógł już zwolnić, z czym nie zamierzał długo zwlekać. W tempie niewiele większym od idącego człowieka, podjechał pod fasadę kościoła, oblicowaną jasnym piaskowcem. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu wzbudających podejrzenie, osób. Ujął w dłoń mosiężny łańcuch dzwonka, bezwładnie zwisający wzdłuż kamiennego muru. W nieśmiało otwieranych drzwiach stanął niewysoki, łysiejący ksiądz w średnim wieku o przenikliwym i podejrzliwym spojrzeniu.

- Kris Got.

- Kris Got, odpowiedział ksiądz opanowujący nieufność.

- Przyjechałem z miejscowości Mittenwald po niemieckiej stronie, z polecenia księdza tamtejszego kościoła.

- Od razu się domyśliłem, od razu też pana poznałem, proszę wejść.

- Aż tak bardzo rzuca się w oczy mój wygląd?

- Czytam dużo gazet, a na ich szpaltach pojawiał się pan wyjątkowo często. Od czasu do czasu oglądałem też kroniki filmowe. Proszę wybaczyć tę podejrzliwość, lecz są to najzwyklejsze środki ostrożności – kontynuował ksiądz będąc już w zimnym, kościelnym wnętrzu – w tym tygodniu przyjąłem czterech, zaanonsowanych mi, wysokich stopniem niemieckich funkcjonariuszy państwowych. W zeszłym tygodniu kilku chorwackich faszystów, obawiam się obserwacji punktu przerzutowego przez niepowołane osoby.

- Doceniam przezorność księdza. Nie zauważyłem nikogo podejrzanego. Miałbym jedną prośbę, ażeby moją obecność tutaj, zachował ksiądz w sekrecie.

- Tego może być pan pewien. Doszły mnie słuchy że władze okupacyjne domyślają się istnienia siatki przerzutowej, lecz nie interweniują w przekonaniu, że będą musiały z niej skorzystać dla wydostania z Europy pracujących dla nich agentów, ponoć w szczególności z terenów zajętych przez Związek Radziecki. My, jak przypuszczam udzielimy im wszelkiej pomocy, mogącej się przysłużyć osłabieniu antychrystów spod znaku czerwonej gwiazdy, zamieniających wszystkie napotkane na swojej drodze kościoły w składy amunicji. Mordując natomiast księży, pytają ich „czemu Bóg nie uchronił ich od śmierci?”. Prawdziwy dopust boży że zatrzymali ofensywę w środkowej Austrii, bo zastałby pan ruiny świątyni, a zamiast mnie oficera politycznego NKWD.

- Ma ksiądz rację, można by tutaj przywołać słowa Churchilla „Gdyby Hitler napadł na piekło udzieliłbym rekomendacji Lucyferowi”.

- Lucyfera póki co do naszych spraw nie mieszajmy.

- Przepraszam, posunąłem się zbyt daleko, starał się załagodzić swój nietakt Bormann.

Przeszli do zakrystii a stamtąd, bocznym wyjściem do budynku plebani.

- Z zaleceń przedstawionych przez łączników wynika że w pańskim przypadku posłużymy się sprawdzonym schematem. Zachowa pan swoje austriackie dokumenty i ubranie. Ku przełęczy Brenner wyruszy pan z miejscowym przewodnikiem,

wcześniej wypijecie kilka sznapsów, by wyraźnie wyczuwalna była woń alkoholu. W przypadku gdy napotkacie amerykański patrol, co nie zdarza cię często, powiecie że wyszłście z gospody i pośród ciemności, będąc nietrzeźwymi pomyliliście drogę. W najgorszym wypadku patrol zawróci was z powrotem. Po włoskiej stronie uda się pan do kościoła w Brennerbad i posłuży się hasłem „Szczurza lina”, tamtejszy ksiądz udzieli panu dalszych wskazówek. Do wieczora pozostało kilka godzin, ma pan jakieś życzenia?

- Chciałbym odpocząć, ostatnie dni były dla mnie nadzwyczaj wyczerpujące.

- Może pan skorzystać z mojej leżanki.

- Najmocniej dziękuję. Później zamierzam zgodnie z planem udać się do gospody, nie będzie to chyba stanowić problemu?

- Nie powinno, radziłbym tylko głębiej naciągnąć kaszkiet.

Odczuwający narastające zmęczenie Bormann, oddał się niczym nie skrępowanemu odpoczynkowi. Nie zakłócały go nawet, unoszące się zwykle w podobnych stanach i okolicznościach na pograniczu jawy i snu, obawy i niepokoje o pomyślność całej akcji. Tym razem nie powracały obciążające pamięć, niepożądane wspomnienia i myśli, podążające w kierunkach niezależnych od jego woli. Ocknął się na odgłos otwieranych przez księdza drzwi, w jednej sekundzie stanął na równe nogi. Czynności tej dokonał odruchowo, jak zwykł to czynić, składając fuhrerowi kolejny, nie najłatwiejszy do przedstawienia, raport. Niespiesznie opuścił budynek plebani i udał się we wskazanym kierunku do nieodległego obiektu z napisem Gasthof. Miał się on okazać nieco obszerniejszą piwiarnią, poszerzającą swoją ofertę o skromne, lokalne menu.

- Poproszę litrowy kufel piwa, sto gramów mocniejszego alkoholu i porcję podpiekanych bratwurstów.

- Puntigamer czy Wieselburger.

- Obojętne.

- Przyjąłem zamówienie - odpowiedział stojący za ladą barman - może pan zająć miejsce za którymś ze stołów.

Wypite jako aperitif sto gram palinki, rozplynęło się gorącą falą po organizmie, wywołując stan ogólnego rozluźnienia. Wychylenie zawartości ociekającego pianą, litrowego kufła nie stanowiło dla Bormanna żadnej trudności. Porcja bratwurstów przepijana głębokim haustami piwa, znikła w równie szybkim tempie. Zamówił kolejną „setkę” śliwownicy, spojrzał na roztaczające się za oknami, gotowe kompozycje alpejskich pejzaży, po czym opuścił Gasthof niezrównoważonym krokiem. Ostatnio pijany bywał podczas ostatecznego rozprzężenia wszelkich norm w berlińskim bunkrze, zupełnie oficjalnie, za przyzwoleniem fuhrera – wspominał zdarzenia z minionego tygodnia i uznał że właśnie nadeszła najwyższa pora, by kolejny raz zrzucić z siebie wszelkie obawy i złe przeczucia, obciążające umysł w stanie trzeźwości.

- Ksiądz wybaczy, ale zastosowałem się do zaleceń, zagadnął wychodzącego naprzeciw księdza.

- W takim stanie właśnie powinien znaleźć się pan na granicznej przełęczy, przewodnik powinien też wkrótce się stawić.

Przewodnik, młody Tyrolczyk w ubiorze nie odbiegającym znacząco w fasonie od stroju Bormanna, jako wyróżniający go element garderoby, nosił na głowie zielony kapelusz z bażancim piórem. Znajdując się w zbliżonym stanie alkoholowego odurzenia, z entuzjazmem powitał kolejnego człowieka, jakiego przeprowadzić miał przez przełęcz Brenner, na pograniczu austriacko – włoskim.

- Guten Abend, rozległo się gromkie powitanie. Bormann odpowiedział w podobnie niefrasobliwy sposób.

- Odnoszę wrażenie, że skądś pana znam, oświadczył przewodnik po bliższym przyjrzeniu się twarzy Marina Bormanna.

- Najpewniej z okopów pod Stalingradem, albo ze strażniczej budki w obozie w Gross – Rosen odpowiedział w żartobliwym tonie Bormann.

- Przez okres prawie całej wojny pełniłem służbę w okupowanej Francji.

- Nie ma pan chyba złych wspomnień?

- Wspominać mogę tylko stan w jakim rozmawiam teraz z panem, z francuskimi winami nie mogą równać się niemieckie reńskie ani austriackie ausbruchy.

- Obawiam się tylko czy w takim sanie odnajdzie pan właściwą drogę.

- Bez obaw, przekraczałem granicę znacznie bardziej rozweselony. W razie pojawienia się amerykańskiego patrolu, wie pan co mówić?

- Zostałem już wystarczająco poinformowany.

- W takim razie możemy wyruszać. Przemieszczać się będziemy przejściami wzdłuż głównej drogi, miejscami wzdłuż trakcji kolejowej, zdarza się że w nocy przejeżdżają nimi alianckie konwoje i pojedyncze samochody.

Przysłuchujący się rozmowie ksiądz, skierował kroki ku bocznemu wejściu do kościoła.

- Wdzięczny jestem za pomoc, wszystkie należności zostaną wyregulowane, rzucił na pożegnanie Bormann w kierunku odchodzącego księdza.

- Szerokiej drogi do Brennerbad.

- Szli wąskimi uliczkami, przekraczając w poprzek cienie rzucane ostatnim tchnieniem zachodzącego słońca. Wydostali się na rozległy masyw porośnięty lasem mieszanym. Pomiedzy ściśle przylegające do siebie strzeliste wieżycy jodeł i świerków, wbijały się klinem rozłożyste buki. Modrzewie pokryte świeżą zielenią nabrzmiałych pąków, rozjaśniały ciemno zie-

lony monolit jodeł i świerków. Z wolna zapadający wieczór pokrywał je ciemną, matową poświatą zapadającego zmroku. Uskakujące spod butów kamienie turlały się w dół osuwisk, niektóre z nich zatrzymywały się na krawędziach łagodnych stoków. Soczysta zieleń alpejskich łąk, po obu stronach drogi ciągnęła się długimi pasmami w najodleglejsze zakątki polonin, niknąc na ich krańcach za ciężką kotarą zmroku. Nim jeszcze zdążyła zapaść noc, dwaj mężczyźni zdołali przedostać się zwężającą się drogą, pomiędzy dwa strome górskie, zbocza. Łagodnym wzniesieniem wspięli się na szczyt skalnej wyniosłości, przechodzącej później w szerokie, łagodnie wysklepione dno doliny. W zapadającej ciemności dostrzegalne stawały się tylko kredowobiałe płaszczyzny skalistych grani, na ich tle odcinały się poziomymi liniami elektryczne kable trakcji kolejowej. Zza przysłony chmur z trudem docierał blask najjaśniejszych z gwiazd, a nikła poświata dopełniającego się księżyca, ledwie przypruszała wyblakłym światłem, trasę górskiego szlaku.

- Mamy szczęście, podczas takiej ciemności Amerykanie zwykle nie wystawiają na granicy patroli.

- Jest pan przekonany że podczas tak ciemnej nocy zdołamy zachować właściwy kierunek.

- Do Brennerbad trafiłbym nawet z czarną przepaską na oczach. Przełęcz Brenner znam od dziecka. Zbliżając się do granicy radziłbym zachować mimo wszystko milczenie, będąc niezauważonymi moglibyśmy zostać usłyszani.

Zwężająca się ścieżka, niezależnie od powziętego postanowienia o zachowaniu ciszy, zmusiła idących obok siebie mężczyzn do przemieszczania się w pojedynczym szyku. Przewodnik rzucał zza siebie zdawkowe wskazówki, doradzał w jaki sposób ustrzec się przed upadkiem na osuwającym się spod stóp, skalnym rumoszu. Przestrzegał przed oślizgnięciem się na do kilkumetrowego żlebu, co nie mogło grozić śmiercią, z pewnością jednak poważną kontuzją, mogącą zaważyć na dalszych losach wyprawy. Stosujący się do wszelkich sugestii Bormann, starał się stawiać stopy w miejscach, skąd przed kilkoma sekundami oderwały się nogi przewodnika. Ograniczona widoczność nie zezwalała na swobodniejsze rozporządzanie, ograniczoną do minimum przestrzeń. Dokonywana po omacku wędrówka, uwrażliwiła zmysł dotyku, przetwarzając każdy impuls płynący z rąk i nóg, w wyobrażenie otaczającej przestrzeni, spowitej nieprzebrnioną ciemnością. Uniedogodnienia te, jak też stan alkoholowego rozluźnienia, wbrew obawom Bormanna nie przekładały się na spowolnienie tempa marszu, wkrótce też przewodnik oznajmił że zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem, przekroczą granicę austriacko – włoską i jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, nad ranem powinni dotrzeć do celu wędrówki. Zdradzający oznaki zmęczenia Bormann, odczuł przyływ nie przeczuwanych w sobie sił, kolejne kroki stawiał z wyraźnym entuzjazmem, zwracając już mniejszą uwagę na wydobywające się z ciemności, kontury wąskiej ścieżki. Do osiągnięcia pełnej prędkości jaką jest w stanie rozwinąć idący człowiek, przyczynił się wydobywający się nieśmiało zza nasady szczytów, świt. Porywami alpejskiego wiatru wydawał się rozpędzać ostatnie strzępy mroku. Szczyty po stronie włoskiej wydały się Bormannowi niższe i mniej agresywne w formie, lecz mogło to być tylko złudzenie wywołane całonocnym marszem w ciemnościach, wykluczających sens wszelkich porównań.

- Zamierza pan dostać się do kościoła w Brennerbad? Zapytał przewodnik, rozglądając się na boki.

- Z takim właśnie zamiarem wyruszyłem na tę wyprawę.

- Zza tamtej grani, przewodnik wskazał dłonią nieznacznie na lewo, powinna wkrótce wyłonić się kościelna kopuła.

Ostatni etap wyprawy przebiegał niemal płaskimi odcinkami szerokich ścieżek. Bormann spojrzał za siebie, po tamtej stronie przełęczy pozostawiał zamknięty etap dotychczasowego życia. Domysły na temat swojej śmierci lub też swoich dalszych losów, które prędzej czy później pojawią się pośród przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, poszukujących dowodów na jego śmierć bądź ucieczkę. Odwrócił głowę i patrzył długo przed siebie, zza pochyłych i przygarbionych szczytów wyczuwał niosący się wraz z żywym, wiosennym wiatrem, powiew wolności. Promesę szansy na nowe życie z nowymi personaliami, w nieznanym sobie miejscu.

Będzie to drugie wcielenie człowieka zmuszonego, przynajmniej oficjalnie wyrzec się swojej przeszłości, przybrać wiarogodną maskę nowej tożsamości, a jednocześnie zachować wszystkie nieodrodnie przypisane cechy charakteru, nawyki, przyzwyczajenia, przekonania, ideały. Z pewnością nie będzie to wyzwanie łatwo wykonalne, lecz takimi były niemal wszystkie inne, jakim zmuszony był dotąd stawiać czoła – uznał, po dłuższym zamyśleniu. Na alpejskie szczyty patrzył z przekonaniem sprostania wszelkim trudnościom i podjętym wyzwaniom. Zgodnie z zapowiedzią przewodnika, mającą za zakretem nikłą sylwetka kościoła szybko olbrzymiała, aż przysłoniła wszystkie znajdujące się w pobliżu budynki, w tym okazałych rozmiarów pensjonat. Ukazała się we właściwej skali, gdy obaj wędrowcy stanęli u podnóża wysmukłej kościelnej wierzy, zwieńczonej dzwonnicą. Z ażurowych okien wyłoniły się zarysy niewielkiej sygnaturki.

- Na mnie już czas, całą drogę próbowałem uświadomić sobie skąd pana znam i nie zdołałem, może w drodze powrotnej się to uda.

- Podaruję panu coś ażeby się nie udało, Bormann wydobył z wewnętrznej kieszeni marynarki pięćdziesięcio dolarowy banknot i wręczył go przewodnikowi.

- Zostałem już wystarczająco opłacony, powiedział onieśmielony Austriak.

- W trudnych, powojennych czasach z pewnością się przyda.

- Bardzo dziękuję i niczego już nie będę starał się sobie przypomnieć, dodał na pożegnanie przewodnik oddalając się ty-

łem.

Martin Bormann zakolała do okutych metalowymi sztabami, masywnych drzwi kościoła.

- Kris Got, powiedział zmieszany Bormann, widząc zdziwienie ukazujące się na zmęczonej twarzy duchownego.

- Któż śmie niepokoić o tak wczesnej porze pogrążonych w modlitwie, zapytał po niemiecku ksiądz.

- Zostałem umówiony z proboszczem tutejszej parafii. Rekomendował mnie ksiądz z kościoła w Vinaders, hasło rozpoznawcze „,Szczurza lina”.

- Ach tak, nie spodziewałem się pańskiego przybycia o tak wczesnej porze, proszę wejść. Bormann postąpił kilka kroków na przód, a znalazłszy się we wnętrzu kamiennej budowli, uczył chłód jeszcze przenikliwszy niżeli podczas pokonywania alpejskiej przełęczy.

- Skąd tak dobrze ksiądz zna niemiecki?

- W Tyrolu wszyscy mówią po niemiecku, pogranicze austriacko – włoskie od wieków było przedmiotem sporu i przechodziło z rąk do rąk, oznajmił ksiądz uchylając drzwi zakrystii. Proszę spocząć.

Wskazał Bormannowi tapicerowane skórą krzesło, ten wygodnie rozsiadł się prostując przed sobą nogi.

- Nie wiem kim pan jest, ani też nie zamierzam wiedzieć. Koordynator z ramienia organizacji jaka zajmuje się pańską, nazwijmy to ewakuacją, poinformował mnie o szczególnych względach tajności i ostrożności. Z udzielonych mi instrukcji wynika, że następnym etapem podróży będzie przedostanie się do Genui. Będąc tam, uda się pan pod wskazany przeze mnie adres, będzie to kościół Sant' Antonio di Pegli. Przy tej samej ulicy via Balbi pod numerem 9 znajduje się zaufany pensjonat, gdy będzie pan chciał skorzystać z jego usług, nie wzbudzi pan tym niczyjego zainteresowania. - Martin Bormann przysłuchiwał się skoncentrowany - W kościele San't Antonio uzyska pan dalsze wskazówki odnośnie wizyty w tamtejszej siedzibie Czerwonego Krzyża, celem potwierdzenia pańskiej nowej tożsamości i otrzymania paszportu, umożliwiającego wydostanie się z Europy. Większej ilości informacji nie jestem panu w stanie udzielić, uzyska je pan na kolejnym etapie. Oto bilet kolejowy do Genui, numerowana miejscówka w pierwszej klasie i pięćset tysięcy lirów na wszelkie nieprzewidziane wydatki. O tej kwocie mówił łącznik przekazujący mi przedwczoraj przesyłkę, nie liczyłem, proszę więc przeliczyć. Mówiąc to ksiądz przekazał Bormannowi zwinięte w rulon banknoty i złożony w pół bilet.

- Nie ma takiej potrzeby, wszystko musi się zgadzać.

- Podczas podróży posłużę się pan dotychczasowymi, austriackimi dokumentami. O ile wiem granicę z Włochami przekroczył pan nielegalnie, więc nie posiada pan paszportu. W przypadku kontroli oświadczy pan że wybrał się do Genui w celach matrymonialnych, do poznanej niedawno kobiety, imię której pan zapamiętał, może to być Julietta, Claudia, Sofia, nazwiska której natomiast pan nie zna. W pociągu wraz z marynarką skradziono panu paszport i zamierza pan w tamtejszym konsulacie wystarać się o tymczasowy. Marynarkę zostawi pan tutaj, o tej porze roku, nawet w północnych Włoszech jest wystarczająco ciepło, by pozostać w samej koszuli. Alibi to wydaje się być trochę ryzykowne, lecz wydanie panu włoskich dokumentów, pozbawione byłoby wiarygodności ze względu na nieposługiwanie się językiem włoskim. Dla wyzbicia się obaw powiem, że kontrole dokumentów we Włoszech nie zdarzają się zbyt często, władze okupacyjne wiedzą o bezskuteczności przymuszania Włochów do noszenia przy sobie papierów. Najbliższy pociąg do Genui odchodzi za..., w przybliżeniu za dwie i pół godziny. Zamierza pan wyruszyć dzisiejszego przedpołudnia, popołudniem czy może podróż odłożyć na jutrzejszy dzień? W pobliżu kościoła napotkał pan z pewnością pensjonat, właściciel jest zakonspirowanym współpracownikiem siatki przerzutowej, o wszelką dyskrecję może być pan spokojny.

- Zamierzam wyruszyć tak szybko, jak tylko możliwe. Zostanie ksiądz odpowiednio wynagrodzony.

- Wystarczającą nagrodą będzie uwolnienie Europy od czerwonych antychrystów, jeżeli się wam to uda, nie oczekuję żadnych innych nagród.

Podróż pociągiem w pierwszej klasie przebiegała bez udziału nieprzewidzianych zdarzeń. Jedyną osobą jaka zakłóciła spokój zapatrzonego w alpejski pejzaż północnych Włoch Bormanna, był konduktor wizytujący przedział. Za okazany do kontroli bilet podziękował z włoską prostolinijnością i usiłował w języku tym, oznajmić że podróż potrwa jeszcze około godziny, niezrozumiany jednakże przez Bormanna, bezradnie rozkładającego ręce, wiadomość tę przekazał w języku migowym. Niepokojony przez nikogo, mógł w nieograniczony niczym sposób kontemplować roztaczający się szerokimi panoramami górzysty krajobraz, roztapiać wzrok w pejzażu wypłaszczającym się wraz z każdym mijanym kilometrem. Przywierać spojrzeniem do strzelistych cyprysów, grubych pni i rozłożystych konarów cedrów. Na drgającej linii horyzontu, rozgrzanej włoskim słońcem, rysowały się sylwetki sosen piniowych i oleandrów. Nadwyrężone nocną wyprawą oczy, nieustannie wytężane w chęci przeniknięcia mroku, teraz odpoczywały, oddając się obserwacji najodleglejszych właśnie obszarów, oglądu których nie zakłócał jadący szybko pociąg, a które przesuwwały się w leniwym tempie sunącego po nich, wzroku. Niepostrzeżenie też jego wzrok pogrążył się w przepastnej czerni zmrużonych powiek, w obserwacji rozmytych obrazów, podsuwanych przez senne wizje, podążające za usypiającą wyobraźnią. Nie mniej zmęczoną, nieustanną gotowością do szybkiej riposty na wszelkie nieprzewidywane wyzwania, pojawiające się podczas przedłużającej się ucieczki. Wkrótce zbudzony przez konduktora potrząsającego go za bark, nie był w stanie przypomnieć sobie, który z kadrów

włoskiego pejzażu widział jako ostatni, a informacja że pociąg zjeżdżał będzie wkrótce na bocznice, strzepnęła z niego resztki lepkiej senności.

- Jesteśmy na dworcu Genua Bringole, dokąd zamierza się pan udać, jeżeli wolno spytać?
- Na via Balbi, odpowiedział bez namysłu Bormann, odzyskujący pełnię władz umysłowych.
- To niedaleko stąd, ażeby jednak nie pobłądzić, doradzałbym zamówić taksówkę. Postój znajduje się vis a vis dworca.
- Najmocniej panu dziękuje, powiedział schodząc po stromych schodach wagonu.

Taksówkarz siedzący za kierownicą Fiata 508 bez trudu przywołał w pamięci nazwę ulicy wymienioną przez Bormanna. Wolno toczący się samochód wąskimi i zatłoczonymi ulicami Genui, mijał ściśle przylegające do siebie elewacje kilku-piętrowych kamienic. Pomalowane w kolorze odcieni piasku wraz z ceglasto czerwoną barwą dachówek, w niczym nie odbiegały od wyznaczników śródziemnomorskiej, miejskiej architektury we włoskim wydaniu. Pomiedzy ich dachami, rozłożyste palmy potrząsały sztywnymi płachtami postrzępionych liści, z przydomowych ogrodów wylaniały się mięsiste łodygi kolczastych opuncji. Zafascynowany tak nagłą zmianą krajobrazu i klimatu Bormann, śledził każdy przejaw śródziemnomorskiego modelu życia. Obserwował znużonych upałem Włochów, siedzących w wieloosobowych grupach w cienistych obszarach rozgrzanego miasta. Ochoco gestykulujących podczas wychylania kolejnych kieliszków wina, pod rozłożystymi parasolami w ogródkach restauracji. Leniwi makaroniarze – pomyślał Bormann, folgują sobie do woli. Wojna skończyła się dla nich prawie dwa lata temu, zresztą tak naprawdę dla nich nie istniała, dopiero Anglosasi po lądowaniu na Sycylii dali im do zrozumienia co naprawdę ona oznacza.

Przez uchylona okna do wnętrza taksówki przedostawał się, długo pozostający w nozdrzach przenikliwy aromat ryb, krewetek, ostryg i innych owoców morza, starannie wyeksponowanych, gatunek obok gatunku, na mijanych, przydrożnych straganach. Łagodziła go słodka woń cytrusów, pochodzących zapewne z nieodległych plantacji, a także mdły i ciężki zapach daktyli i fig, dostarczonych z odleglejszych miejsc, a wystawionych przed sklepami w pojemnych, wiklinowych koszach.

- Pod jaki numer chciałby pan dojechać, zapytał łamaną niemiecką taksówkarz.
- Pod numer 8, ażeby nie wzbudzać podejrzeń, Bormann podał numer pensjonatu.
- Pensjonat San Carlo, to po przeciwnej stronie ulicy, jesteśmy prawie na miejscu, oznajmił w zrozumiałym sposobie kierowca.

Taksówka, zatrzymująca się wzdłuż długiego ciągu budynków, rozwibrowaną pracą silnika, przerwała cichą i senną atmosferę opustoszałej ulicy. Gorące popołudnie przetaczało chodnikami kłęby wilgotnego powietrza, przynoszonego morską bryzą znad pobliskiej zatoki. Taksówkarz podziękował za hojny napiwek i łagodnym łukiem przetoczył samochód na przeciwny pas ruchu. Zniknął za najbliższym zakrętem, a wraz z nim przejrzysta chmura niebieskich spalin. Bormann rozglądnął się po najbliższej okolicy, po przeciwległej stronie ulicy wzbijała się w niebo wieża kościoła Saint' Antonio di Pegli, przeszedł ulicę i zakotał do masywnych wrót. Otworzył je mnich w brązowym habicie, przepasanym białym sznurem, wystawiając poza wrota łysą głowę. Wypowiedział kilka włoskich słów, w odpowiedzi uzyskując podobną ilość słów w języku niemieckim, na skutek czego domyślając się, bądź też nie celu wizyty, zapraszającym gestem zachęcił Bormanna do przekroczenia progu. Gestem dłoni wskazał miejsce, tuż za drzwiami gdzie przybysz mógłby spocząć, po czym zniknął niemal bezszelestnie, przemieszczając się posadzkami kościelnego transeptu. Wkrótce spomiędzy ławek wyłoniła się postać wysokiego, szczupłego księdza, zwieńczona gęstym puklem siwiejących włosów.

- Jestem z polecenia księdza z Brennerbad, rozpoczął od konkretów Bormann, nie wiedząc w jaki sposób wymienić katolickie przywitanie z włoskim duchownym. Hasło rozpoznawcze jakim się posługuje to „Szczurza Lina”
- Czyżby posiadał pan dokumenty Austriaka zamieszkałego w Obernberg am Brenner, zapytał bezbłędną niemiecką ksiądz.
- Takie właśnie posiadam.

- Zostałem powiadomiony o pańskiej wizycie już przed kilkoma dniami, zwrócono też uwagę na przestrzeganie w pańskim przypadku szczególnej klauzuli tajności, nie zamierzam też zadawać bezużytecznych pytań, przejdźmy jednak do bardziej odosobnionego miejsca.

Obaj mężczyźni przeszli główną nawę kościoła, kierując się do apsydy, stamtąd z kolei do pomieszczenia gospodarczego, znajdującego się na tyłach kościoła. Niewielkich rozmiarów schowek skrywał dewocjonalia najrozmaitszego rodzaju i przeznaczenia. Pod jedną ze ścian stały uszkodzone rzeźby, wymagające uzupełnienia ubytków i wykonania polichromii. Krzyże z przełamanymi ramionami. Barokowy, rzeźbiony w drewnie, miniaturowy ołtarz z uszkodzonym tympanonem, poniewierał się w spowitym pajęczynami, narożniku. Barokowe obrazy w wyrafinowanych zdobionych ramach, stały w kilku nieregularnych rzędach. Obok siebie zajmowały naprzemiennie miejsca bezładnie rozstawione monstrancje, sztandary, ponad metrowej wysokości mosiężne lichtarze, i wiele pomniejszych przedmiotów trudnych do określenia, stanowiących dawne wyposażenie kościoła. Oglądającego się wokół Bormanna owiała atmosfera kilkusetletniej tradycji kościoła w jakim się znalazł, skondensowana na niewielkiej przestrzeni, wypełnionej przedmiotami, posiadania których nie powsty-

dziłoby się niejedno z największych europejskich muzeów – oczywiście zanim ich doszczętnie nie ograbiliśmy - dodał w myślach. Niepowtarzalnego wrażenia obcowania z dziedzictwem historii, dopełniały niedoświadczone dotąd zapachy, a stanowiące połączenie, wielokrotnie na przestrzeni wieków konserwowanego drewna, werniksowanych płócien, utleniającego się srebra.

- Proszę spocząć z pewnością jest pan strudzony tak długą podróżą, powiedział ksiądz wskazując na skórzaną kozetkę.

- To już trzeci, bądź też czwarty dzień, straciłem już rachubę czasu.

- Domyślam się, o ile mi też wiadomo pański paszport jest już gotowy. Argentyńska wiza nie jest wystarczająca, ażeby wydano panu ten dokument. Należy poświadczyć jeszcze pańskie nowe personalia w pobliskiej siedzibie Czerwonego Krzyża. Zajmie się tym przybyły w tym celu ze stolicy wysłannik. Formalności tej będzie można dopełnić jutro w godzinach przedpołudniowych, odnośnie dokładnej godziny upewnić się muszę telefonicznie. Adres czerwonokrzyżskiej siedziby to via Bergameze 14, taksówka dowiezie tam pana w przeciągu kilkunastu minut. Noc spędzi pan w zaufanym pensjonacie San Carlo. Odpłynie pan najbliższym rejsem do portu Mar del Plata, dzisiaj jest wtorek więc najbliższy liniowiec odpływa w piątek. Bilet na statek, argentyńskie peso otrzyma pan jutro po dopełnieniu biurokratycznych formalności. To byłoby pokrótce wszystko, co zamierzałem panu przekazać. Z doświadczenia wiem że nie warto podejmować dalszego dialogu, ani też wymieniać wniosków i spostrzeżeń, im mniej wiemy o sobie tym lepiej dla nas. Za moment wykonam połączenie telefoniczne i ustalę godzinę jutrzejszej wizyty w siedzibie Czerwonego Krzyża, w tym też celu muszę pana opuścić, proszę się rozgościć i na ile to możliwe, wypocząć.

Bormann nie ustawał w obserwacji zmagazynowanych przedmiotów, w wielu przypadkach bezcennych. Gdyby tylko można było uporać się z ograbieniem całych Włoch, zanim jeszcze przeszły na stronę aliantów, gdyby tylko faszystowskie Czarne Brygady pokonały wszystkich kolaborantów, niemieckie kolekcje zrabowanych dzieł sztuki wzrosłoby o trzydzieści, czterdzieści procent, może nawet o połowę. Wartość bezpiecznie ulokowanych depozytów byłaby zabezpieczeniem na dłuższe jeszcze lata – roztaczał wizje, pozostawiony sam na sam z wytworami rąk średniowiecznych i barokowych artystów. Po upływie kilkunastu minut z głębi kościoła dobiegł narastający pogłos kroków. W Uchylonych uprzednio, niskich drzwiach stanął ksiądz, bezszelestnie zamykając je za sobą..

- Jest pan umówiony w przedstawicielstwie Czerwonego Krzyża jutro na godzinę jedenastą przed południem. Dłużej też nie zamierzam pana zatrzymywać. Posiada pan niezbędną gotówkę na uiszczenie opłaty w pensjonacie?

- Przypuszczam że w nadmiarze.

- Możemy już zatem przejść do wyjścia.

Niespiesznie przeszli długą, kościelną nawę, będąc przy głównych wrotach, wymienili pożegnania, zanim Bormann opuścił mury kościoła, ksiądz nawiązał jeszcze do jutrzejszej wizyty i zapraszał do kościoła tuż po opuszczeniu siedziby Czerwonego Krzyża. Bormann znalazł się na smaganym promieniami słońca, rozgrzanym chodniku. Na wyrazisty sygnał dzwonka, drzwi niewielkiego pensjonatu San Carlo, zajmującego wąski pion jednej z wielu przylegających do siebie kamienic, otwarł młody recepcjonista o jasno oliwkowej karnacji.

- Chciałbym wynająć pojedynczy pokój na jedną noc, oznajmił Bormann w jedynym znanym sobie, ojczystym języku.

- W pokoju znajduje się łazienka, będzie to kosztować.....

- Mógłby podać pan równowartość w dolarach amerykańskich?

- Będzie to w przybliżeniu.... dziesięć dolarów.

- Zapłacę z góry, chciałbym zamówić pobudkę na dziewiątą rano.

- Żaden problem, odpowiedział niepewnie, z wyraźnym włoskim akcentem recepcjonista.

Tuż po otwarciu drzwi pokoju, Bormann doznał trudnego do określenia uczucia, znalezienia się po raz pierwszy w obcym sobie miejscu i środowisku, z którym związanym się będzie dłużej niż tylko przelotną wizytą. Głęboko wdychał powietrze o nie znanym mu zapachu, próbując doszukać się w nim znajomych aromatów, obserwował uważnie sprzęty, starał się przyporządkować ich kształty znajomym przedmiotom. Zamknął na dwa spusty drzwi i uchylił nieznacznie okno, rozesłał starannie zaścielone łóżko, zsuł buty i zsunął spodnie. Za wszelką cenę chciał rozładować nawarstwiające się nerwowe napięcie i z każdą godziną bardziej odczuwalne zmęczenie. Kolejnym zarejestrowanym przez jego pamięć zdarzeniem, było głośne pukanie do drzwi i głos recepcjonisty, oznajmiający zbliżanie się godziny dziewiątej. Niespiesznie wziął prysznic i postanowił ogolić kilkunastodniowy zarost. Nie – zarost jednak pozostawię – uznał po krótkim namyśle, to dzięki niemu być może nie rozpoznał mnie przewodnik z przełęczu Brenner, tamtejszy ksiądz i dzięki niemu nie rozpozna mnie być może też wielu innych ludzi, podczas rejsu statkiem. Ubrał się starannie i zszedł na śniadanie. W recepcji zamówił taksówkę. Zamykając za sobą drzwi pensjonatu, oświadczył recepcjoniście że najpewniej wizytę przedłuży o kolejną noc. Poleciał taksówkarzowi zawieźć się do najbliższego sklepu z męską garderobą. Zakupił stonowany w barwach garnitur, kilka koszul, wełnianą marynarkę, oprócz tego pojemny neseser. W przebieralni przywdział odprasowany garnitur, pod szyją rozprostował kołnierzyk białej koszuli, do wewnętrznej kieszeni marynarki przełożył dolary i testament fuhrera. Odjechali znanym już Bormannowi kierunkiem. Taksówkarz wjechał na chodnik i zaparkował przestronną Lancię tuż przy wejściu do genues-

kiej siedziby Czerwonego Krzyża. Uchylone drzwi rozwarły się na oścież. Portier poinformowany o celu wizyty, pokierował Bormanna do nieodległej poczekalni, mieszczącej się na pierwszym piętrze. W kilka minut później dostrzegł wchodzącą po schodach sylwetkę księdza, trzymającego w dłoni skórzaną teczkę. Mówiący po niemiecku ksiądz na powitanie podał prawą dłoń, teczkę przekładając do lewej.

- Witam pana, jak się pan domyśla, poświadczam będę pańską nową, argentyńską tożsamość. Oznajmił przyciszonym głosem. Paszport wystawiony przez administrację Juana Perona w oczach urzędników Czerwonego Krzyża nie wiedzieć czemu, nie zasługuje na bezwzględną wiarygodność. W tym celu muszę przyjeżdżać aż ze stolicy apostolskiej, niekiedy tylko zastępuje mnie kardynał Alois Hudal.

- Nie mamy więc wyboru i musimy zastosować się do obowiązujących procedur.

Panowie zdają się oczekiwać na wizytę w pokoju numer dziewięć, zagadnął pytajnym tonem, poprawną niemczyzną stając w drzwiach urzędnik.

- Oczekujemy, umówieni jesteśmy na godzinę jedenastą, oświadczył ksiądz.

- Zapraszam więc do środka.

Przed wchodzącymi mężczyznami ukazało się wnętrze otoczone metalowymi półkami, wypełnionymi opasłymi segregatorami. Na ich grzbietach widniały oznaczenia kolejnych liter alfabetu i chronologicznie następujące po sobie roczniki. Długi i wąski stół zasłany by najrozmaitszej wielkości dokumentami, zadrukowanymi różnorodnym krojem czcionek i wielkością liter. Spośród dokumentów leżących na stole, urzędnik wydobyl paszport w granatowej okładce, po czym otworzył na czołówce.

Senor Augusto Juan Dalega – urzędnik przetoczył wzrokiem po twarzach obu mężczyzn – to jak się domyślam pan, powiedział spoglądając na Bormanna.

- Tak to ja, bez zająknięcia oznajmił Bormann, patrząc urzędnikowi prosto w oczy.

- Czy ksiądz może fakt ten poświadczyc?

- Tak, mogę.

- Proszę więc sygnować stosowne dokumenty. Urzędnik podsunął księdzu do podpisu dwustronnicowy dokument formatu A4. Ksiądz wydobyl z wewnętrznej kieszeni sutanny wieczne pióro i zamaszystym gestem podpisał wskazane miejsce u dołu arkusza.

- Drugi raz, tutaj na wewnętrznej stronie, oznajmił urzędnik przewracając kartkę.

Ksiądz powtórzył tę samą czynność. Bormann kątem oka starał się odczytać wyraźny podpis księdza, Krunoslav Dragović zdążył przeliterować, zanim urzędnik nie odebrał od księdza dokumentu.

- Oto pański paszport, senhor Augusto Juan Dalega, stał się pan właśnie obywatelem Argentyny. Życzę powodzenia na kontynencie Południowej Ameryki, w nowej ojczyźnie, jak się domyślam prężnej niemieckiej diasporze, powiedział uroczystym tonem urzędnik wręczając paszport.

- Najmocniej dziękuję, odparł lekko zmieszany Martin Bormann. Na pożegnanie chciałbym także życzyć sukcesów w pańskiej pracy, dodał Niemiec zamykając za sobą i księdzem drzwi.

- Rozumie pan teraz moje rozżalenie, ażeby spędzić w pokoju numer 9 tych kilkanaście z górą minut, przejechać muszę ponad sześćset kilometrów z przesiadką we Florencji.

- Dla księdza jest to sześćset kilometrów, dla mnie druga połowa mojego życia, zaopiniował Bormann pokonując szybkim krokiem kolejne schody.

- Oby tylko przeżyta w staraniach o usunięcie naszych wspólnych wrogów.

- Naturalnie, odpowiedział obojętnie Bormann, urywając temat, tuż przed głównym wejściem. Bardzo jestem księdzu wdzięczny, gdy tylko odnajdę się w nowej rzeczywistości z pewnością odwzajemnię się.

- Niech pana Bóg prowadzi, dodał na pożegnanie ksiądz.

Bormann zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Via Di Pelli 9, rzucił zdawkowo, nie zamierzając rozwijać tematu swojego pochodzenia, czy też oczekiwać od taksówkarza znajomości niemieckiego.

Taksówkarz zgodnie ze wskazanym adresem zatrzymał się wzdłuż chodnika naprzeciw wejścia do pensjonatu. Zatrzaśnięte zamasyście ciężkie drzwi, domknęły się z trzaskiem. Zanim jeszcze oddalającą się taksówkę przysłoniły kłęby ulicznego pyłu, Bormann przeszedł na drugą stronę jezdni i zakolał do obramowanych metalowymi futrynami, drzwi kościoła. Otworzył ten sam mnich z tym samym zdziwionym wyrazem twarzy. Krótkie oczekiwanie w prezbiterium starał się wypełnić, nieporadnymi próbami określenia wartości obserwowanych dzieł sztuki, nim zdążył bliżej przyjrzeć się pasyjce chrystusowej wykonanej w hebanowym drewnie, usłyszał charakterystyczny stukot butów, niosący się echem po całej posadzce kościoła. W jego kierunku zwróciły się oczy kilkunastu osób, zasiadających w odległych od siebie sektorach kościelnych ławek.

- Dla niewzbudzania podejrzeń usiądźmy w jednej z ławek, zaproponował szeptem ksiądz, wskazując drogę do najbliższej

z nich. Od dawna mam wrażenie że do kościoła wchodzi nie tylko wierni, chcący pograć się w modlitwie.

- Stałem się posiadaczem argentyńskiego paszportu, wracam właśnie z przedstawicielstwa Czerwonego Krzyża, oznajmił najciszej na ile potrafił Bormann siedzącemu obok księdzu.

- Oto bilet na statek i pięć tysięcy argentyńskich pesos, proszę przeliczyć, jak się pan domyśla obowiązuje mnie ścisła ewidencja, zobowiązany jestem do składania terminowych raportów, mówiąc to podał Bormannowi pod ławką plik pieniędzy.

Bormann przeliczył pod ławką, kilkakrotnie odwracając w dłoniach, nieznane sobie banknoty. -Wszystko się zgadza.

- Najprawdopodobniej już się nie spotkamy, życzę pomyślności i boskiego przewodnictwa w nowym wcieleniu.

- Gdy tylko okrzepnę w nowej ojczyźnie, odwdzięczę się zawiązką.

- Najzupełniej zbyteczne. Dla niewzbudzania podejrzeń może pan uiścić drobną ofiarę i zapalić świecę przed obrazem naszego patrona.

Martin Bormann zastosował się do sugestii księdza, nim opuścił kamienne mury kościoła, spędził kilka minut nad blaskiem długiej, woskowej świecy, starając się choć w niewielkim zarysie wyobrazić sobie kolejny etap swojego życia.

Szybkim krokiem udał się do recepcji pensjonatu i uregulował należność za najbliższe dwie noce. Pogłębiając się z każdym dniem poczucie zmęczenie wzięło górę nad chęcią spędzenia wieczoru pod parasolem któreś z pobliskich restauracji. Ocknął się w środku nocy ubrany w białą koszulę i spodnie od garnituru, leżąc w poprzek szerokiego łóżka. Nie otarłszy oczu, zdjął ubranie, po czym pograżył się w otchłani głębszego jeszcze snu. Nadchodzący ranek przywitał go jaskrawym blaskiem długich słonecznych promieni. Rozdzielały się one na wielobarwne wiązki światła w pryzmacie zatyczki kryształowej karafki, stojącej na okrągłym stole, pośrodku wynajmowanego pokoju. Zachowujący kolejność barw tęczy, świetlisty strumień kładł się na skromnych kształtach szafa – komody i rozpraszał się nikłą poświatą na wyblakłych ścianach. Leżący na wznak Bormann starał się rozdzielić wzrokiem i nazwać każdy z widzianych kolorów, lecz zanim dojrzał do żółtego, szaro – granatowa chmura nakryła rozpaloną tarczę słońca. O parapet uderzyły ciężkie krople deszczu. Szyby spłynęły strugami wezbranej wody. Teraz leżąc zasłuchiwał się w rytmiczny pogłos strug, uderzających o wewnętrzne ściany rynien, wprawiając się w melancholijny nastrój zobojętnienia. Zszedł na śniadanie. Nie odczuwając wyrazistego smaku, przełykał kolejne kęsy mozzarelli, zagryzając bagietką skropioną jasnozieloną oliwą. Znużenie wywołane atmosferą pochmurnego i dżdżystego dnia, spowodowało że w bufecie mimowolnie zamówił półlitrową butelkę grappy. Zanim odkorkował butelkę, przyjrzał się godzinie odcumowania statku, bez wątpienia szesnasta – stwierdził, wnioskując po nie licznych zapisie cyfrowym, pośród niezrozumiałych słów języka włoskiego. Powoli sączył trunek starając się doszukać smaku znanych mu szczepów winogron. Ostatni pełen dzień pobytu na starym kontynencie – uświadomił sobie, a nie mam nawet do kogo przepić. Nie mam też powodów do utyskiwań na swój los, summa summarum żyję, choć mógłbym już w Berlinie podzielić los Stumfeggera. Zostałem wprawdzie pozbawiony urzędów, władzy, wpływów, ale zachowałem udział w nieprzebranym majątku, ukrytym w niedostępnych miejscach Niemiec i nie tylko. Owdowiałem, lecz w ostatnim czasie było nam do siebie dalej niżeli bliżej. Co najistotniejsze jednak uwolniłem się podejrzliwego wzroku fuhrera, nabierającego z każdym ostatnim miesiącem psychopatycznych odruchów, nie muszę już silić się na przybieranie kolejnych póz, by przedkładane mu sprawozdania przyjmował bez cienia wątpliwości. Nie muszę dręczyć się obawami czy któregoś dnia nie dotrą do niego meldunki, demaskujące moją zakonspirowaną działalność.

Pozostałości deszczu, szybko odparowujące na rozgrzanych murach, jezdniach i chodnikach przenikały przez uchylone okno do hotelowego pokoju. Przesycał go zapach śródziemnomorskiego miasta, gdzie w powietrzu mieszał się głęboki, jodowy, posmak soli, zapach wodorostów przysychających do plażowego pisku, mieszanka aromatu kardamonu, hibiskusa i oliwek wystawianych na uginających się straganach. Żywiczna woń młodych pędów palm i nieokreślony zapach czegoś, co powoduje że śródziemnomorskie miasta wydzielają bardziej intensywny aromat od pozostałych europejskich miast, jednocześnie też przyjemny i dłużej zapamiętany. Być może był to zapach kilku tysiącletniej historii śródziemnomorskiej kultury, wydobywany zarem słońca z ruin i pozostałości miast, powstałych na przestrzeni dziejów.

Senny nastrój opustoszałych ulic Genui sprowadził na rozrzuconego Bormanna, równie niespodziewany sen jak poprzedniej nocy. Nadchodzący dzień przywitał go słonecznym lśnieniem, wolno przenikającym do wnętrza pokoju, kładącym się na sfatygowanej pościeli. Uznał to za przychylne zrządzenie losu, nie będzie żegnał Europy w przygnębiającym nastroju – wyszeptał. Tuż po śniadaniu zamówił kurs taksówki do genuńskiego portu na godzinę dwunastą. W hotelowym pokoju przeliczył pieniądze, upewnił się czy nie pozostawił zdradzających jego obecność przedmiotów. Jeżeli nie będą wykonywane daktyloskopijne ekspertyzy odcisków moich palców, zdjętych z hotelowych przedmiotów i porównane ze znajdującymi się w berlińskich kartotekach, nikt nie wpadnie na trop mojej obecności tutaj – uznał po chwili zastanowienia. Upewnił się czy bilet, paszport, testament fuhrera i pieniądze znajdują się w wewnętrznych kieszeniach marynarki, po czym zamknął pokój, a klucz zwrócił w recepcji. Taksówkarz próbował z włoska zagadnąć o kierunek podróży, zorientowawszy się jednak że Bormann jest Niemcem, on natomiast nie potrafi porozumiewać się w żadnym innym języku, podczas kursu obaj mężczyźni milczeli. Na wypolerowanej karoserii taksówki, zatrzymanej tuż przy nabrzeżu, ukazywały

się świetlne refleksy odbijane od wygładzonej powierzchni morza. Taksówkarz pomógł Bormanowi wydobyć lekki lecz obszerny neseser, dwukrotnie podziękował za suty napiwek, wypowiedział kilka niezrozumiałych słów, będących zapewne życzeniami szczęśliwej podróży po czym wtopił się w kołowy ruch nadmorskiej promenady. Bormann podążył miarowym krokiem w kierunku nieodległej redy. Zacumowany do ponad metrowej, żelaznej kei liniowiec już po wstępnym oglądzie wydał mu się statkiem którym opuści Europę. Upewnił się pytając kontrolera biletów, a ten potaknąwszy głową, odebrał z dłoni Bormana bilet na liniowiec „Brigandolla”

- Wszystko się zgadza seniore, zapraszamy na pierwszy pokład i życzymy przyjemnego rejsu.

Po szerokim trapie Bormann wszedł na pokład i przysiadł na jednej z drewnianych ławek, rozstawionych wzdłuż sterburty. Na długo zatopił wzrok w portowym nabrzeżu Genui, starał się zachować w pamięci ostatnie migawki europejskiego krajobrazu. Oddalające się kontury portu sprawiały wrażenie pogrążania się w morskich odmętach. Zszedł pod pokład. Łagodne ruchy kadłuba statku wprawiały w trans przemęczony umysł, zbudził się następnego dnia, nie wiedząc kiedy pogrążył się w przepastnym śnie. Pierwszy, pełen dzień spędzony na liniowcu dał początek długiej serii dni, trudnych do wyodrębnienia spośród tygodni, zlewających się w jednolity ciąg zdarzeń, niczym nie różniących się pomiędzy sobą. Nie starał się zapamiętać banalnych epizodów z monotonnego rejsu, zubożniał na pozdrowienia pasażerów rzucane wzrokiem. Na próby zagadnięcia odpowiadał grzecznościowymi formułkami, po czym oddalał się ku którejś z burt. Ze zrozumiałych względów unikał nawiązywania bliższych relacji z pasażerami, w szczególności zaś unikał kontaktów z niemieckojęzyczną ich częścią, kiedy to podczas swobodnych konwersacji mogłoby dojść do nieopacznego zdradzenia kogoś z pilnie skrywanych, powodów podróży. Twarz pokrywająca się szybko przrastającym zarostem i kaszkiet naciągnięty na czoło nie wzbudzały w nikim niepożądanych skojarzeń. Pierwsze objawy wskazujące na zapadnięcie na chorobę morską szybko ustały, w efekcie czego uniknął typowego dla "szczurów lądowych" nieprzyjemnego schorzenia. Dni podążały zgodnie z rytmem pokładowego harmonogramu wydawania posiłków, unikał miejsc gdzie mógłby podjąć dłuższy dialog. Na otrzymanym od organizatorów rejsu kalendarzu podróży skreślał każdy kolejny dzień, aż niepostrzeżenie liczba zakreślonych liczb, przekroczyła tę pozostającą do skreślenia. Z życiowego doświadczenia wiedział że druga połowa mija szybciej od pierwszej, dlatego też początkowe zniecierpliwienie, zamienił na bardziej zrównoważony stosunek do wyzwań, jakie stawia przed psychiką człowieka, przez całe życie przebywającego na lądzie – dalekomorska wyprawa. Wiedział już że żadne nieprzewidziane zagrożenie nie czyha na ugruntowujące się poczucie bezpieczeństwa, wystarczy tylko poskromić pragnienie jak najszybszego zejścia na ląd, ze zniecierpliwienia przezbroidać się w najzwyczajszą cierpliwość – podnosił się na duchu. Rozchwiane poczucie rytmu dnia podbudowywał myślami o pokonywaniu podobnych trudów, a nawet większych poprzez konieczność podróży w niższych klasach, przez całą niemiecką diasporę zamieszkałą w Ameryce Południowej. O ileż trudniej musiało przychodzić im znoszenie uciążliwości dalekiej wyprawy, mając pod opieką małe dzieci i dobroć całego życia, podróżując w nieporównywalnie gorszych warunkach. Przekroczywszy równik zubożniał na wszelkie niewygody. Bezwiednie poddał się zakłętym kręgowi powielających się czynności, każdemu opuszczeniu kajuty na posiłek towarzyszyło długie przesiadywanie na którejś z odosobnionych ławek i obserwowanie bądź to zachodu słońca, kładącego się długą smugą rubinowego światła na oceanicznej wodzie, bądź też przyglądanie się spienionym wodnym bałwanom, szatkowanych i rozrzuconych na boki przez łopaty śruby, napędzającej statek. Przedłużające się sztormy starał się oddalić pogrążając się w śnie, wydawać by się mogło nie posiadającym wyraźnego początku, ani też końca. Okresy bezwietrznej pogody spędzał na spacerach wzdłuż obu burt, obserwując podążające wzdłuż statku stada delfinów, wyskakujących nad powierzchnię wody w widowiskowych piruetach. Nie był w stanie określić miejsca pobytu, być może były to okolice Trynidadu południowego, być może Martin Vas, gdy dowódca statku ogłosił z tygodniowym wyprzedzeniem, termin pożegnalnej kolacji. Dla uniknięcia kłopotliwych zajść, Bormann usiadł przy stoliku z parą starszych Argentyńczyków, wiedząc o barierze językowej jaka ich dzieli, wykluczającej nawiązanie niebezpiecznej konwersacji. Przy okazji tej nie zamierzał spożywać trunków, przewidując pojawienie się następnego dnia zdrowotnych powikłań, spowolnionych procesów myślowych, a za wszelką cenę pragnął zachować bystrość umysłu podczas znalezienia się w pojedynkę na odległym kontynencie. Zbudził się w doskonałym samopoczuciu, choć gdzieś z dna świadomości wydobywały się obawy, odnoszące się do dalszego biegu jego losów. Wyjrzał przez okrągłe okno kajuty, na nieboskłon rozchwianym wahliwymi ruchami statku, dostrzegł rampy przeładunkowe portu w Mar del Plata, a wokół nich kilka zacumowanych statków.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maciej Bienias, dodano 09.11.2017 14:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.